

GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Iga Świątek

KOŃCZY Z EMOCJAMI

Wszystko, co trzeba wiedzieć o tenisie kobiet
przed French Open
► 20-25

FOT. SARAH STIER/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Balcerowiczowi
wyszedł
całkiem fajny
kraj



Dlaczego Francuzi
wygumkowali
Burgundię

Polak katolik
A dlaczego
nie Polak
ewangelik?

„Quo vadis”
Świetna książka
o prawdziwej
polityce

Agnieszka
Kublik

7 wyborczych ekobzdur Kaczyńskiego

Jarosław Kaczyński twierdzi, że przed wyborami europejskimi jego ugrupowanie prowadzi kampanię „na tak”. Trudno mu uwierzyć. Bo wypowiada słowa „na nie”. Prowadzi bowiem akcję propagandową przeciwko Unii. Otóż PiS idzie do wyborów europejskich z hasłem „zatrzymania Zielonego Ładu”. A przy okazji twardym kursem przeciwko nauce.

Oto słowa Kaczyńskiego z ostatnich wieców wyborczych:

1. Wszystko, co robi ludzkość, jeżeli chodzi o klimat, ma takie znaczenie, jak zapalenie zapalki na wielkiej hali sportowej. Może trzeba by zapalić całe pudełko zapalek. Nie wiem. Nie znam się na tym. Ale jest mnóstwo dowodów, że mamy do czynienia z gigantyczną operacją, zmierzającą nie do ochrony klimatu, ale do tego, żeby zmienić się układ finansowy na świecie. Żeby był korzystny dla pewnych sfer.

2. Twierdzenie, że Europa, czy w ogóle ludzkość, ale zatrzymajmy się na Unii Europejskiej, może wpłynąć na zmiany klimatyczne na świecie, to jest absurd podniesiony do już nie wiadomo której potęgi.

3. Musimy walczyć, żeby mieć wolność także w tych kwestiach [klimatycznych], które się ludziom z wolnością nie kojarzyły, bo mniej – prze-

Na świecie, jak szacują socjologdy, około 30 proc. ludzi ulega teoriom spiskowym. Do nich dziś przemawia prezes PiS

praszam za to określenie, no ale – mniej wariatów było na świecie. Albo przynajmniej wariatów u władzy.

4. Musimy móc jeść to, co chcemy. Jak komuś odpowiada kotlet z tego robactwa, którego się używa przy łowieniu ryb, to jego sprawa. Ale przymusu takiego nie może być.

5. Jeżeli ktoś chce jeździć samochodem elektrycznym, który się bardzo ładnie pali, intensywnie, to też, proszę państwa, może. Ale to nie może być przymus.

6. Dziesiątki milionów lat temu temperatura była o 13 stopni wyższa, a mimo wszystko przyroda kwitła.

7. Ten klimatyzm jest już czymś w rodzaju religii. A tego rodzaju rewolucyjne religie mają tendencje, by się radykalizować.

A najgorsze, że to nie jest jakiś wyborczy wybryk Kaczyńskiego. On, zdaje się, tak myśli. I to od dawna.

Został już uhonorowany jako autor Klimatycznej Bzdury Roku. Za słowa wypowiedziane w 2022 r., że „jeśli chodzi o poważnych uczonych, to są bardzo podzielone zdania”.

A rok wcześniej ten tytuł dostał Marek Suski. Wierny zausz-nik Kaczyńskiego orzekł, że „nasze lasy i nasze zielone uprawy pochłaniają więcej niż emitujemy Co2”.

Dziś Kaczyński mobilizuje elektorat, idąc krok dalej – działa na wyobraźnię, miksując eurosceptycyzm, denializm klimatyczny i klasyczne spiskowe teorie o „układzie finansowym”: oto globalna elita jak zwykle manipuluje, tym razem zmianami klimatu.

Na świecie, jak szacują socjologdy, około 30 proc. ludzi ulega teoriom spiskowym. Do nich dziś przemawia Kaczyński. Aż strach pomyśleć, jak wielu na to nabierze. Ale nawet jeśli nie 30, a 20 czy 10 procent – to i tak zbyt wielu. ●

Iran

Na ulicy płaczą, w domu otwierają szampana



FOT. IRAN'S PRESIDENCY/ANAP/REUTERS

Trumna Ebrahima Raisiego wyrusza w podróż po Iranie. Pierwszy przystanek – Tabriz, miasto najbliższe miejsca upadku śmigłowca prezydenta. Państwowa żałoba nie przeszkadza Irańczykom świętować. Raisi niegdyś jako sędzia ludowy i prokurator skazywał na śmierć przeciwników reżimu, a ostatnio rozkazał brutalnie – zginieć setki ludzi – stłumić protesty po śmierci nastoletniej Mahsy Amini, skatowanej przez policję obyczajową.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Toni Kroos

Odejdzie na własnych warunkach

Jeszcze tylko finał Ligi Mistrzów, Euro 2024 - i 34-letni Toni Kroos porzuci futbol. Publiczność jest skonsternowana: dlaczego skraca karierę w szczytowym punkcie?

Od dekady Kroos jest chronometrem Realu, wyznacza tempo i kierunek ataku. Przez 10 lat w królewskiej drużynie utrzymał celność podań na kosmicznym poziomie 92-95 proc.

Zinedine Zidane, były trener Realu, podziwia spokój niemieckiego piłkarza. W ułamku sekundy Kroos robił na boisku rzeczy wymagające najwyższej precyzji. Na początku Zidane nie mógł się zorientować, czy Niemiec jest lewo, czy prawonożny. Jedną i drugą stopą posługiwał się tak samo dobrze. A do tego ma charakter. – Rzadko zabiera głos, ale kiedy już mówi, inni milkną – opowiada Zidane.

JProwadzi podcast, w którym mówi o futbolu, nie zawsze ostrożnie. Krytykuje piłkarzy, którzy wyjeżdżają za wielką kasą do Saudi Pro League.



FOT. REUTERS/JUAN MEDINA

Koledzy z Realu przypominają, że przed Tonim jeszcze jeden wielki cel: 15. Puchar Europy dla Królewskich. Ale niemiecki stoper Antonio Rudiger podkreśla, że cele są dwa: na Euro 2024, którego Niemcy są gospodarzami, drużyna narodowa ma się odbić od dna, po porażkach na mundialach w Rosji i Katarze, gdzie przepadali już w fazie grupowej.

Rzuca futbol, bo nie chce, żeby spotkało go to, co najbliższego przyjaciela Lukę Modricia. 38-letni Chorwat stracił miejsce w podstawowym składzie Realu i w tym sezonie był rezerwowym. Niemiec boi się, że w takiej sytuacji piłka przestałaby go cieszyć. ●

Dariusz Wołowski

Andrzej rysuje



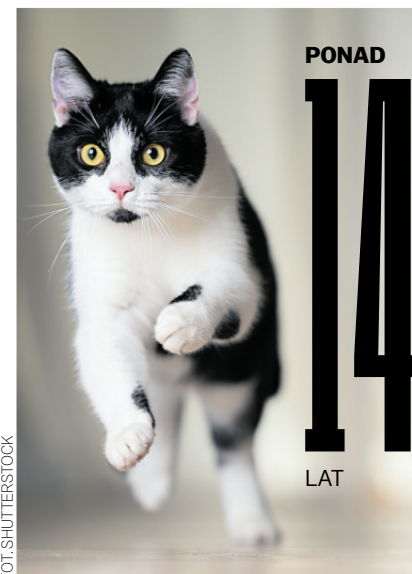
Cytat tygodnia

Nasze środowisko uważa oportunizm za kluczową zaletę w relacjach z każdą władzą



PROF. PRZEMYSŁAW WISZEWSKI
były rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, o resorcie nauki i uczelniach po Czarnku
Więcej
► Wyborcza.pl/magazyn

Mruczek? A może Matuzalem



PONAD
14
LAT

żyje kot birmański, niecałe 7 – sfinks. Brytyjscy weterynarze zbadali 40 ras kotów domowych. Doczekać człowieka na Marsie – zapowiadane go przez NASA na lata 30. – mają szansę też m.in. persy i syjamy. Oraz – co fanów dachowców nie zaskoczy – mieszkańcy, żyjące średnio 1,5 roku dłużej niż arystokraci. Przy okazji sprawdzili, czy z punktu widzenia długowieczności lepiej być samcem czy samicą oraz uprawiać seks czy zachować wstrzemięźliwość. ● Co im wyszło? ► Wyborcza.pl/nauka

FOT. SHUTTERSTOCK

Tarcza Wchód to dopiero początek

Polska zbrojna

Podróżując po Niemczech, zawsze zastanawiałem się, jak ludzie żyli latami, dekadami w cieniu F-16, czołgów Abrams, rakiet Hercules. Już wiem

Wielński



W francuskiej historiografii funkcjonuje termin „wspaniałe trzydziestolecie”.

To czasy bujnego wzrostu gospodarczego i społecznego rozwoju po II wojnie światowej. Wspaniałe trzy dekady przerwał dopiero kryzys naftowy w latach 70. Odtąd Francja ma pod górę.

W polskiej historii też można już wyznaczyć podobny wspaniały okres, który trwał podobnie długo i niedawno niestety się skończył. To czas pokoju po upadku żelaznej kurtyny, pełnej suwerenności naszego kraju, pośpiesznego powrotu Polski na Zachód. To czas – niestety naiwnej – wiary, że wojna nam nigdy już nie zagrozi. Polska – z perspektywy czasu będzie to wyraźnie widać – rozkwitała do czasu, aż putińska Rosja najechała na Ukrainę. Po 24 lutego 2022 zmieniło się wszystko.

Zapowiadane przez premiera Tuska fortyfikowanie granicy z Białorusią nie oznacza, że Polska będzie budować swoją linię Maginota, gigantyczny i tragicznie nieefektywny pas wielopoziomowych bunkrów, który miał zapewnić Francji bezpieczeństwo, a Niemcy go w 1940 r. tu ominęli, tam przełamali. Wzdłuż granicy polsko-białoruskiej nie potrzeba linii potężnych fortów.

Ale granicę, a zwłaszcza to, co dzieje się po białoruskiej stronie, nieustannie trzeba monitorować. Z ziemi, powietrza i kosmosu. To wymaga infrastruktury, zaawansowanego technologicznie sprzętu, dzięki któremu będzie można zaglądać daleko w głąb białoruskiego terytorium – i wykwalifikowanych funkcjonariuszy czy żołnierzy do jego obsługi i ochrony granicy.

Polska nie musi wymyślać tego od zera. Wielki projekt zabezpieczenia 380 kilometrów granicy z Rosją (nie wiele krótszej niż nasza granica z Białorusią) prowadzi Estonia. Lecz trzeba się śpieszyć. Prowokowane przez Białorusinów ataki są na porządku dziennym. Będzie jeszcze gorzej, hybrydowa wojna staje się coraz bardziej gorąca.

A głębiej na polskim terytorium trzeba przygotować pozycje obronne na wypadek wybuchu wojny na pełną skalę. Chodzi o stanowiska, z których będzie mogła operować piechota i czołgi, stanowiska dla artylerii i obrony przeciwlotniczej, punkty dowodzenia, składy paliwa i zaopatrzenie. Rozsiane po okolicy, dobrze zamaskowane, chronione przed ostrzałem. Ochrona własnej logistyki to jedna z wielu lekcji, które płyną z wojny w Ukrainie. Rosjanie boleśnie przekonali się, co dzieje się, gdy uderzenie precyzyjnie kierowanych pocisków dekapituje jedno po drugim dowództwa batalionów, gdy składy paliwa wylatują w powietrze.

Trzeba wyznaczyć miejsca, w których staną zapory przeciwczołgowe, gdzie powstaną pola minowe, gdzie jako naturalne przeszkody zostaną wykorzystane rzeki i bagna. Oraz – co

oczywiście PiS okrzyknie kapitulancstwem, ale to standardowy element strategicznego planowania w każdym dobrze zorganizowanym, troszczącym się o obywateli państwie – opracować plan ewakuacji cywilów.

Mamy skąd czerpać wzory i z czego wyciągać wnioski. Ukraińcy przez osiem lat umacniali pozycje w Donbasie. Rosjanie mimo gigantycznej przewagi z wielkim trudem przebijali przez te fortyfikacje. Z kolei ich wielowarstwowa zaporą w Zaporozżu powstrzymała zeszlóroczną ukraińską ofensywę.

No i niestety – wojsko na granicy musi nieustannie demonstrować swoją obecność i ciągle ćwiczyć. Żołnierze muszą znać każdy zagajnik, każdy zakręt na bocznych drogach, których mają bronić.

To wszystko już było. Po zimnej wojnie zostały rozsiane po wschodniej i zachodniej Europie żelbetowe konstrukcje, w których jeszcze 40 lat temu pod ścisłą strażą przechowywano amunicję i wojskowy sprzęt. Dziś ich ściany porasta roślinność. Pasy startowe nieużywanych wojskowych lotnisk zdążyły popękać, bocznice kolejowe, którymi do baz wojskowych dojeżdżało zaopatrzenie, wchłonęły lasy.

Niektóre obiekty przetrwały nieknięte, bo zmieniły przeznaczenie. Do bazy pod Neuss w Nadrenii, gdzie stacionowały rakiety przeciwlotnicze Nike-Hercules (mogły przenosić głowice jądrowe) wprowadzili się artyści, hangary zamienili w sale wystawowe, wojskowe biura w pracownie, koszary w hotel. W podziemnym bunkrze na terenie dawnej bazy służby geofizycznej Bundeswehry holenderski przedsiębiorca umieścił wielką serwerownię obsługującą darknet, czyli nieosiągalną z poziomu zwykłych przeglądarek część internetu, z której korzystają przestępcy, hakerzy i tajne służby. Jeden z amerykańskich punktów obserwacyjnych w przesmyku Fuld, miejsc, w którym w latach 80. spodziewano się zmasowanego sowieckiego uderzenia na Frankfurt nad Menem, zamieniono w muzeum. Można z bliska zobaczyć UH-1 Huey, helikopter amerykańskiej armii, zejść do wnętrza amerykańskiej wieży obserwacyjnej, przejść się wzdłuż wybudowanej przez NRD rdzewiejącej stalowej zapory...

Kilkanaście lat temu jeździłem po Niemczech, oglądając te – wydawało się – relikty przeszłości. Czasami na autostradzie pasy drogi niespodziewanie rozszerzały się w wielkie wyasfaltowane place. To ślady po zapasowych lotniskach, na których za pasy startowe służyły proste odcinki autobahn. Podczas organizowanych w czasach zimnej wojny manewrów lotnictwo NATO sadzało na drogach nie tylko myśliwskie F-16, szturmowe A-10, ale też wielkie transportowe herculesy.

Zastanawiałem się, jak ludzie w zachodnich Niemczech żyli w cieniu Żelaznej Kurtyny, w poczuciu nieustannego zagrożenia wojną.

Widok kolumny czołgów na ulicy, niski przelot wojskowych odrzutów był normą. – Jakoś się żyło. Przywykliśmy – odpowiadali zna-

jomi Niemcy. Z literatury przedmiotu dowiedziałem się jednak, że niektórzy mieszkający przy granicy z NRD rodziny zaopatrywały się w truciznę. Wołeli szybką śmierć, a nie męczarnie z powodu choroby popromiennej. Odtajnione plany trzeciej wojny światowej zakładały użycie broni jądrowej od pierwszych minut konfliktu.

Jak my do tego przywyknijemy? Z perspektywy czasu widać, że z faktem, że nagle znaleźliśmy się w innej rzeczywistości, godzimy się z wielkimi oporami. Bo przecież Rosja prawdziwa, neoimperialną twarz pokazała nie w lutym 2022, a wiosną roku 2014, gdy łamiąc współtworzone przez siebie prawo międzynarodowe, oderwała od Ukrainy Krym, część Donbasu, zaczęła politykę kolonizacji i represji, gdy zestrzeliła lecącego nad wschodnią Ukrainą malezyjskiego pasażerskiego Boeinga, pełnego turystów z Azji i Europy...

Tyle padało przestróg, że na wojnie hybrydowej się nie skończy, że Putin pójdzie na całość, a po Ukrainie weźmie na cel kolejne kraje. Gdy wybuchła pełnoskalowa wojna, solidarnie rzuciliśmy się pomagać ukraińskim uchodźcom. Może by przykryć własne koszmarne lęki – ale nawet jeśli, to mniejsza o motywację, grunt, że w bezprecedensowy sposób polskie społeczeństwo zapewniło opiekę kilku milionom osób.

Niestety, wojsko na granicy polsko-białoruskiej musi nieustannie demonstrować swoją obecność. Żołnierze muszą znać każdy zagajnik, każdy zakręt na bocznych drogach

A potem okazało się, że wbrew prognozom zachodnich wywiadów Kijów nie wpadł po trzech dniach w rosyjskie ręce, Putin utknął, tracąc dziesiątki tysięcy żołnierzy, tysiące czołgów, setki samolotów i śmigłowców, a nawet okręt flagowy Floty Czarnomorskiej – dumny i rzekomo niezniszczalny krążownik Moskwa. Można było odechnąć. Ale tylko na chwilę.

Na zdjęciach satelitarnych wielkich rosyjskich składów sprzętu widać pustą przestrzeń. W Omsku, Wagżanowie pod Ułan Ude i innych tego typu miejscach, w których jeszcze niedawno w niekończących się szeregach stały czołgi, transportery opancerzone i haubice, dziś wojskowych maszyn pozostało niewiele. Rosja w potwornym zużywa rezerwy, ale ciągle ma co rzucić na front. Ma rekrutów, mimo sankcji ma też pieniądze. Rosyjska gospodarka działa w wojennym trybie. Putina wspierają też Iran, Korea Północna i Chiny. Ukraina traci oddech, rezerwy ma na wyczerpaniu, a dostawy sprzętu dla walczącego kraju zależą od kaprysów zachodnich polityków.

Tymczasem przez dwa lata wojny w Polsce słychać było echa słów sprzed ponad 80 lat. Sanacyjny rząd uspokaja-

ł obywateli sloganem „silni, zwarci, gotowi”. Skończyło się katastrofą, we wrześniu 1939 pod ciosami hitlerowskich Niemiec i Związku Radzieckiego państwo polskie zawało się jak domek z kart. Po lutym 2022 europejskie media z pełną powagą cytowały zapewnienia pisowskiego ministra obrony Mariusza Błaszczaka, że zbuduje największą armię lądową w Europie. Jego wojsko świetnie sprawdzało się podczas defilad, członkowie rządu wykorzystywali żołnierzy jako dekorację podczas przemówień i konferencji prasowych. Sprzęt kupowano w pośpiechu, bez głębszych analiz, tylko po to, by pokazać wyborcom, że kraj się zbroi.

Skutki tej polityki pokazują los kupionych za 3 mld dolarów w Korei Południowej szkolno-bojowych myśliwców FA-50. Rok temu podczas przelotów defiladach za ich sterami siedzieli koreańscy piloci, bo polskich nie wyszkolono, maszyn są uziemione, nie ma symulatorów, nie ma części zamiennych, niepewne jest serwisowanie.

Wybudowany na granicy polsko-białoruskiej plot – oficjalny koszt 1,6 mld zł – nie spełnia swoich funkcji. Bez większego wysiłku można przeciąć lub wygiąć przesłę, pod płotem można się podkopać, zaporę można sforsować za pomocą drabiny.

Z taką polityką wobec zagrożenia trzeba zerwać, a winnych bezsensownych i kosmicznie drogich projektów – rozliczyć. Społeczeństwa nie można też uspokajać, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Umocnienia na granicy pokażą Putino-wi i Łukaszenkę, że Polska jest zdeterminowana, by się bronić. Czujniki, drogi, patrole będą chronić granicę. Ale nie przed każdym zagrożeniem. Jeżeli Polska nie rozbuduje systemów obrony przeciwrakietowej, rosyjskie pociski będą mogły dalej wlatywać nad nasze terytorium. Obrona cywilna w Polsce jest w zgłiszczach. Odbudowa nie może trwać latami

Rosja wielokrotnie uderzała za pomocą cyberbroni. Czy nasz system bankowy jest zabezpieczony przed atakami rosyjskich hakerów? Jak zabezpieczone są serwery instytucji państwowych? Systemy obsługujące infrastrukturę krytyczną? W to, choć zdjęcie tego czy innego polityka z serwerem nie jest tak efektywne i opłacalne, jak z nowym czołgiem, trzeba inwestować pieniądze równie duże, co w „twardy” sprzęt.

Z kolei sprawa byłego sędziego Szmajdy, który na zlecenie poprzedniej władzy dewastował praworządność, a ażyl znalazł na Białorusi, pokazuje, jak wielką czkawką odbija się upolitycznienie służb specjalnych. Pytanie, ilu Szmajdów rosyjski i białoruski wywiad jeszcze zainstalował nam w niewralgicznych punktach. I jakich szkód zdążą narobić.

Ale najważniejsza jest mentalna zmiana. Obowiązkiem władzy jest uświadomienie społeczeństwu, że do brze czasy się skończyły. Jeśli mamy żyć w pokoju, czas szykować się na wojnę. ● **Bartosz T. Wielński**

KTO SIĘ BOI WIRGINII WOOLF



• Egzamin maturalny w katowickim liceum im. Adama Mickiewicza FOT. ANNA LEWANSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Co sprawdza tegoroczna matura? Kto na ile dobrze wkuł treść „Potopu”.

Z **DR ALEKSANDRĄ KORCZAK**,
POLONISTKĄ, WSPÓŁAUTORKĄ
„BUNTU POLONISTÓW”
ROZMAWIA **KAROLINA SŁOWIK**

KAROLINA SŁOWIK: Jak Pani ocenia tegoroczną maturę z języka polskiego?

DR ALEKSANDRA KORCZAK: – Uważam, że była bardzo łatwa, co oczywiście dla Centralnej Komisji Egzaminacyjnej jest bardzo wygodne.

Dlaczego?

– Dlatego, że my, poloniści, przy tak ścisłych wytycznych do egzaminów, od lat ostrzegaliśmy, że są one niezwykle wymagające. Szczególnie pod względem pamięciowego opanowania konkretnych lektur.

Warto zauważyć, że zadania w tych pierwszych informatorach publikowanych przez CKE to były zadania o wiele wyższym poziomie trudności.

W tym momencie my jako środowisko polonistów, czujemy się ośmieszeni z dwóch przyczyn. Pierwsza jest taka, że ostrzegaliśmy, że wiele osób tej matury może nie zdać. Teraz okazuje się, że alarmowaliśmy bez potrzeby.

Po drugie, bazując na przedstawionych materiałach i wytycznych dotyczących pisania wypracowania, czuliśmy się zobowiązani, by nagłaśniać ten problem dotyczący pamięciówki z lektur: że uczniowie muszą bazować tylko na kanonie. Podczas gdy właśnie zaserwowano maturę, którą można rozwiązać opierając się jedynie na materiałach źródłowych w poleceniach. Tam są jedynie dwa czy trzy zadania, które wymagały rzeczywiście znajomości lektury.

To teraz pytanie: dlaczego my przez te cztery lata mieliśmy przesłanki, żeby uczyć w konkretny sposób, ograniczać wprowadzanie literatury dodatkowej, współczesnej i skupiać się tylko na powtórkach z lektur?

Wszystko wskazywało na to, że ta wiedza pamięciowa będzie egzekwowana. A teraz się okazuje, że być może robiliśmy to niepotrzebnie, że mogliśmy częściej uczniów na wycieczki, do teatru, a nie tylko powtarzać skrupulatnie np. „Potop”, biorąc pod uwagę to, że młodzież stresuje się maturą.

Czuję się więc trochę oszukana. Gdybym wiedziała, że ta matura tak będzie wyglądać, czytałabym z moją młodzieżą o wiele więcej. Mam ten przywilej, że pracuję m.in. z klasami humanistycznymi, które lubią czytać i chętnie czytaliby więcej, ale marząc o wymagających kierunkach studiów na uniwersytetach, chcieli dobrze zdać maturę i byli zmotywowani przede wszystkim, żeby dokładnie znać lektury obowiązkowe.

Mówimy cały czas o maturze zaprojektowanej przez poprzednią ekipę rządową.

– Ale zmiana polityczna nic nie oznacza, bo osoby decyzyjne w kwestii matur, a nawet cięć programowych, pozostawały przez cały czas te same. Poza tym, przy cięciach obowiązkowo nam, że odpadnie 20 proc. treści z podstawy programowej, mogliśmy wnioskować, że o tyle też zostanie skrócona lista lektur. Tymczasem okazuje się, że te zmiany są kosmetyczne. Dopiero teraz być może coś się zmieni – odsunęła się od prac pani Wioletta Kozak, a za nią przewodniczący pracom doktor Kinga Bialek, właściwa osoba na właściwym miejscu.

Wydaje mi się, że tak niski poziom tegorocznej matury wynika z tego, że po raz pierwszy podchodzą do niej uczniowie techników. I gdyby nie obniżono poziomu trudności, to maturę zdałaby pewnie co trzecia osoba.

A tematy wypracowania? Dlaczego się Pani nie podobają?

– Nie chodzi nawet o same tematy. One są w porządku. Chodzi o dodatkowe wytyczne. Że uczniowie są zmuszeni, by odwołać się do lektury obowiązkowej. A jeżeli są zmuszeni, by budować argumentację bazując na lekturze obowiązkowej, to oni już nie myślą o własnych doświadczeniach, tylko o tym, jak dany problem ukazany jest w konkretnych tytułach.

Nie chodzi nawet o tradycyjną literaturę, bo uczeń nie może odwołać się do np.

„Ogniem i mieczem”, tylko musi odwołać się konkretnie do „Potopu”. Myśli bohaterami, którzy są wymienieni w konkretnych utworach. To nie jest swobodna wypowiedź.

Może odwołać się do „Ogniem i mieczem”, bo powinien też powołać się – oprócz lektury – na inny tekst.

– Ale przede wszystkim jest zmuszony, by argumentować w oparciu o pulę tekstów obowiązkowych. Nie jestem pewna, czy czytelnicy zdają sobie sprawę, że po 1989 roku nigdy uczniowie nie byli do tego stopnia zdyscyplinowani, by czytać konkretne teksty. Przed reformą tzw. tekstów z gwiazdką było zaledwie kilka. Poza tym ufano nam, polonistom, że będziemy uczyć zgodnie z własnym doświadczeniem literaturoznawczym, własnym rozpoznaniem tego, co jest wartościowym tekstem.

Dlaczego uczeń nie mógłby się odwołać np. do „Cierpień młodego Wertera”? Tylko dlatego, że ktoś sobie wymyślił, że teraz to nie jest lektura obowiązkowa? Przecież kiedyś się to czytało. Wielu uczniów ten tekst zna, bo nauczyciele go lubią, mają do niego materiały, mają przyjemność z jego omawiania. W ogóle nie bierze się pod uwagę możliwości i aspiracji nauczyciela, który też ma własne zaplecze metodologiczne, ma własny warsztat i jest w stanie opowiadać ciekawie o różnych tekstach spoza kanonu. I to będą opowieści wartościowe. Niekoniecznie to musi być literatura współczesna.

To mogą być też teksty z dawnych epok, które są gdzieś pomijane.

A co by się stało, gdyby uczeń odwołał się do np. „Cierpień Młodego Wertera”?
– Uczeń ma obowiązek odwołać się do lektury z listy lektur oraz do innego tekstu literackiego. Jeżeli pisałby o Werterze, a do tego nie dodał żadnego utworu obowiązkowego, praca nie przeszłaby tzw. bramki i musiałaby zostać oceniona na zero punktów.

Czyli chciałaby Pani, żeby wytyczne się zmieniły. Wtedy tematy stałyby się bardziej otwarte dla zdającego?
– Pisałam rozprawę doktorską o kanonie lektur szkolnych. Dla mnie samą koncepcję kanonu złożonego z tytułów w majestacie dzisiejszych koncepcji pedagogicznych należy uznać za niebyłą. Kanon nie może składać się z problemów, z idei. Dlaczego ja nie mogę omówić po prostu pięciu tekstów z epoki romantyzmu? Przecież ja jestem literaturoznawczynią. Nie potrzebuję, żeby pokazywano mi palcem konkretnego tytułu.

To samo, jeśli chodzi o tzw. uwspółcześnianie podstawy programowej. Ze spisu lektur uzupełniających ja jako nauczycielka mogę dodawać nowe. To w ogóle mi nie jest potrzebne: jakaś lista lektur uzupełniających. Ja jestem osoba czytana, tak jak inne polonistki i same wiemy, co mogłybyśmy czytać z uczniami. Tylko nie mamy na to czasu, bo musimy tłuc te teksty obowiązkowe.

Jak zmienić te wymagania?
– Uważam, że trzeba od nowa zbudować koncepcję matury. Całkowicie od nowa. By egzekwować umiejętności uczniowskie w zupełnie innym wymiarze. Może pójść tropem matury międzynarodowej? To nie jest jeden egzamin, to cykl projektowy. Abiturienti podchodzący do matury w systemie IB mają obowiązek odwołania się do tzw. global issues, problemów globalnych, czyli interpretują literaturę w przełożeniu na realne rozterki dotyczące dzisiejszej rzeczywistości społeczno-kulturowej.

Dlaczego nie bierze się pod uwagę wytycznych całej Unii Europejskiej dla szkół, że mają uczyć np. współpracy, kreatywności, rozwiązywania problemów? Przecież to można skorelować z nauką o literaturze. Nie robi się tego w ogóle.
Nie rozumiem też, dlaczego uczniowie muszą pisać na maturze rozprawkę. Przecież mogliby pisać coś innego. I powiem szczerze, że pokutuje oczekiwanie, że pojawią się doraźne wytyczne. To nie powinna być arbitralna decyzja jednej osoby. One powinny powstawać w wyniku cyklu interdyscyplinarnych konferencji naukowych, które spróbują odpowiedzieć na pytanie, jakiego człowieka ma ukształtować współczesna szkoła, jakiego obywatela.

Dołączam się do głosów osób, które apelują, żeby matury nie było w ogóle. Nie jest nam potrzebny taki centralny egzamin. Można się ograniczyć do egzaminów na studia. Kiedyś tak było.

Przeciwnicy takiego pomysłu mówią, że egzamin zewnętrzny to papierek lakmусowy dla systemu. Pokazuje, jak radzą sobie absolwenci z różnych regionów.
– Na razie wychodzi na to, że centralizacja edukacji pogłębia nierówności edukacyjne. Mamy dowody na to, że teraz dzieci na wsi o wiele gorzej radzą sobie z tymi egzaminami, niż dzieci w miastach. Tam jest gorszy dostęp do korepetytorów, nauczycieli przygotowanych przez Okręgową Komisję Egzaminacyjną. Centralny egzamin i podporządkowane mu współczesne szkolnictwo systemowe tak naprawdę potęgują nierówności. Pisała o tym Małgorzata Szeja, nauczycielka, pisał też Przemysław Sadura w znanej publikacji „Państwo, szkoła, klasy”.
Zastanówmy się, co rzeczywiście sprawdza ta matura? Nie sprawdza umiejętności, które są obiektywnie cenne. A co sprawdza tegoroczna matura? Kto na ile dobrze wkuł treść „Potopu”.

Rozmawiamy o maturze, którą wymyśliła jeszcze ekipa Anny Zalewskiej. W założeniu miał to być program dla ucznia szóstkowego, który ma szeroką wiedzę a historii literatury.
– Słyszę głosy, że ta matura wynika z tego, jak jest napisana podstawa programowa. Niemniej jednak uważam, że można by arkusze zrobić inaczej. Tylko że my – osoby nauczające – jesteśmy w tym momencie podwójnie zdyscyplinowane: i podstawa programowa i dodatkowo egzaminem.
A równie dobrze mogłabym odhaczyć sobie omówienie tego „Potopu” nawet dzięki obejrzeniu i przedyskutowaniu filmu, albo porównaniu fragmentów książki z filmem. I to by było wystarczające. Ale w obliczu takiego egzaminu maturalnego, w którym do ostatniej chwili nie wiem, ile będzie zadań dotyczących znajomości lektury, ślęczymy z uczniami nad tymi samymi tekstami, zamiast poczytać np. Virginię Woolf.

Przed nami nowe pomysły nowej ekipy, które również nie budzą zachwytu polonistów. Jak ma wyglądać przyszłoroczna matura oparta o obcięte podstawy programowe?
– Trudno powiedzieć, bo te zmiany są cały czas dyskutowane.
Jestem współautorką petycji „Bunt polonistów”. Zostaliśmy zaproszeni do MEN-u, rozmawialiśmy z ministrami Nowacką i z doktor Kingą Białek. Mamy nadzieję, że toczące się rozmowy przyniosą efekty.

Dlatego poloniści nie lubią dr Kozak i domagali się jej odejścia?
– Mogę mówić tylko za siebie. Chodzi przede wszystkim o formułę tej nowej matury. Nie tylko o podstawy programowe, w których znajduje się komentarz dr Kozak o tym, że nauczyciel ma bardzo dużą dowolność w zakresie doboru tekstów kultury.
Po czym ta sama osoba projektuje maturę, w której trzeba znać treść lektur, żeby odpowiedzieć na ok. 200 pytań na maturze ustnej z języka polskiego.
Zapytałam kiedyś na szkoleniu, czy uczeń ma znać na pamięć treść lektur, żeby zdać maturę ustną, usłyszałam od dr Kozak, że przecież będzie miał cztery lata, żeby nauczyć się na pamięć tych 200 odpowiedzi.
Rzeczywiście wyobrażała sobie, że to będzie odtwarzanie konkretnych informacji. Mamy po prostu inne spojrzenie na to, czym jest literatura i jak należy ją czytać.

Dr Kozak sama zrezygnowała z kierowania zespołem, który pracuje nad odchudzeniem podstaw programowych z języka polskiego. Myśli Pani, że „Bunt polonistów” miał na to wpływ?
– Trudno odpowiedzieć. Myślę, że raczej chodzi o profesjonalizm. Z tych nielicznych szkoleń wiemy, że ta nowa formuła matury być może nie była do końca przemyślana. Na to wskazują późniejsze liczne modyfikacje. Wcale się temu nie dziwię, bo cała reforma była robiona na szybko.
I nie sposób było przez ten czas opracować dobre arkusze maturalne. Te pierwsze pojawiły się już, kiedy uczniowie byli w trakcie kształcenia, pod koniec drugiej klasy.
Za każdym razem, kiedy wprowadza się reformę, jest bałagan. Reforma nie trwa rok, chwilę, tylko wiele lat. Tak samo będzie

z obecnym programem. Być może po kilku latach powolnego reformowania to wszystko wyglądałoby lepiej. Reforma, żeby była zrobiona dobrze, musi być poprzedzona kilkuletnimi konsultacjami, a potem powinna zaczynać się od przedszkola. Nie na żywym materiale, na dzieciach, które nie wiedzą, czy pójdą do siódmej klasy czy do pierwszej gimnazjum.
Historia się powtarza, znowu mamy operację na żywym organizmie. Obcina się podstawy programowe o 20 proc. Jak pani ocenia ten pomysł? I efekt?
– Przylączyłam się do buntu przeciwko wyrzucaniu mniej niż 20 proc. tytułów obowiązkowych ze współczucia dla dzieci, które w tej chwili są w szkole.
Natomiast jeśli chodzi o moja wizję tego, jak powinna wyglądać dydaktyka literacka w szkołach to uważam, że należy całkowicie od nowa wymyślić i podstawę programową i kanon lektur. I powtórzę: on nie może skła-

dać się z konkretnych tytułów. Na pewno nie może tych tytułów być tyle co teraz, czyli kilkadziesiąt.
To jest po prostu horrendum. To wiązanie rąk polonistom, którzy są zmuszeni, dyscyplinowani, by omawiać konkretne teksty, nawet jeśli pracują z dziećmi z porażeniem mózgowym.
Literatura powinna być żywa, dostosowana do potrzeb i zainteresowań dzieci. W tej chwili pracujemy na kanonie, którego nikt nie czyta. Dzieci czytają bryki, nie znają „Lalki”.
„Lalka” jest pięknym arcydziełem, ale wiem, że nie z każdą klasą tę „Lalkę” mogę omówić w całości. To jest moje rozpoznanie jako praktyczki. A wielu komentatorów, którzy zabierają głos w dyskusji o maturach, tego doświadczenia nie mają.

Pisanie podstaw programowych od nowa zaplanowane jest na rok 2026. A wcześniejze cięcie podstaw o 20 proc. według pani jest konieczne?
– Tak, dlatego że nauczaliśmy teraz w oparciu o wymagania egzaminacyjne. To było osobne rozporządzenie ministra z powodu Covidu, żeby roczniki, które tak długo pracowały zdalnie, miały równe szanse. Musiały więc pracować na okrojonym kanonie.
Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego nikt nie zaproponował najprostszego możliwego rozwiązania: przedłużenia tych wymagań. To nadal nie jest doskonale rozwiązanie, ale wiele by ułatwiło. A tak mamy kolejną dużą zmianę. W tej sytuacji najbardziej współczuję nauczycielom, którzy od września będą uczyć według nowych reguł. Bo trudno zaplanować materiał, kiedy się nie wie, czy omawiać „Chłopów” czy nie omawiać? A może we fragmentach?

Poloniści buntują się nie tylko na gwałtowne, ale przede wszystkim kosmetyczne zmiany. To nie będzie 20 proc. w przypadku polskiego?
– W dotychczas ogłoszonych dokumentach zbyt mało tytułów wyrzucono z kanonu. Wszystko jedno, czy mam do omówienia 21 obowiązkowych tytułów czy 25. Wciąż będę musiała odmawiać sobie wiele z tego, co chciałabym zrealizować, w oparciu o potrzeby uczniów.

Może w lokalnym teatrze wystawiona jest piękna sztuka. Może chciałabym omówić oryginalny tekst. Muszę przeznaczyć na to kilka godzin lekcyjnych. Tego rodzaju wycieczki poszerzenia, wzbogacenia są możliwe, gdy nie muszę robić powtórek kilkunastu tekstów, które mogą pojawić się na maturze. To mnie mocno ogranicza.
Dlaczego nie można było opatrzyć większej liczby tekstów dopiskiem, że omawiamy go tylko we fragmentach? Przecież nauczyciel, jeżeli chce, może omówić całość. Ale jeśli widzi, że klasa nie ma zainteresowań czytelnich, to dlaczego ma udawać z całą klasą, że zapoznała się z „Chłopami” Reymonta? Nie da się zmusić dziecka, żeby przeczytało lekturę. Możemy jedynie udawać, że przeczytali. Bo nie bardzo widzę siebie w roli policjanta.
A gdyby pozwolono na fragmenty, mogłabym na tej podstawie porozmawiać z klasą o sytuacji kobiet w dawnej Polsce albo o sytuacji chłopów. Albo o impresjoni-

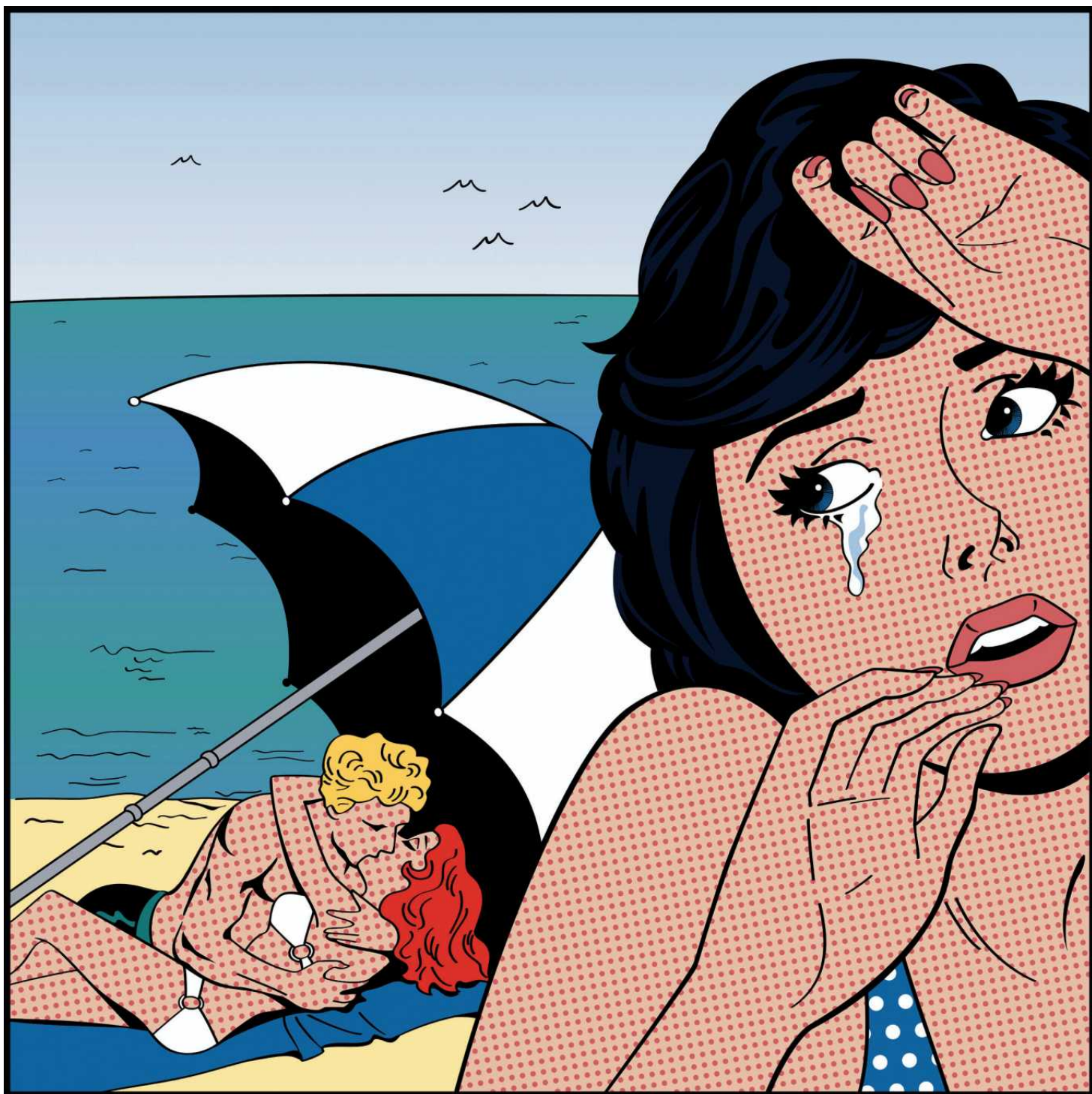
zmie, albo zestawić ich np. z „Chamstwem” Kacpra Pobłockiego. Mogę traktować literaturę jako tworzywo, na podstawie którego pokazuję różne rzeczy, motywy, konteksty.
A gdy uczniowie muszą znać utwór w całości, żeby móc zdać maturę ustną, to ja, zamiast pracować kreatywnie na tym tworzywie i próbować jakoś uczniów włączyć w ten proces, zaciekawić ich, muszę szczegółowo omówić całą fabułę i skupić się na świecie przedstawionym.
Czego pani oczekiwałaby teraz od ministerstwa?
– Cyklu interdyscyplinarnych konferencji naukowych z udziałem również analityków rynku pracy, i filozofów, i psychologów. Do magalałabym się, byśmy wspólnie doszli do jakiegoś konsensusu, czego chce uczyć nasza szkoła. Po co nam są w ogóle szkoły?
Przecież szkoła ma nie tylko kształcić, ale pełnić też funkcję socjalizującą. Ma przygotować współczesnego odbiorcę tekstów kultury. Szkoła nie pełni teraz swoich podstawowych funkcji. Uciekamy od wyzwań współczesności. I to jest bardzo duży regres. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

dr Aleksandra Korczak

• nauczycielka wyróżniona w Konkursie Nauczyciela Roku, nominowana do nagród Ireny Sandlerowej i Ryszarda Czerneckiego za publicystykę na rzecz oświaty. To ekspertka ds. kanonu lektur szkolnych i edukacji antydyskryminacyjnej ze szczególnym uwzględnieniem perspektywy gender studies. Autorka licznych artykułów i monografii, pracuje w CLV Liceum im. Bohaterów Powstania Warszawskiego, a także w Szkole w Chmurze.



FOT. GETTY IMAGES

Najsłynniejsza terapeutka par i rodzin próbuje rozwiązać konflikt płci

WYPALIŁO SIĘ

Choć lubimy tak o niej myśleć, miłość to nie jest permanentny stan entuzjazmu.

Z ESTHERĄ PEREL,
NAJSŁYNNIEJSZĄ NA ŚWIECIE
TERAPEUTKĄ PAR I RODZIN ROZMAWIA
AGA KOZAK

ESTHER PEREL: – Wiesz, od kiedy tu przyjechałam, mój polski zaczął wracać. Zaczynam przypominać sobie słowa takie jak „mleko”. W końcu rodzice byli Polakami [polskimi Żydami, więźniami obozów koncentracyjnych, po wojnie osiedli w Belgii], więc słyszałam polski przez całe życie. Od czego zaczniemy?

AGA KOZAK: Od miłości. Nie wiem ostatnio, czym jest. Czy to możliwe, że znaczenie tego słowa się zmieniło?

– Myślę, że przez długi czas, kiedy związki – małżeństwa – miały konkretną strukturę i skupiały się na obowiązku, powinności i nie było w nich wiele możliwości wyboru, miłość była wyrazem wolności i suwerenności. Wywrotowym kon-

ceptem w systemie, w którym nasza indywidualność i autentyczność nie mogły się wyrazić, a my nie mogliśmy się sprzeciwić.

Żeby podtrzymać związek, musiałś zrzec się siebie, więc miłość była jedynym sposobem, żeby w jakiś sposób pozostać przy sobie. Owa miłość znajdowała najróżniejsze wyrazy. Khalil Gibran – libański poeta przełomu XIX i XX wieku – wyraził to chyba najlepiej w swoim czasie językiem, który był zrozumiały dla świata.

Gdy miłość cię zawoła, podążaj za nią, chociaż jej ścieżki strome są i wyboiste. A kiedy jej skrzydła cię obejmą, poddaj się, chociaż miecz między nimi ukryty zranić cię może.

Miłość nie daje niczego oprócz siebie i nie żąda niczego, jak tylko siebie. Miłość nie posiada niczego i również jej nie można posiadać; Jako że miłość zaspokaja jedno miłość [tłumaczenie Barbary Sitarz]

Do tego wszystkiego miłość zawsze łączyła w sobie wiele funkcji: jest uczuciem, jest poświęceniem, jest aktem hojności, a jednocześnie suwerenności...

Życzliwości?

– Też. Miłość zawsze raniła, zawsze wynosiła cię na wyższy poziom, zawsze, w całej historii, towarzyszyła jej poezja. Zakochani we wszystkich kulturach zawsze śpiewali piosenki, tęsknili, wielbili się i wychwalali. Zazwyczaj pojawiał się element erotyczny. Podstawy miłości więc się nie zmieniły, ale ten kontekst tak.

Miłość sprawia, że obok siebie koegzystują troska i agresja. Atrakcyjność i zde gustowanie. Nękanie i odkupienie. Ale głównym przekazem naszej kultury jest to, że życie ma być łatwe. Więc miłość ma być łatwa. Taka, gładka, smooth. Jak sunące delikatnie samochody i menu Netflix

Gdy jestem w Polsce, to myślę sobie, że w komunizmie erotyzm, seksualność były prawdopodobnie jednym z głównych źródeł wolności ekspresji. Były przestrzenią, w której nie byłeś nadzorowany, więc można było siebie wyrazić, nie dostosowując się do systemu.

Nie zgodzę się – widać to po polskiej akcji „Hiacynt”. U schyłku komunizmu, w latach 80., gdy na Zachodzie walka o prawa osób LGBTQ+ trwała w najlepszym, geje czy lesbijki nie musieli się kryć, nieheteronormatywność już nie szokowała, u nas milicja i bezpieka inwigilowały gejów, zakładały im teczki, niektórych szantażowały. Podobnie było u Czechów, co opisywał Kundera.

– Ale to nie zmienia tego, że w społeczeństwie, w którym ludzie mają więcej wolności, związki organizują się wokół wielu możliwych wyborów i opcji, gdzie małżeństwo opiera się na miłości, nie na ekonomicznym sojuszu – doświadczamy mocniej kruchości miłości. Nieuniknionego procesu starzenia się uczucia. Żyjemy w poczuciu, że – inaczej niż małżeństwo, które nas wiązało niegdyś do grobowej deski – może się skończyć każdego dnia. I paradoksalnie

wcale nie jesteśmy bardzo zainteresowani rozpalamiem jej na nowo.

Myślę, że jednym z powodów, które sprawiają, że moje książki – „Inteligencja erotyczna” i „Kocha, lubi, zdradza” – się tak sprzedają, jest to, że miłości nie da się „wylączyć i włączyć”. I że miłość – jak lubimy o tym myśleć – to nie jest permanentny stan entuzjazmu.

Powtarzasz często, że miłość to czasownik.

– I że się odmienia. W każdym języku. Fizycznym, emocjonalnym, w działaniu – a tak naprawdę wiele jest języków, którymi trzeba się posługiwać, chcąc kochać. Miłość w nich wyrażana zawiera sprzeczności, wręcz rażące przeciwieństwa.

To właśnie tu – to słyszę w gabinecie i na spotkaniach – ludzie potrzebują praktyki, pomocy, ćwiczeń, potrzebują to przyswoić i zrozumieć. Miłość sprawia bowiem, że obok siebie koegzystują troska i agresja. Atrakcyjność i zdegustowanie. Nękanie i odkupienie. Największym wyzwaniem dla ludzi jest unieść te przeciwieństwa. Bo głównym przekazem naszej kultury jest to, że życie ma być łatwe. Więc miłość ma być łatwa. Taka, gładka, smooth.

Od pewnego czasu sprawia to również zaszyta w nasze życie AI...

– ...sunące delikatnie samochody, a nawet tak łatwe w obsłudze menu Netflixa. Wszystko ma być dostępne, proste, bez tarć i frykcji.

Mamy w tym gładkim świecie więc wyobrażenie miłości jako bajki, w której nadal spotykamy księcia lub księżniczkę. Zgrabnie omijamy to, że po tym, jak się spotkamy, trzeba będzie wspiąć się na górę i zabić smoka.

– Biorąc pod uwagę, jak ciężkie były dla was nawet lata 90. czy dwutysięczne to ciekawe, że wy, Polacy, wpadliście w pułapkę wyobrażenia o łatwości scenariuszy życia. Jeśli już nie wasze matki, to wasze babcie miały naprawdę ciężko. Jakim sposobem kupiliście tę fantazję tak szybko?

Byliśmy spragnieni wyrównania, „żeby było tak, jak na Zachodzie”. Biznesu, wolności, władzy, pieniędzy, jakiejś – wreszcie! – wygody. I zrobiliśmy to za szybko – nie przechodząc w pełni faz transformacji, unikając ich przeżywania. Myślę, że nasz turbokapitalizm w ogóle karmi się iluzjami, bajkami – bazując na typie romantyzmu, który przez lata nas kształtował. Po serii porażek w końcu chcemy mieć za wszelką cenę wszędzie sukcesy. I żeby w końcu było łatwo.

– Jestem bardzo was ciekawa. Widzę wyraźnie, że nie przeszliście tak po prostu od komunizmu do demokracji – przeszliście od komunizmu do kapitalizmu. W inny sposób niż Węgry, Rumunia, jeszcze jednak nie złapałam tego, co te procesy różni.

Na razie układam sobie te puzzle. Jako terapeutka słyszę też różne przekonania, którymi się karmicie. Dlaczego np. kobiety w Polsce tak często mówią, że „mężczyzn nie było, mężczyźni odeszli”. Dlaczego nie mówicie, że mężczyźni zostali zmuszeni do tego, żeby żyć w samotności? Jeśli mówicie, że odeszli, łatwo będzie wam, kobietom wysnuć tezę, że są bezużyteczni, beznadziejni. „Usuńcie się i nie wracajcie do domu pijani”.

Ale przecież mężczyźni przez wiele lat byli zmuszani, żeby się zapracowywać dla dobra swoich rodzin gdzieś daleko, na emigracji. I byli tam sami i samotni. Jak się na to popatrzy pod innym kątem – zmienia się postrzeganie tej historii, prawda? Nagle pojawia się empatia, współczucie, troska, ale przede wszystkim prawda.

Chodzi ci o to, że opowieści rodzinne, historia – były nam przekazywane w pewien sposób?

– Tak. Bardzo ważne jest, żeby dostrzec, usłyszeć też te inne narracje, nie tylko swoją. To właśnie robię, kiedy pracuję z pa-

rami. Wchodzisz na sesję terapeutyczną z jedną, ustaloną historią, w którą wierzysz. I – mam nadzieję – wychodzisz z innym na nią spojrzeniem, z inną narracją właśnie. Bo jeśli narracja nie jest inna – nie ma przecież co zmieniać prawda?

Jest szansa, że i kobiety, i mężczyźni w Polsce zaczną opowiadać swoje prawdziwe historie, ze swojego punktu widzenia. Ci ostatni właśnie zorganizowali pierwszy Kongres Mężczyzn. – Czy kobiety poczuły się tym zagrożone?

Niektóre tak. Ja przede wszystkim czułam ulgę. Że być może w procesie naszej emancypacji, ale przede wszystkim w życiu, będziemy miały partnerów.

– Mam nadzieję, że to nie będzie zagarniecie terenu w stylu Jordana Petersona [jeden z najbardziej wpływowych intelektualistów świata, psycholog celebryta udowadniający zalety tradycjonalistycznych narracji przy pomocy antropologii, nazywany „coachem alt-rightu” i „guru inceli”]. Że twórcy Kongresu nie będą chcieli „wrócić do dawnych czasów”. Kiedy o tym opowiadasz, brzmi to faktycznie, jakby chcieli zmiany narracji i równych praw.

Ale to będzie trudny proces dla obydwu stron – również dla kobiet, bo nikt nie lubi oddawać władzy. Wiemy, jak bardzo mężczyźni tego nie lubią, ale doszliśmy – my kobiety – już w swojej samoświadomości chyba do momentu, w którym możemy powiedzieć, że i my mamy pewną władzę – zwłaszcza w kontekście rodzicielstwa.

A seksualności? Słyszę tu wielką zmianę: niegdyś to mężczyźni narzekali, że kobiety odmawiają, że to one nie chcą. Teraz słyszę odwrotną: my chcemy, oni nam siebie odmawiają.

– Opowiem ci coś, co powtarza się w moim gabinecie. Kiedy wkracza para heteroseksualna, często mężczyzna mówi: „nic nie podnieca mnie bardziej, niż oglądanie jej podniecone”. Gdy widzi, że ona jest podniecona, wie, że to, co się dzieje, jej sprawia przyjemność. A to, że jej się to podoba, oznacza, że on w tej sytuacji nie jest predatorem. I to go wyzwala. Nie musi już się martwić, być opiekuńczy – upewniać, że jej do niczego nie zmusza.

Tymczasem nie usłyszałam od żadnej heteroseksualnej kobiety: „nic nie podnieca mnie bardziej, niż jego podniecenie”. Je podnieca nie to, co się dzieje z nim. A to, co się dzieje z nią. Bo kobieca seksualność jest bardziej narcystyczna. Jeśli w śpialni on potrzebuje wywołania z lęku przed byciem drapieżnikiem, atakującym – czyli jego społecznej odpowiedzialności, która wymaga od niego bycia obrońcą, to ona też musi wyzwolić się ze swojej roli społecznej – opiekowania się, dbania o innych.

Żeby więc doświadczać przyjemności, kobieta musi myśleć o sobie. Pozwolić sobie na to i się tym rozkoszować. I nie myśleć, jak on się czuje – czy jeśli jest tych osób więcej – to jak oni się czują. To bardzo ciekawa rearanżacja ról. Zmienia całą perspektywę, prawda? I w tym kontekście możemy zapytać od razu, co mężczyźni widzą w pornografii...

To pytam.

– Wokół męskiej i kobiecej seksualności jest mnóstwo mitów, przeinaczeń i nieporozumień. W skrócie: mówią one, że kobieca seksualność zależy od kontekstu i buduje się na rusztowaniu z emocji, podczas gdy męska seksualność jest bardziej stała, zawsze w poszukiwaniu ujęcia w postaci powtarzającego się ruchu i że właściwie wszystko jest dozwolone. Tak jakby lęk i depresja nie zmieniały męskiej seksualności!

Kobiety – w tych stereotypach, w kulturze – mają prawo być niezainteresowane seksem. Mężczyźni nie. Mężczyźni muszą chcieć seksu, bo ich męskość, tożsamość jest oparta na przekonaniu, że jeśli nie są seksualni, nie są wystarczająco męscy. Kobiety nigdy nie są uznawane za „niewystar-

■

Dlaczego kobiety w Polsce tak często mówią, że „mężczyzn nie było, mężczyźni odeszli”. Dlaczego nie mówicie, że mężczyźni zostali zmuszeni, żeby żyć w samotności? Żeby się zapracowywać dla dobra swoich rodzin gdzieś daleko, na emigracji. I byli tam sami i samotni

czająco kobiece” – w powszechnym przekonaniu biologia sprawia, że są kobietami.

Nie są oczywiście „perfekcyjnymi kobietami”, ciągle podlegają ocenie, ale są uznawane za kobiety? Nie wiem, czy się z tym zgadzam.

– Kobiety nie muszą wciąż udowadniać, że są kobietami. A mężczyźni, że są mężczyznami, muszą udowadniać ciągle. Często powtarzam, że męskość to tożsamość, którą trudno zdobyć i łatwo stracić. Jest krucha. Wątpla.

No dobrze, to czego w tym kontekście mężczyźni szukają w pornografii? – Zrobiłam research, mocno to przemyślałam. Po pierwsze: performerki są zawsze podniecone. Nigdy nie mówią „nie”. Zawsze mówią „więcej, więcej, więcej”. Dzięki temu on nigdy nie musi czuć się dziwny czy zachlanny. Po drugie – to nawet ważniejsze niż punkt pierwszy – nigdy nie jest nieadekwatny, niewystarczający.

A to wielki lęk mężczyzn?

– Obezwładniający. Tzw. lęk przed performancem, wykonem. Mężczyźni ciągle martwią się o to, czy sobie poradzą. A nie martwią się o to, czy ona sobie poradzi, czy ona się sprawdzi w łóżku. Mężczyźni myślą, jak to zrobić dobrze, jak mieć zwzód, jak pozostać twardym, jak sprawić, żeby to trwało – oczywiście w takim bardzo skupionym na wykonie i penetracji modelu seksu, bo są i inne.

No więc z performerką w porno mężczyzna nigdy nie dochodzi „za wcześniej”. Czas jego wytrysku nie ma znaczenia, bo w tym układzie ona i tak zawsze dojdzie. No i on nie musi zastanawiać się, czy ona udaje – a w realnym życiu nigdy tak naprawdę nie wie, nigdy nie jest tego pewien. I nie będzie tego wiedział. Bo kobieta może krzyczeć i się wić, jednocześnie nie czuć absolutnie niczego, bo to np. jej praca, performance. To trzy.

Czyli czego według ciebie tak naprawdę chcą mężczyźni?

– Chcą, żeby kobiety tego – seksu – naprawdę chciały. Nie chcą się czuć zawstydzani, jak chłopcy. Chcą się czuć adekwatni, odpowiedni. Chcą zadowalać. Chcą wiedzieć, że ta sytuacja, w której biorą udział, kobieca przyjemność – są prawdą. Jeśli to nie są pragnienia emocjonalne, to ja nie wiem, czym są emocje! Kiedy więc obserwuję kobiety i mężczyzn, wydaje mi się, że jesteśmy o wiele bardziej podobni, niż nam się wydaje.

■

Zabiera nam eksperymentowanie, złe wybory i radzenie sobie z ich konsekwencjami. Odbiera nam niepewność i tajemnicę

Oczywiście w kwestiach społecznych moglibyśmy napisać książkę o różnicach między nami. Jednak kiedy popatrzymy na nasze prawdziwe pragnienia, tak bardzo się nie różnimy. Co więcej – uzupełniamy się. Nie jesteśmy tacy sami, ale te puzzle do siebie pasują. Nie możemy mówić „ona ma uczucia, a on ma organy”!

Uzupełniamy się, ale żeby poczuć to, musimy czuć się przy sobie. A żeby to zrobić, potrzebujemy uczyć się mówić „nie” – po to, żeby móc mówić „tak”. – Tu nie tylko chodzi o granice, chodzi też o to, żeby objąć swoje pragnienie. To dlatego tak dużo piszę o pożądaniu, erotyce – bo pożądanie to objęcie swojego pragnienia. Ktoś może cię zmusić, żebyś miała z nimi seks, ale nie może cię zmusić, żebyś go pragnęła.

Jako kobiety mamy bardzo małe historyczne doświadczenie w braniu odpowiedzialności, obejmowaniu, byciu w kontakcie ze swoim pragnieniem, pożądaniem. No chyba że w romansie. Przez lata kobiety w małżeństwach miały po prostu wypełniać obowiązki. Kobiety wiedziały, czym jest pożądanie – ale nie en masse.

Ale wiele kobiet – I chyba wielu mężczyzn też – nadal nie wie, czego chce, czego pożąda. Nikt nas o to nie pyta, same nie zadajemy sobie tego pytania. Rozmawiałam o tym ostatnio z badaczką pornografii: korzystamy ze scenariuszy z porno i nie nazywamy tego, bo wydaje się to niebezpieczne: co, jeśli okaże się to niezgodne z normą, co jeśli nigdy nie osiągnę w tym spełnienia, nikt mnie z tym pragnieniem nie będzie chciał, nie przyjmie?

– Robię takie zdanie na sesjach: kobiety mają dokończyć zdania „wylączę się kiedy...” „nie podniecam się, gdy...”. Zazwyczaj słyszę: „kiedy martwię się o dzieci, kiedy stresuję się pracą, kiedy jestem opuchnięta, kiedy nie lubię mojego ciała, kiedy nie miałam czasu dla siebie”. Te odpowiedzi pokazują, jaki mamy stosunek do przyjemności, radości, sensualności, nas samych.

Pytam też o odwrotność: „co sprawia, że czuję się połączona, podniecona?”. Co mnie budzi, co sprawia, że się rozpalam? To ważne pytanie dla pary, bo jeśli kobieta jest na przyjemność zamknięta, to w większości przypadków mężczyzna może robić cuda i nic się nie stanie, bo dla kobiety liczy się to, czy ona jest na to otwarta – to jest w centrum relacji.

Co odpowiadają na to pytanie kobiety?

– Kiedy jestem w lesie, kiedy mam kontakt z naturą, kiedy pływam nago, kiedy tańczę, kiedy robię albo doświadczam masażu, kiedy wychodzę ze znajomymi. Kiedy daję sobie pozwolenie, żeby myśleć o sobie, dla przyjemności, radości, która jest ścieżką do seksu. Seks dla kobiet zaczyna się w tych wszystkich miejscach.

Pozwól, że jeszcze coś ci opowiem.

Proszę.

– W trasie, gdy jeżdżę z moją książką po USA, zawsze proszę ludzi – a na sali jest po 3 tysiące osób – żeby wyciągnęli telefony. Wygaszamy światła i proszę, żeby włączyli latarki ci, u których w domu, gdy dorastali seksualność była w centrum zainteresowania. Światel jest niewiele, ale proszę, żeby ich nie gasili.

Ludzie myślą, że seksualność jest centralną częścią życia tylko wtedy, kiedy o niej rozmawiali, otrzymali sensowną edukację seksualną, lub jeśli widzieli rodziców, którzy wyrażali sobie uczucia i się całowali. Następnie zadaje to pytanie inaczej: jeśli seksualność była tabu lub była ukrywana, lub zabroniona, kiedy dorastaliście – włączcie latarki”. I pojawia się morze światełek.

Wtedy proszę, żeby włączyli swoje ci, którzy doświadczyli seksualnego nadużycia i u których w domu była zdrada. Świeci się już około 90 procent komórek na sali. To bardzo wzruszający moment. Wtedy

pytam: jak możecie myśleć, że jeśli coś jest ukryte, to nam nie towarzyszy? Że zdrada nie odbija się na pokoleniach? Że coś znika, jeśli się o tym nie mówi? Tyle mamy do omówienia, rozpakowania, zaadresowania. I w tym jesteśmy równi – mężczyźni i kobiety – wszyscy musimy ściągać warstwy tej cebuli, warstwy farby z malowideł naszego życia.

A czy niektórzy młodzi ludzie nie chodzą teraz na terapię, zamiast żyć? Wiecznie przygotowują się do życia – albo go unikają – zamiast popelniać błędy, uczyć się na nich i nawet mieć złamane serce?

– Musimy tu rozróżnić terapię, która ma pomóc poradzić sobie z jakąś trudnością, chorobą, a taką, która jest nastawiona na wellbeing: czyli zanim kogoś pokochasz, warto, żebyś pokochał/a, poznał/a siebie. To jest produkt wpisane-go w nasze czasy indywidualizmu: nie idziemy przez życie, żeby się go nauczyć. Czasem faktycznie zamienia się to w życie bez tarć, gładkie, wypolerowane jak ostrze noża, usuwa z naszej drogi wszelkie przeszkody. Zabiera nam eksperymentowanie, złe wybory i radzenie sobie z ich konsekwencjami. Odbiera nam niepewność i tajemnicę.

Są ludzie, którzy chcieliby się tak zabezpieczyć. Ale z mojego punktu widzenia normalizowanie terapii jest ważne, bo ściąga z niej stygmy – że to „coś dla wariatów”. Mamy nową rolę psychoterapii: terapeuci zastąpili księży, którzy zastąpili kiedyś babcie.

Nie mamy już – choć powoli do tego wracamy – kobiet drących ze sobą pierze, które rozmawiały o swoich sprawach i mężczyzn, którzy na piwie rozmawiali o swoich...

– Tak! Jesteśmy wszyscy coraz bardziej samotni. I na jakimś poziomie psycho-terapia nie jest procesem społecznym – czasem sprawia, że się jeszcze bardziej izolujemy. To dlatego nagrywam i udostępniam rozmowy w podcaście: to wręcz kampania na rzecz zdrowia publicznego!

Uchylam drzwi do „tajemnego” pokoju psychoterapeutki i mówię – to nie jest coś, o czym powinniśmy dyskutować jedynie w zaciszu gabinetu, lecz coś, o czym powinniśmy rozmawiać razem. To, że nie radzimy sobie ze związkami, że przemiany społeczne są przytłaczające, że wszyscy kochamy, mamy zranione serca czy się zdradzamy. Nasze prywatne musi stać się publiczne, nasze dramaty, dramy, problemy muszą być omawiane szeroko, bo to jest normalne życie, nie psychopatologie!

Wiec, jeśli miałabym to jakoś podsumować, to powiedziałabym, że widzę, że postępuje jednocześnie demokratyzacja terapii, jak i jej skundlenie. Czy to jest zrozumiałe?

Zły pieniądź wypiera dobry. To, co staje się popularne, obniża jakość. Wystarczy popatrzeć na Ubera: z luksusowych aut na jedno kliknięcie zamienił się w, no właśnie...

– Prywatna praktyka, którą prowadzę, jest ekskluzywna, ale demokratyzuję terapię podcastem. Uważam, że to ważne dla nas jako społeczeństwa: przedyskutować, w jaki sposób nawigować sobą i swoimi relacjami w czasach, kiedy każdy z nas ma tyle wymagań wobec związków.

Partner/ka ma być nie tylko mężem/żoną, rodzicem, zabezpieczeniem finansowym, czy opiekunką domowego ogniska, ale i najlepszym przyjacielem/ką, kochankiem/ką, partnerem w podróżach, remontach, ale też pasjach. Terapeutą/ką. Czasem też poetą czy obrońcą. Lista się nie kończy.

– Nagle wszystko jest negocjowalne, możliwości jest tak wiele, a my nie umie-

my negocjować. Atrofia społeczna postępuje, mamy do siebie coraz mniej dostępu, coraz częściej wiemy, czego chcemy, ale nie mamy tego od kogo otrzymać albo nie wiemy, jak o tym porozmawiać.

Umiemy czasem się nawet wyrazić, ale nie przyjmujemy cudzego punktu widzenia, nie umiemy zawierać kompromisów, bo przyzwyczajeni jesteśmy do bardzo spolaryzowanego świata. A przez social media ludzi bardziej obchodzi zdjęcie jedzenia, które opublikują, niż smak tego jedzenia.

Zdjęcie z kimś, a nie prawdziwa rozmowa.

– Młodzi terapeuci od czasów pandemii czasem w ogóle nie spotykają się twarzą w twarz z pacjentami. A naprawdę jest różnica, kiedy ktoś wchodzi do twojego gabinetu, kiedy możesz tę osobę poznać, zobaczyć jej ciało.

Pacjent jednej z moich studentek popelniał samobójstwo. Powiedziała mi: „nigdy nie zobaczyłam nawet, ile miał wzrostu, czy był wysoki”. To dlatego rozmawiamy tyle o somatyce i psychosomatyce, o tym, jak ważne jest ciało w procesie terapeutycznym. Nie możesz rozmawiać o ciele pacjenta i jego znaczeniu w terapii bez widzenia i dotykania go.

To bardzo ciekawy moment dla terapeutów. Mam wrażenie, że jesteśmy na chwilę przed mega transformacją procesów terapeutycznych. Bo znaczenie terapii, jej miejsce w społeczeństwie się zmieniło: nie przychodzimy do terapeutów już tylko z powodu schizofrenii czy zaburzeń typu borderline. Przychodzimy, bo chcemy lepiej żyć. A potrzeba lepszego, pełniejszego życia może być zaopiekowana w gabinecie, ale musi być zaopiekowane też we wspólnocie i po prostu – żyjąc. ●



FOT. KINGA KENIG

*Esther Perel

• jest najśłynniejszą na świecie terapeutką par i rodzin, autorką pojęcia „inteligencja erotyczna” i książki, która w Polsce ukazała się pod właśnie tym tytułem.

Z mężem i dwojgiem dzieci mieszka w Nowym Jorku, gdzie prowadzi prywatny gabinet i uczy na wydziale Psychiatrii New York University Medical School. Współpracuje też z Uniwersytetem Kolumbii w ramach programu Międzynarodowych Studiów nad Traumą, którego dyrektorem jest jej mąż.

Jest ekspertką w problematyce rodzin dotkniętych wojną, uchodźstwem lub żyjących w powojennych warunkach. Zajmuje się specyfiką związków, w których partnerzy różnią się pochodzeniem kulturowym, etnicznym lub wyznawaną religią. Ostatnio – również zdradą.

• W Polsce właśnie ukazała się (nakładem wydawnictwa Znak) jej nowa książka „**Kocha, lubi, zdradza. Nowe spojrzenie na problem wierności i niewierności w związku**”



Pies ogrodnika patrzy na krzyż

Skoro to tylko dwa kawałki drewna, ile zyskuje nasze świeckie państwo na ich usunięciu?



Marcin Matczak

Karen Stenner, politolożka, która bada, jakie jest ryzyko powrotu autorytaryzmu, pisze, że zwiększa się ono, gdy zwiększa się polaryzacja. Pisze też, że atakowanie rzeczy ważnych dla konserwatystów nie równa się atakowaniu rzeczy ważnych dla postępców. Innymi słowy, liberałowi łatwiej znieść twierdzenie, że Lech Wałęsa był agentem niż osobie o poglądach religijno-konserwatywnych przyjąć argument, że Jan Paweł II miał udział w kościelnej zbrodni pedofilii.

Dlaczego tak jest? Bo konserwatyści mocniej niż osoby progresywne utożsamiają się z tym, co cenią. W jakimś sensie świat zawala im się bardziej niż postępowcom, gdy ktoś atakuje ich porządek normatywny. Postępowcy rozumieją, że ludzka natura jest bardzo złożona. Że Jacek Soplica może być jednocześnie księdzem Robakiem, że św. Piotr, opoka, może się żałośnie wyprzeć swoich ideałów. I że to nie pozbawia tych osób wartości.

Dla konserwatystów świat jest bardziej czarno-biały. Dla wewnętrznego spokoju potrzebują więcej jednoznaczności, więcej niepokalanego oczęcia, które spogląda na świat piękny i czysty, bez domieszki zła. Stąd nie istnieje bezwzględna symetria w razach, które wymierzają sobie konserwatyści i postępowcy. „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie” tu nie działa, a „oko za oko, ząb za ząb” nie daje pożądanego efektów.

I na to wszystko wchodzi Rafał Trzaskowski i dekretuje ściągnięcie krzyży w urzędach. I oczywiście w pewnym układzie odniesienia ma rację. Krzyż jest symbolem religijnym, a urzędy powinny w świetle Konstytucji RP zachowywać religijną bezstronność. W swojej bezwzględnej logice prawo wydaje się stać po stronie krzyży ściągnięcia.

Nie bez przyczyny jednak starożytni mówili „Summum ius, summa iniuria” – „najwyższe prawo, najwyższa niesprawiedliwość”. Bo to, co wydaje się słuszne z jednej perspektywy, z innej wydaje się strasznie głupie.

Bo kogo ten krzyż boli bardziej niż jego brak? Skoro symbole religijne dla części naszego społeczeństwa nie znaczą nic, jaka intencja stoi za ich usunięciem? Czy brak znaczenia domaga się jednak unicestwienia? To jakaś logiczno-metafizyczna sprzeczność: czemuś nieważnemu z perspektywy usuwających przypisuje się jednak wagę, uznaje się za konieczne, by to coś zakwestionować. Skoro to tylko dwa kawałki drewna, ile zyskuje nasze świeckie państwo na ich usunięciu? Czy nie jest to jakiegoś rodzaju sadyzm społeczny, który innym zabiera, choć niczego nie traci, bo przecież nie uznaje za ważne tego, co usuwa? Czy to nie przypadek psa ogrodnika, który sam nie skorzysta, a innemu odmówi?

I czy rzeczywiście chodzi o to, żeby realizować art. 25 naszej konstytucji? Teoretycznie usunięcie krzyża jest podykto-

wane przekonaniem, że ten symbol religijny w przestrzeni państwa oznacza poparcie dla konkretnego wyznania. A to nie jest bezstronne.

Piszę „teoretycznie”, bo w praktyce interpretacja art. 25 konstytucji w sposób, który nakazuje usunąć krzyż, prowadzi do absurdu. Pomyślcie proszę: czy narusza bezstronność religijną władzy państwowej pałaca się w Sejmie świeca chanukowa? Czy skoro art. 25 Konstytucji mówi także o bezstronności państwa w sprawach światopoglądowych, to czy naruszała ją tęczą na placu Zbawiciela, ten „Łuk LGBTQ+”, wspierany przez miasto stołeczne, stworzony jako element programu kulturalnego polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej?

Mam nadzieję, że wasza odpowiedź w obu przypadkach brzmi „nie”. I świece chanukowe, i tęczą są symbolami zapraszającymi do wspólnoty. Dlatego jesteśmy oburzeni, gdy jakiś brodaty barbarzyńca atakuje te świece z gaśnicą albo gdy inny podpala tęczową instalację. Rozumiemy aktywistę LGBTQ+, który wnioskuję o przywrócenie tęczy, mówiąc: „Warszawa jest dla wszystkich!”.

Ale potem okazuje się, że jednak nie dla wszystkich. Bo okazuje się, że choć tęczą zaprasza do wspólnoty, a krzyż wyklucza. Bo świeca chanukowa to szacunek dla religii, a krzyż to jej niekonstytucyjne promowanie.

Wiem, co napiszecie w komentarzach. Większość będzie zawierała wyzwiska jakoby wykształconych i otwartych na świat czytelników i stwierdzenie, że ten felieton to belkot, bez podania żadnego argumentu na rzecz tej tezy. Na szczęście inna grupa, zasługująca na szczególny szacunek, spokojnie przedstawi argumenty. Napisze może, że ani świeca chanukowa, ani tęczą nie roszczą sobie prawa, by stać się symbolami państwowymi, a krzyż z powodu działań PiS stał się, jak kiedyś, symbolem konkwisty: zdobycia państwa dla siebie i swoich wyborców. Że – niestety przy udziale Kościoła – dzielił, a nie zapraszał do wspólnoty. I to będzie prawda.

Jeśli jednak usunięcie krzyża jest reakcją na to, co z katolicyzmem zrobiło państwo PiS, to nie o bezstronność religijną tu chodzi, ale o „damnatio memoriae”. O znaną od starożytności praktykę „potępienia pamięci” po odchodzącej władzy: skuwanie inskrypcji, usuwanie wizerunków z przestrzeni publicznej, niszczenie posągów minionych władców. Chodzi o tę samą potrzebę odwetu, która każe ludziom żądać likwidacji pomników Lecha Kaczyńskiego czy usunięcia pomnika smoleńskiego.

Bezstronność można realizować inaczej – przez równe traktowanie katolików i niekatolików, przez obecność w przestrzeni publicznej wszystkich ważnych dla Polaków symboli, nie przez nieobecność wybranych. Można by powiedzieć – „nie ściągajcie krzyży – wieszajcie własne”, trawestując Jacka Kuronia. Bo inaczej tylko uderzanie w konserwatywne uczucia i wzmacnianie niedawną władzę, która znowu będzie mogła udawać obrońcę wiary.

A to tylko zwiększy polaryzację i ryzyko autorytaryzmu. A my dalej zamiast jednego narodu będziemy mieć dwa coraz bardziej obce sobie plemiona. Jedni będą usuwać, drudzy będą wieszać, jak kibice wrogich klubów piłkarskich kradnący sobie flagi, jak dwie armie zatykające swoje sztandary na ruinach poprzedniego reżimu.

Jeśli to jest neutralność, to raczej neutralność wobec empatii i zdrowego rozsądku, jakaś taka wybrakowana. Brakuje w niej przekonania, że potrzebujemy gestów budujących wspólnotę, a nie wprost przeciwnie. ●

Co mnie urzekło

Eremita w dzinsach



• **Schronisko-
posterunek
Assekrem
z samochodami
naszej obsta-
wy. Za nim na
szczycie budynki
pustelni** FOT. PRZE-
MYŚLAW URBAŃCZYK

Każdemu autu z turystami jadącemu w głąb algierskiej pustyni obowiązkowo towarzyszy co najmniej jeden samochód z uzbrojonymi żołnierzami

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Pustelnicy należą dzisiaj raczej do legend o bardzo dawnych czasach niż do otaczającej nas rzeczywistości. Wciąż są jednak ludzie, którzy szukają skrajnego odosobnienia, aby w kontakcie z nieskażoną przyrodą poświęcić się kontemplacji. Dwóch takich eremitów mieszka na szczycie góry po środku algierskiej pustyni.

Turystyka z wojskową asystą

Nie łatwo tam dotrzeć, bo z jakiegoś powodu obecne władze Algierii bynajmniej nie zachęcają do odwiedzin swojego kraju, reglamentując liczbę wydawanych wiz turystycznych. Szczególnie dużą determinacją muszą się wykazać ci, którzy chcieliby się udać na pustynię, pokrywającą ogromną większość powierzchni tego wielkiego państwa. Zgodę na taką wycieczkę można dostać tylko za pośrednictwem jednej z niewielu operujących na południu agencji turystycznych, która musi wziąć odpowiedzialność za bezpieczeństwo swoich klientów.

Jest to zapewne pokłosie tragicznych wydarzeń sprzed dwudziestu kilku lat, kiedy Islamska Armia Ocalenia dokonała kilku spektakularnych morderstw na nieostrożnych turystach. Spowodowało to poważne straty wizerunkowe, których obecny rząd chce uniknąć. Toteż każdemu samochodowi z turystami jadącemu w głąb pustyni obowiązkowo towarzyszy co najmniej jeden samochód z uzbrojonymi żołnierzami, dla których jest to pewnie jakiś przerywnik w nudnym koszarowym życiu.

Co rano musieliśmy więc czekać w mieście Tamanrasset na wojskową asystę. Tak było i w dniu, kiedy lokalny przewodnik postanowił zawieźć nas do „pustelni ojca Foucauld”, co nie brzmiało zbyt zachęcająco, tym bardziej, że do pokonania było ponad 80 km szutrowych dróg Parku Narodowego L'Ahaggar. Dużo ciekawsze wydawały się pradziejowe grobowce, ryty naskalne i na wpół wyschnięte oazy, koło których kręciły się wielbłądy.

Naszym punktem docelowym była położona na wysokości 2575 m n.p.m. przełęcz Assekrem, gdzie znajduje się schronisko, czy raczej noclegownia. Jest to prosty kamienny budynek, w którym nie ma ani łazienek, ani toalet, ani nawet kranu z wodą. Śpi się we własnych śpiworach na materacach rzuconych na podłogę w dużej sali bez mebli. Jedynym luksusem był kucharz, który przygotował kola-

cję i śniadanie. Żołnierze z naszej obstawy mieli oddzielne wejście do drugiej części budynku, która chyba pełni funkcję posterunku.

Stamtąd trzeba się było jeszcze wdrapać dwieście metrów wyżej wąską ścieżką na górą nad okolicą szczytu, żeby dotrzeć do pustelni i zdążyć na zachód słońca. Nikt nas nie uprzedził, że jednym z dwóch pustelników jest brat Zbyszek – Polak, który już od kilkunastu lat mieszka na tym pustkowiu. Kiedyś było ich trzech, ale dziewięćdziesięcioletniego brata Edwarda z Francji, który spędził tam połowę swojego życia, trzeba było odwiedzić do klasztoru w Tamanrasset. Zbyszek pozostał więc tylko z katalońskim współbratem Venturą. Czekają na innych chętnych, ale nikogo nie ciągnie do mieszkania na tej górze, gdzie wiecznie niedogrzone kamienne chatki ledwie stawiają opór wiatrom przekraczającym 50 km/h.

Ewangelia po berberyjsku

Pustelnię założył w 1904 r. Charles de Foucauld (1858-1916). Ten francuski arystokrata i żołnierz odznaczony w 1882 r. za tłumienie powstania szejka Bou Amama, poświęcił się następnie pasji geograficzno-etnograficznej. Przemierzył ponoć Maroko w przebraniu rosyjskiego rabina, a sprawozdanie opublikowane w książce „Reconnaissance au Maroc” przyniosło mu złoty medal Francuskiego Towarzystwa Geograficznego.

Ten awanturniczy okres życia przerwało nawrócenie, którego doświadczył w Paryżu w 1886 r. Szukał potem swojego miejsca w zakonie trapistów, na studiach teologicznych w Rzymie i w Ziemi Świętej, ale nigdzie nie znalazł tego, czego szukał. Postanowił więc podążać własną drogą, szukając duchowego spełnienia, nie w pracy z ludźmi, lecz w skrajnym odosobnieniu. To dążenie zaprowadziło go w 1901 r. do

Beni Abbas w środkowej Algierii, skąd w 1904 r. przeniósł się na niegościnne dla Europejczyków pustynne południe. W tym czasie pełnił rolę mediatora między miejscową ludnością a francuską administracją kolonialną.

Tak urzekła go kultura berberyjskich Tuaregów, że poświęcił im swoją pasję etnografa i językoznawcy. W 1910 r. podążył za grupą koczowników do Assekrem i zafascynowany urodą skalistego krajobrazu postanowił tam zostać. W ciągu roku na wysokości 2780 m n.p.m. zbudował kamienną pustelnię złożoną z małej celi mieszkalnej i niewielkiej kaplicy. Żyjąc w skrajnym ubóstwie przeplatał skupienia kontemplacyjne i modlitwy z pionierską pracą naukową, której wyniki cenione są do dzisiaj.

Opracował bowiem wciąż niezastąpiony słownik języka tamasheq i skodyfikował lokalny alfabet tiffinagh, którym nawet zapisał swoje tłumaczenie Ewangelii na język berberyjski. To zapewne uratowało ten starożytny system zapisu od wyparcia go przez alfabety arabski i łaciński. Dziś jest on ważną częścią narodowego dziedzictwa kulturowego Algierii – jest nauczany w szkołach i eksponowany publicznie nawet w kosmopolitycznej stolicy.

W 1915 roku wybuchają walki plemienne między libijskimi Senussami a Tuaregami. Charles de Foucauld ponownie próbuje mediować, ale 1 grudnia 1916 roku zostaje zastrzelony w Tamanrasset przez Senussów. Pozostała po nim dobra pamięć wśród Tuaregów, których nie nawracał, bo nie to było jego celem. Zostawił też cenny dorobek naukowy i opracowaną przez siebie regułę zakonną. 13 listopada 2005 w Rzymie dokonano jego beatyfikacji.

Sława misji Assekrem

Myśl de Foucauld kontynuują założone w czwartej dekadzie XX w. niewielkie zgromadzenia kontemplacyjne Małych Sióstr Jezusa i Małych Braci Jezusa. Takim zakonnikiem jest od 1993 r. właśnie brat Zbyszek, który od kilkunastu lat ogląda świat ze swojej górskiej pustelni. Wita nas ubrany w dzinsy, bluzę i welnianą czapkę, bo jego zakon jest zgromadzeniem bezhabitowym. Zanim przybył do Algierii, zgodnie z regułą zakonną pracował w Polsce fizycznie – jako drukarz, sprzedawca, robotnik w fabryce i elektryk. Przed złożeniem ślubów wieczystych przyjechał do Assekrem na 40-dniowe rekolekcje do eremu założonego przez swojego mistrza duchowego i po kilku powrotach do Polski zamieszkał tam na stałe.

Prosi, by nie publikować jego zdjęć portretowych i zbytnio nie reklamować misji Assekrem, gdyż jej dwóm mieszkańcom nie zależy na najeździe turystów, którym jednak udałoby się pokonać problemy logistyczne. Tym bardziej, że władze coraz bardziej próbują utrudniać życie mieszkańcom górskiej pustelni. Wprawdzie bowiem Mali Bracia nie nawracają innowierców na chrześcijaństwo, ale sama ich obecność w jedynolice mużulmańskim środowisku jest swoistą prowokacją kulturową.

Pobliski posterunek wojskowy, nie tylko pilnuje „strategicznej” przełęcz, chroni maszt radiowy i obsługuje małą stację meteorologiczną, ale ma też oko na pustelnię, która przyciąga ludzi szukających kontemplacyjnego odosobnienia. Za zostawiane datki Zbyszek buduje dla nich kolejne kamienne cele. Kiedy trwanie na tym wygwizdowie już mu mocno dopieczy, bierze plecak i wyrusza na wyprawę po okolicznych górach. W ciągu kilku dni potrafi przejść 100-150 kilometrów. Staje się wtedy niewidoczny dla władz, które ostatnio domagają się uprzedniego informowania o planowanych trasach takich wędrówek.

Atmosfera polityczna staje się więc duszna i Zbyszek nie wie, jak długo uda im się z Venturą przetrwać na tej placówce, która staje się coraz mniej odludna. Sława misji Assekrem ściąga tam bowiem coraz więcej ludzi mimo, że wyprawa w głąb pustyni jest wciąż pewnym wyzwaniem. Z posterunku-schroniska zbudowano niedawno asfaltową drogę prowadzącą do pobliskiej anteny radiowej i małej stacji meteo. Jak długo Zbyszek i Ventura tam wytrzymają? Tak długo, jak będzie trwać ich urzeczenie tym miejscem i jego burzliwą historią. ●

Nuclear sharing

Bomby pokoju

– nuklearna polisa ubezpieczeniowa Europy

Może i są mniejsze niż rosyjskie, ale Putin wie, że go osiągną

tekst **Bartosz T. Wieliński** infografiki **Wawrzyniec Świącicki**

Gdy czytacie ten tekst, głębie Oceanu Atlantyckiego przemierzają stalowe cygara o długości ponad 130 m.

Nasze europejskie cygara. Francja ma w służbie cztery atomowe okręty podwodne, które przenoszą pociski międzykontynentalne z głowicami nuklearnymi. Doktryna przewidywała, że na patrolu musi przebywać co najmniej jedna jednostka, a wyjście w morze ma się odbywać bez wzbudzania uwagi. Ale gdy Rosja napadła na Ukrainę, a Putin natychmiast pogroził Zachodowi swoim nuklearnym arsenałem, Paryż od razu i ostantacyjnie wysłał w morze trzy okręty.

Najstarszy „Le Triomphant” służy od 27 lat. Najmłodszy „Le Terrible” od 14. Okręty przenoszą po 16 rakiet M45 lub nowszych M51. Te drugie mają zasięg do 10 tys. km, co oznacza, że z Atlantyku można nimi zaatakować każde miasto w Rosji. Każda rakietka przenosi 6 do 10 głowic jądrowych typu TN 75 o mocy 100 kiloton. To ładunki ponad pięć razy silniejsze niż bomby zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki.

Francuskie siły odstraszenia – kilkadziesiąt rakiet i 290 głowic i ładunków przenoszonych przez samoloty – to skromna pozostałość po wielkim arsenałach jądrowym, który stworzył w latach 60. prezydent Charles de Gaulle. Z kolei Emmanuel Macron deklaruje, że francuski parasol atomowy powinien objąć całą Unię Europejską.

Wielka Brytania ma 120 operacyjnych głowic i również cztery, jeszcze starsze, raketowe okręty podwodne o napędzie atomowym klasy Vanguard. W odróżnieniu od Francji uczestniczy w pracach Grupy Planowania Nuklearnego NATO, która odpowiada za nuklearną doktrynę Sojuszu, przechowywanie, ćwiczenia i rozwój broni jądrowej Sojuszu.

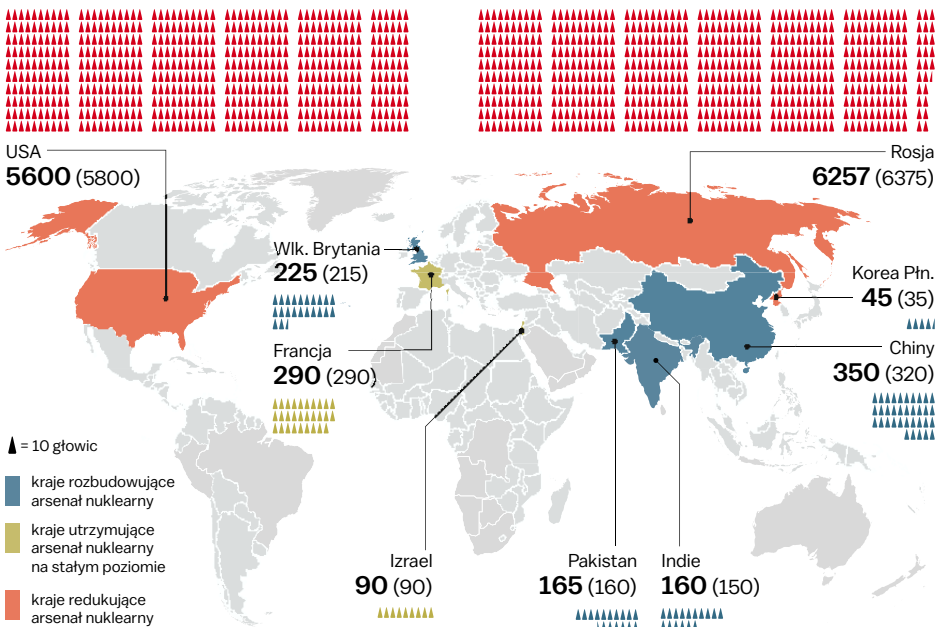
Na terytorium NATO znajduje się sześć baz, w których przechowywane są amerykańskie jądrowe bomby lotnicze B-61 o mocy do 300 kiloton. To Kleine Brogel w Belgii, niemieckie lotnisko wojskowe w Büchel, baza Volkel w Holandii, Aviano i Ghedi we Włoszech oraz Incirlik w Turcji. To państwa uczestniczące w programie Nuclear Sharing.

Bomby pozostają pod amerykańską kontrolą, ale gdyby Rosja zaatakowała, ładunki mają zostać przekazane lotnictwu innych państw wchodzących w skład Sojuszu. Uderzenia atomowe natowscy piloci ćwiczą regularnie. Rok temu w ćwiczeniach „Steadfast Noon” w Belgii udział brało 60 samolotów z 14 krajów członkowskich.

Polska od kilku lat zgłasza akces do programu Nuclear Sharing. Gdy z USA dotrą pierwsze zamówione myśliwce F-35, będziemy dysponować maszynami zdolnymi do przenoszenia bomb B-61.

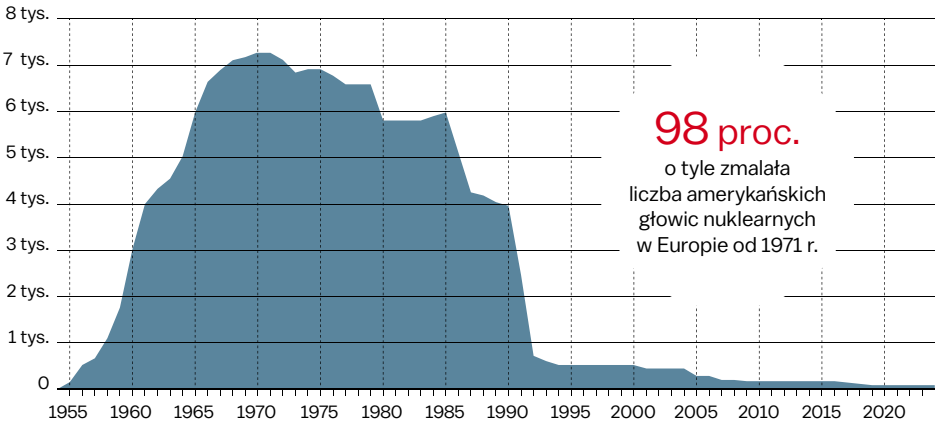
Liczba głowic nuklearnych na świecie

Dane szacunkowe z października 2021 r. (w nawiasie dane z 2020 r.)

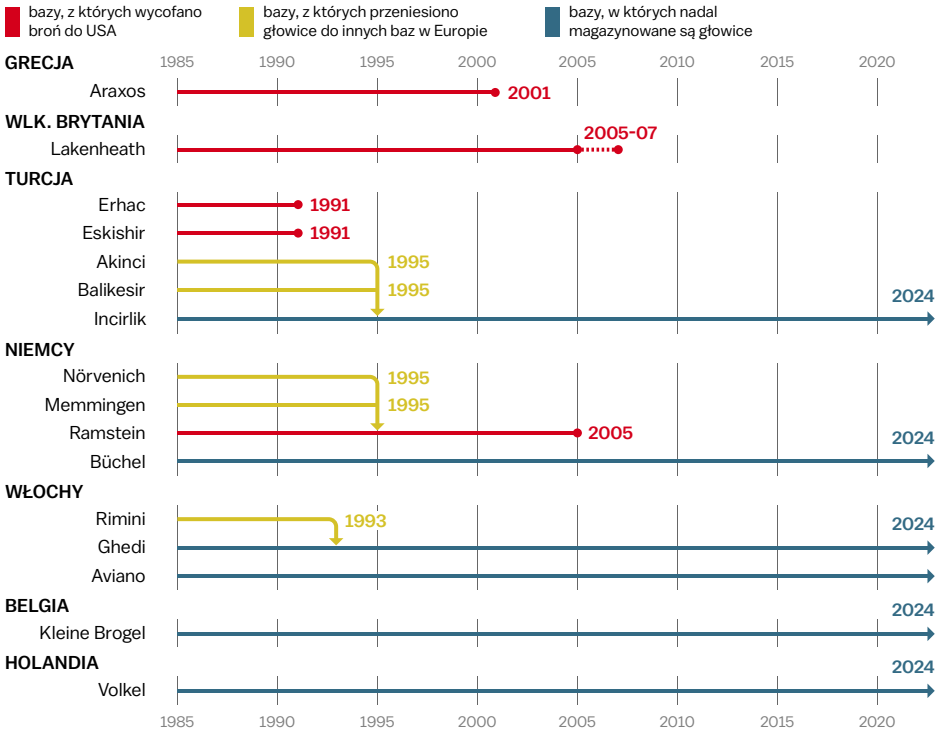


Liczba amerykańskich głowic nuklearnych rozmieszczonych w Europie

Dane szacunkowe z okresu 1954-2021



Miejsca przechowywania amerykańskiej broni nuklearnej w Europie



Jedni się zbroją, inni rozbrajają

W szczytowym momencie zimnej wojny na świecie w gotowości bojowej znajdowały się 64 tys. głowic atomowych. Obecnie, po wieloletowej redukcji uzbrojenia, szacuje się, że dziewięć krajów dysponuje 12 512 głowicami nuklearnymi. Liderami procesu rozbrowienia były do tej pory dwa największe mocarstwa nuklearne – USA i Rosja. Niestety, wzrost napięcia międzynarodowego, a zwłaszcza agresywne zachowanie Rosji i zmiany w jej doktrynie wojennej dopuszczające prewencyjny atak nuklearny odwróciły trend. W 2023 r. po 32 latach USA wznowiły produkcję głowic jądrowych (w 2023 r. powstało ich 80). Poza Stanami Zjednoczonymi własną broń nuklearną posiadają dwa państwa należące do NATO – Francja i Wielka Brytania. Fundamentem francuskiego strategicznego odstraszenia są cztery atomowe okręty podwodne uzbrojone w pociski balistyczne M51 o zasięgu 10 tys. km oraz samoloty wielozadaniowe Rafale M wyposażone w pociski manewrujące ASM-P z głowicą 100-300 kt i zasięgu 500 km. Wielka Brytania swój program nuklearny realizuje we współpracy z USA. Cztery brytyjskie atomowe okręty podwodne uzbrojone są w amerykańskie pociski Trident II D5 o mocy 100-475 kt.

Nuklearna spółdzielnia

Idea leżąca u podstaw programu udostępnienia broni nuklearnej jest podtrzymywanie równowagi militarnej zgodnie z teorią wzajemnego odstraszania, przy czym Program Nuclear Sharing obejmuje wyłącznie taktyczną broń nuklearną o ograniczonym polu rażenia. Pomysł udostępnienia amerykańskiej taktycznej broni nuklearnej państwom należącym do NATO zrodził się na początku lat 50. XX w. Inicjatywa wyszła od dowództwa amerykańskich sił zbrojnych i wiązała się z koniecznością zabezpieczenia członków NATO przed rosnącym zagrożeniem militarnym ze strony Związku Radzieckiego. Pierwsze głowice atomowe dotarły do Europy pod koniec 1954 r., lecz dopiero w grudniu 1957 r. podpisano umowę regulującą zasady przechowywania i ewentualnego wykorzystania tej broni. W myśl przyjętych ustaleń Stany Zjednoczone zachowują pełną kontrolę nad bronią nuklearną przechowywaną na terytorium państw sojuszników. Prawo decyzji o użyciu broni ma wyłącznie prezydent USA. Może on jednak w sytuacji zagrożenia wojną upoważnić do tego naczelnego dowódcę sił sojuszników NATO. Kraje uczestniczące w projekcie są zobowiązane do konsultowania i uzgadniania wspólnych decyzji w sprawie polityki nuklearnej. Wnoszą również swój wkład w postaci infrastruktury, wyszkolonego personelu oraz środków transportu, zwłaszcza samolotów bojowych zdolnych do przenoszenia głowic nuklearnych. W szczytowym momencie, w 1971 r. w Europie znajdowało się 7 tys. amerykańskich głowic nuklearnych. Począwszy od 1991 r. Stany Zjednoczone stopniowo wycofywały z Europy taktyczną broń jądrową. Zrezygnowano z utrzymywania pocisków wyrzeliwanych z ładu i morza, pozostawiono jedynie nuklearne bomby grawitacyjne (ok. 700). Jednocześnie zredukowano liczbę nuklearnych baz lotniczych na kontynencie z 23 do 16. W 2000 r. przechowywano w nich 480 bomb, a około 2007 r. liczba ta spadła do 180. Obecnie szacuje się, że NATO w Europie dysponuje zapasem 200 bomb przechowywanych w sześciu bazach lotniczych na terenie Belgii, Holandii, Niemiec, Włoch i Turcji. Wśród krajów zgłaszających zainteresowanie składowaniem amerykańskich bomb obok krajów nadbałtyckich jest również Polska.

Formy uczestnictwa w programie Nuclear Sharing

- Utrzymanie sił nuklearnych zapewniających ochronę krajom nieposiadającym takiej broni;
- Przechowywanie na swoim terytorium broni nuklearnej należącej do innego kraju;
- Zapewnienie systemów przenoszenia umożliwiających użycie broni nuklearnej innego kraju;
- Zapewnienie wsparcia misji uderzenia nuklearnego innego kraju siłami konwencjonalnymi;
- Współpraca w zakresie planowania i ustalania celów nuklearnych

Samoloty podwójnego zastosowania, przenoszące broń nuklearną



F-15E Strike Eagle
Prędkość **3017** km/h
Pułap **18 288** m
Zasięg maksymalny **3840** km
Zasięg taktyczny **1853** km
Liczba bomb B61-12 **5** szt.



F-16 MLU
Prędkość **2124** km/h
Pułap **15 240** m
Zasięg maksymalny **4220** km
Zasięg taktyczny **1370** km
Liczba bomb B61-12 **3** szt.

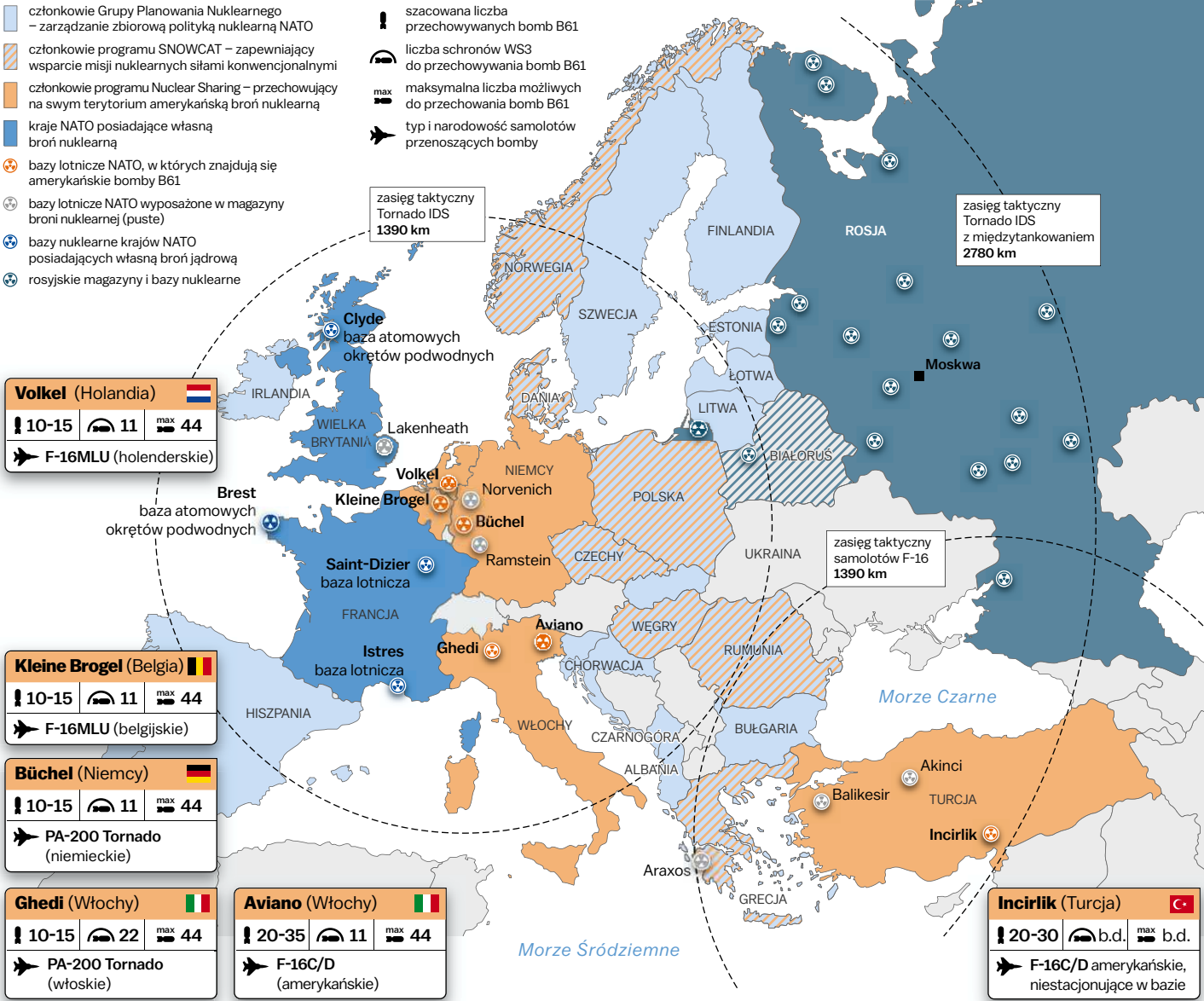


Tornado IDS
Prędkość **2336** km/h
Pułap **15 240** m
Zasięg maksymalny **3890** km
Zasięg taktyczny **1390** km
Liczba bomb B61-12 **4** szt.



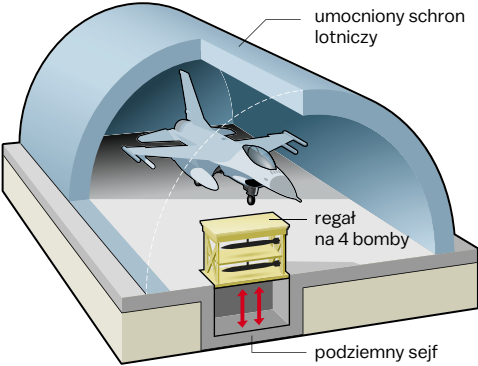
F-35 Block 4
Prędkość **2250** km/h
Pułap **15 000** m
Zasięg maksymalny **2222** km
Zasięg taktyczny **1080** km
Liczba bomb B61-12 **2** szt.

- członkowie Grupy Planowania Nuklearnego – zarządzanie zbiorową polityką nuklearną NATO
- członkowie programu SNOWCAT – zapewniający wsparcie misji nuklearnych siłami konwencjonalnymi
- członkowie programu Nuclear Sharing – przechowujący na swym terytorium amerykańską broń nuklearną
- kraje NATO posiadające własną broń nuklearną
- bazy lotnicze NATO, w których znajdują się amerykańskie bomby B61
- bazy lotnicze NATO wyposażone w magazyny broni nuklearnej (puste)
- bazy nuklearne krajów NATO posiadających własną broń jądrową
- rosyjskie magazyny i bazy nuklearne



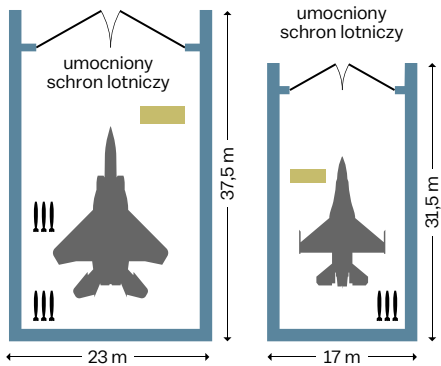
Przechowywanie broni jądrowej

Schron typu WS3 składa się z ruchomego stelaża na maksimum 4 bomby B61 chowanego w sejfie wbudowanym w podłogę umocnionego schronu lotniczego. W pozycji opuszczonej zapewnia on ochronę balistyczną dzięki utwardzanej pokrywie grubości 40 cm i wzmocnionym ścianom bocznym. Dodatkowo sejf jest wyposażony w elektroniczne systemy monitoringu i kontroli zabezpieczające przed infiltracją lub sabotażem. System WS3 umożliwia składowanie bomb bezpośrednio pod samolotem przeznaczonym do ich przenoszenia. Skrac to czas załadunku i ogranicza ryzyko związane z transportem, a sam proces podwieszania odbywa się w ukryciu.



W Europie istnieje 215 magazynów WS3 zlokalizowanych w 13 bazach lotniczych na terenie 7 krajów. Obecnie większość z nich jest nieużywana.

B61-12
Długość..... **3,6** m
Średnica..... **34** cm
Waga..... **350** kg



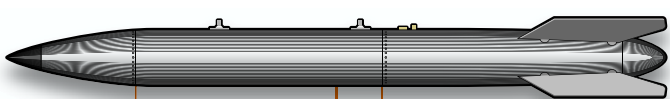
Lokalizacja podziemnego sejfu do przechowywania bomb B61 zależy od wielkości schronu lotniczego i odległości od regatów do przechowywania amunicji konwencjonalnej.

podziemny magazyn bomb nuklearnych
amunicja konwencjonalna

Bomba stara, ale jara

Cała broń nuklearna znajdująca się w magazynach armii amerykańskiej pochodzi z lat 70. i 80. XX w. Przez ostatnie 30 lat w USA nie produkowano nowej broni nuklearnej, a jedynie przedłużano żywotności broni wyprodukowanej w czasach zimnej wojny. W 2023 r. program produkcji głowic jądrowych został ponownie odmrożony. Projekt bomby B61 powstał w 1963 r., a jej produkcję rozpoczęto w 1968 r. Od tego czasu doczekała się 12 odmian bazujących na tej samej podstawowej konstrukcji, ale z dodatkowymi komponentami zmieniającymi charakterystykę operacyjną broni. Cztery wersje: B61-3, B61-4, B61-7 i B61-11 nadal znajdują się w użyciu. Obecnie trwa program modernizacji bomb grawitacyjnych starszego typu do najnowszej wersji B61-12. Do 2025 r. USA zamierzają wprowadzić do służby 480 takich bomb. W tym czasie mają też być wymienione wszystkie bomby nuklearne przechowywane w Europie. Przełomową zmianą wprowadzoną w wersji B61-12 jest zastosowanie cyfrowego systemu sterowania sekcją ogonową typu TKA (Tail Kit Assembly), bardzo poprawiające celność. Jednak mogą z niego korzystać tylko samoloty z interfejsem cyfrowym (B-2, B-21, F-15E, F-35A). Starsze samoloty analogowe (Tornado, F-16) muszą używać zestawów balistycznych.

Bomba grawitacyjna B61-3/-4/-7 (w trakcie modernizacji)

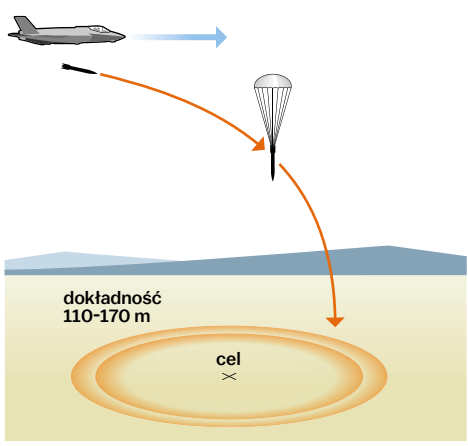


Nos: zapalniki zbliżeniowy i uderzeniowy

Głowica nuklearna: (tzw. pakiet fizyczny) zaprojektowana

Uzbrojenie bomby: tryb eksplozji w powietrzu lub na ziemi, opóźniacz

Ogon: spadochron spowalniający, nieruchome lotki stabilizujące lot bomby



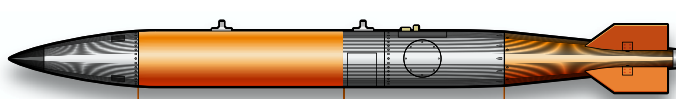
Bombowiec lub samolot wielozadaniowy **zrzuca bombę nad celem**

Natychmiast otwiera się **spadochron**, który spowalnia jej opadanie i daje czas załódze na odejście od celu

Bomba opada grawitacyjnie bez możliwości korekty lotu. **Rozrzut od celu wynosi 110-170 m**

W zależności od wcześniejszego ustawienia **może eksplodować w powietrzu, przy zetknięciu z gruntem lub z opóźnieniem**

Najnowsza „inteligentna” bomba B61-12

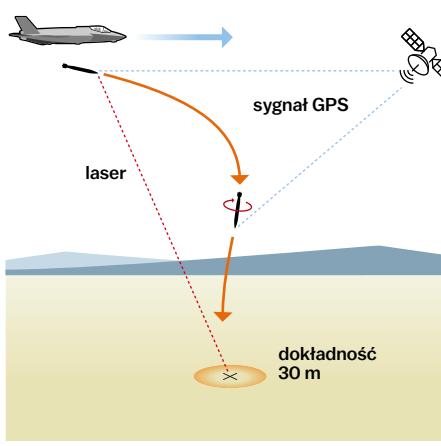


Nos: naprowadzanie GPS i laserowe, radar, zapalniki zbliżeniowy i uderzeniowy

Głowica nuklearna: zawiera zubożony uran, ma regulowaną moc rażenia od 0,3 przez 5, 10 do 50 kt trotylu

Sterowanie: bezpieczniki, panel uzbrajania, kontroler lotu wstępnego

Ogon: ruchome płetwy umożliwiające sterowanie i silnik raketowy



Bombowiec lub samolot wielozadaniowy **zrzuca bombę B61-12 nad celem**

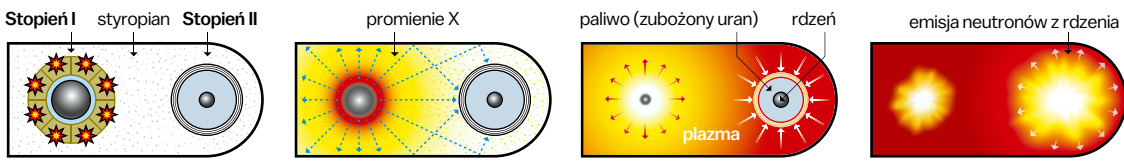
Rotujący system rakietowy wprowadzany bombę w **kontrolowany ruch obrotowy**, dzięki czemu nie jest potrzebny spadochron

Naprowadzana GPS-em i celownikiem laserowym oraz sterowana ruchomymi płetwami **B61-12 trafia w cel z dokładnością do 30 m**

Wzmocniona konstrukcja nowej wersji bomby **umożliwia jej penetrację w głąb gruntu**

Zasada działania bomby jądrowej

Działanie bomby termojądrowej, nazywanej też wodorową, opiera się na reakcji fuzji nuklearnej. Polega ona na łączeniu się lekkich jąder atomowych (np. izotopów wodoru – deuteru i trytu) w cięższe, czemu towarzyszy wydzielanie ogromnej ilości energii. Do rozpoczęcia i utrzymania fuzji potrzeba bardzo wysokiej temperatury. Dla tego bomba wodorowa zawiera zazwyczaj dwa ładunki (stopnie): wybuch pierwszego wytwarza warunki konieczne do zainicjowania fuzji w drugim stopniu.



Stopień I: styropian, Stopień II: promienie X, paliwo (zubożony uran), rdzeń, emisja neutronów z rdzenia

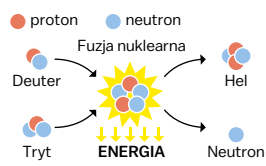
1. Detonacja chemicznych ładunków wybuchowych inicjuje eksplozję niewielkiej bomby atomowej (stopień I) – zapalnika głównej reakcji termojądrowej.

2. W wyniku rozszczepienia uranu i plutonu powstaje silne promieniowanie X, które rozgrzewa styropian wypełniający głowicę, zmieniając go w gorącą plazmę.

3. Rozgrzana plazma pod bardzo wysokim ciśnieniem kompresuje drugi stopień. Na skutek implozji rdzeń ze wzbogaconego uranu osiąga masę krytyczną.

4. Następuje silna emisja neutronów z rdzenia. Rozpoczyna się gwałtowna reakcja syntezy termojądrowej – bomba eksploduje.

5. Źródłem energii wybuchu jest niekontrolowana reakcja łańcuchowa, w której izotopy wodoru łączą się pod wpływem wysokiej temperatury, tworząc hel.



Deuter, Tryt, Fuzja nuklearna, Hel, Neutron, ENERGIA

ŹRÓDŁA: SZTOKHOLMSKI MIĘDZYNARODOWY INSTYTUT BADAŃ POKÓJOWYCH, FEDERACJA AMERYKAŃSKICH NAUKOWCÓW, DEFENCE24, SIŁY POWIETRZNE STANÓW ZJEDNOCZONYCH, WIKIPEDIA

PIOTR CIEŚLIŃSKI: Często pani powtarza, że „AI nigdy nie jest sztuczna ani inteligentna”. Jak to rozumieć?
KATE CRAWFORD*: Jednym z najczęstszych błędnych wyobrażeń o sztucznej inteligencji jest to, że to niematerialna globalna sieć, która dokonuje obiektywnych, opartych na wiedzy przewidywań. A tak naprawdę te systemy są u swoich podstaw bardzo materialne. I pod wieloma względami nie są tak inteligentne, jak się wydaje.

Na przykład?

– Spójrzmy, czego potrzeba do zbudowania sztucznej inteligencji na skalę planetarną. Ona zużywa ogromną ilość zasobów naturalnych, w szczególności energię, wodę i minerały, ale na dodatek ogromną ilość ukrytej siły roboczej, która zwykle pochodzi z Globalnego Południa i jest wykorzystywana do masowego etykietowania i sprawdzania danych. Nie wspominając, że zużywa ogromną ilość danych, pobieranych od nas wszystkich i z całego internetu.

Szczególnie generatywna – czyli ta, z którą zwykli śmiertelnicy mają najczęściej do czynienia, generująca treści, od tekstów, obrazków czy reklam po rozmowy z klientami infolinii – potrzebuje naprawdę gigantycznych zigguratów obliczeniowych. Więc to jedna z najbardziej materialnych infrastruktur, jakie powstały w XXI wieku.

To jeszcze spójrzmy na kwestię inteligencji. Dość łatwo dać się zwieść i uwierzyć, że taki system jak Gemini, to jest duży model językowy, jest inteligentny, ale w rzeczywistości jego zadaniem jest prosto układanie zdań i przewidywanie, jakie następne słowo jest najbardziej prawdopodobne. Sprawia wrażenie inteligentnego, ale zasadniczo, to wykonuje zadanie bez podstawowego zrozumienia i bez podstawowej znajomości języka.

Ale niektórzy twierdzą, że my, ludzie, robimy to samo. Jesteśmy tak naprawdę także dużym modelem probabilistycznym, ale nie zdajemy sobie z tego sprawy.

– To niezwykle wąskie rozumienie tego, czym jesteśmy. Po pierwsze, uważam, że w postrzeganiu ludzi jako „mózgów w pułapkach” kryje się bardzo stara pułapka, którą w filozofii nazywa się dualizmem kartezjańskim – rozdzieleniem ciała i umysłu. W rzeczywistości jesteśmy ucieleśnionymi istotami społecznymi, żyjącymi w społeczeństwach, które wspólnie się uczą i funkcjonują indywidualnie i zbiorowo w bardzo złożony sposób. A kiedy tworzymy zdania, robimy to, ponieważ przekazujemy naszą ideę za pomocą szeregu zasad i struktur gramatycznych, których używamy i przekształcamy z biegiem czasu.

Złożony proces rozumienia kryje się nawet w prostym zdaniu, jak „Cześć, jak się dzisiaj masz?”. To nie to samo, co dzieje się w procesie obliczeniowym, który polega na gromadzeniu dosłownie miliardów rozmów z internetu, a następnie wykorzystywaniu ich do prostego wykonywania zadań predykcyjnych, bez żadnego nadrzędnego sensu czy zamiaru komunikowania się ani żadnego wycucia kontekstu czy związanych z tym procesów podświadomych i świadomych.

To wręcz przeciwieństwo komunikacji. Zwracali na to uwagę klasyczni lingwiści, tacy jak Noam Chomsky, ale też słynny genialny kryptograf, matematyk i protoinformatyk Alan Turing. Według niego mamy do czynienia z grą w naśladownictwo, nie z prawdziwą inteligencją.

W książce „Atas sztucznej inteligencji” wspomina pani polskiego pisarza s.f. Stanisława Lema i jego opowiadanie o wynalazcy Trurlu, który chciał zbudować maszynę do tworzenia poezji, a wtedy zdał sobie sprawę z tego, że wielka poezja jest możliwa tylko wtedy, gdy w komputerze odtworzy się cały wszechświat wraz z ludźmi i ich wzajemnymi społecznymi związkami. Czy



MA CIAŁO

Za każdą sztuczną inteligencją, która podpowiada ci serial na Netflixie, pisze rozprawkę za twoje dziecko i kiedyś, może, odbierze ci zatrudnienie, kryją się tony węgla, hektolitry wody i lata fizycznej, niskopłatnej pracy

tak samo jest z naszymi marzeniami o ogólnej sztucznej inteligencji? Musielibyśmy powtórzyć całą ewolucję, aby ją stworzyć?

– Bardzo się cieszę, że pan zauważył nawiązanie do Lema, który wiele z dyskutowanych dzisiaj problemów rozwiązał dużo wcześniej. Jego historie o Trurlu fantastycznie oddają absurdalność prób porównywania komputerów z ludźmi. Coś takiego jak poezja, w powszechnym mniemaniu z natury ludzka, nie jest tylko ciągiem słów, bo w grę wchodzi, można rzec, doświadczenie całego wszechświata.

To niezwykle istotna sprawa w kontekście obecnej pogoni za tzw. ogólną sztuczną inteligencją (AGI). AGI jest w tej chwili wzorcową ideą mityczną. Ta koncepcja zakłada, że da się kiedyś stworzyć sztuczną inteligencję, która przewyższy ludzi pod każdym względem. Ale tak naprawdę sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: kim i po co jesteśmy my, ludzie?

Myślę, że w tych dyskusjach często nie doceniamy, jak niezwykli są ludzie. Bardzo zawężamy pojęcie człowieczeństwa, porównując siebie do komputerów.

Z książki wynika, że sztuczna inteligencja jest kontynuacją odwiecznych form

sprawowania władzy, wykorzystywania pracy i kapitału. Nazywa to pani wydobywczą AI.

– Właśnie to. Mam na myśli całkiem tradycyjną działalność wydobywczą, taką jak górnictwo, które znów staje się opłacalne dzięki wydobywaniu minerałów z ziemi bez brania odpowiedzialności za poczynione szkody, takie jak obniżanie się poziomowi wód gruntowych czy zniszczenie środowiska.

Pod wieloma względami planetarna infrastruktura sztucznej inteligencji jest po prostu gigantycznym przemysłem wydobywczym, tyle że XXI wieku.

O tym, że cały czas wydobywa od nas wszystkich ogromne ilości danych, już chyba każdy słyszał. Ale o tym, że utrwała całkiem tradycyjne formy górnictwa, niekoniecznie. A Zapotrzebowanie przemysłu informatycznego na minerały ziem rzadkich, ropę naftową i węgiel oraz na wodę do chłodzenia centrów danych jest ogromne – lecz prawdziwych kosztów wydobywania sama branża nie ponosi. AI eksploatuje także ogromną ilość słabo opłacanej siły roboczej przy wykonywaniu tych wszystkich zadań, których nie jest w stanie wykonać sama, w szczególności do trenowania modeli i czyszczenia danych.

Z tą materialną genezą łączy się ekonomia polityczna na dużą skalę. Systemy AI podlegają logice kapitału, policyjnej kontroli i militaryzacji, wypaczają warunki pracy. Systemy AI wzmagają choćby inwigilację i kontrolę ze strony szefów – trochę z premedytacją, a trochę mimochodem. Są użyteczne bez złych intencji, na przykład umożliwiają coraz bardziej precyzyjne zarządzanie czasem pracowników – ale to wymaga coraz dokładniejszych informacji o tym, co i kiedy robią ludzie. Obserwowałam to w giga-magazynach Amazona.

Ale AI staje się także narzędziem władzy państwowej. Od zawsze przemysł informatyczny był ściśle związany z wojskowością. A teraz wykorzystywane przez wywiad pozaprawne narzędzia – do inwigilacji, ekstrakcji danych i oceny ryzyka – upowszechniły się i są stosowane na posterunkach policji, w szkołach czy urzędach pracy. Logika militarna, która kształtowała systemy AI, teraz wpływa na działania władz lokalnych i jeszcze mocniej wypacza stosunki między państwem a obywatelami.

Nie widzimy tej twardej, materialnej, niszczycielskiej siły, bo wciąż naiwnie sobie wyobrażamy, że sztuczna inteligencja to jakieś abstrakcyjne, bezcielesne algorytmy w chmurze obliczeniowej.

Jakie jest najbardziej zaskakujące lub alarmujące odkrycie, którego pani dokonała?

– Boże, było ich tak wiele. Napisanie tej książki zajęło mi pięć lat dlatego, że chciałam udać się do wszystkich tych miejsc, w których powstaje przemysł sztucznej inteligencji. W najpełniejszym tego słowa znaczeniu, czyli kopalni, w których przechowywane są dane, magazynów Amazona, gdzie płaci się ludziom grosze za tzw. ostatnią milę w logistyce, czyli wykonanie konkretnych skomplikowanych zadań, których komputery i roboty nie są wciąż w stanie wykonać.



• Nowy Jork, wystawa „World of AI·magination” prezentująca możliwości generatywnej sztucznej inteligencji

FOT. GETTY IMAGES / FATIH AKTAS /ANADOLU

Musiałam wykonać ogromną ilość pracy w terenie, niczym klasyczny antropolog pojechać i zobaczyć wszystko na własne oczy, co było dla mnie niezwykle przeżyciem. Od ponad 20 lat jestem profesorem i badaczem, spędziłam mnóstwo czasu w bibliotekach, czytając o systemach AI i przeglądając literaturę techniczną. Ale osobiste doświadczenie jest czymś całkiem innym – odwiedzenie kopalni, gdzie wydobywa się minerały, obserwacja skandalicznych warunków pracy w fabrykach, węzłach logistycznych czy platformach szkolących i wspomagających działanie systemów AI, jej wpływ na psychikę i zdrowie ludzi, którzy są bardzo kiepsko wynagradzani, niezależnie od tego, czy klikają gdzieś w Indiach przy komputerze, czy pracują przy taśmie w fabryce.

Wielkim zaskoczeniem jest dla mnie stopień nasilenia tych procesów, skala i tempo, w jakim następują zmiany. „Atlas sztucznej inteligencji” napisałam i opublikowałam w roku 2021, zanim przyszła fala generatywnej sztucznej inteligencji, dużych modeli językowych, które tak naprawdę opierają się na tych samych trzech typach wydobywania: danych, pracy i zasobów naturalnych.

W każdym z tych procesów widać ogromną koncentrację. Generatywna sztuczna inteligencja potrzebuje około 10 razy więcej danych niż poprzednie systemy tzw. analitycznej AI, co najmniej 10 razy więcej energii i zasobów wody, a także jeszcze więcej ludzkiej pracy. I znowu – to praca ukryta, której nie dostrzegamy, korzystając z systemów AI.

To wciąż ten sam stary dobry-niedobry przemysł, tyle że na sterydach? – Doskonale pan to ujął.

Jak udało się pani dostać się w te wszystkie miejsca, gdzie wykuwa się AI, np. do centrów Amazonu? Słyszałam, że nie lubią tam wścibskich oczu.

– Cóż, to dotyczy prawie całej branży AI. Ona robi się ona coraz bardziej zamknięta i sekretna. Przykładowo, gdy zatrudniasz się jako crowdworker w chmurze przy czyszczeniu danych dla generatywnych modeli AI, jesteś zmuszony podpisać umowę o całkowitej poufności. Nie powinienś rozmawiać o tym, co robisz, nawet z rodziną, pod rygorem utraty pracy lub kary finansowej. Ta sama tajemnica dotyczy pracujących nad wyrafinowanymi modelami sztucznej inteligencji.

Widać to nawet w środowisku akademickim, które dotąd było bardzo otwarte, ponieważ zawsze opierało się na publikowaniu wyników badań i dzieleniu się informacjami o szczegółach budowy modeli AI. Teraz następuje odwrót ku skrajnej tajemnicy. To jest głęboko niebezpieczne i szkodliwe, a w ostatecznym rozrachunku antydemokratyczne, ponieważ oznacza, że społeczeństwo będzie wiedziało coraz mniej o tym, jak powstaje sztuczna inteligencja i o jej prawdziwym wpływie. Pozostanie nam tylko magiczny pokaz, szczerze mówiąc prawdziwe koszty środowiskowe, ludzkie i przemysłowe.

Ale być może korzyści dla ludzkości, jakie płyną z rozwoju AI, uzasadniają te koszty i ofiary?

– Na razie ten argument jest naiwny. Na tym etapie generatywnej sztucznej inteligencji mamy do czynienia z ogólnosiątkowym eksperymentem, który dopiero sprawdza, czy te narzędzia rzeczywiście będą przydatne. Jak na razie te systemy halucynują i dezinformują, tworzą deep fake, czyli fałszywe nagrania i zdjęcia. Bilansu nie da się przeprowadzić, dopóki nie dowiemy się więcej o tym, co naprawdę zyskamy, i nie przeprowadzimy otwartej publicznej dyskusji na temat prawdziwych kosztów, zwłaszcza że są świadomie przed nami ukrywane.

Jakie są najpilniejsze wyzwania i zagrożenia związane z rozwojem AI?

Informacje, które AI mi dostarcza, mogą bardzo różnić się od tych, które pan otrzymuje. W najbliższym sąsiedztwie, nawet we własnej rodzinie, możemy mieć radykalnie odmienne interpretacje aktualnych wydarzeń czy historii

– Jest ich całe mnóstwo, ale skupiam się na trzech. To koszty związane ze środowiskiem, epistemologią i demokratycznymi wyborami. Mówiłam już kwestiach środowiskowych, wspomnę tylko, że sama branża AI ma tego świadomość. Sam Altman, dyrektor generalny OpenAI, czyli firmy tworzącej słynny ChatGPT, niedawno pisał, że generatywna sztuczna inteligencja przyczynia się do światowego kryzysu energetycznego. Te systemy zużywają tak dużo energii, że trzeba ponownie uruchamiać elektrownie węglowe i gazowe, które wcześniej były wyłączane. Nie ma wystarczającej ilości energii odnawialnej, aby zasilić ogromne, hiperskalowe centra danych.

Drugi problem ma naturę epistemiczną, czyli poznawczą. Skąd się bierze nasza wiedza, jak rozumiemy to, co jest prawdą. Coraz częściej używamy dużych modeli językowych do szukania odpowiedzi, prowadzenia badań, krytycznej oceny różnych informacji. Niepokój bierze się stąd, że tracimy obraz rzeczywistości, który dotąd był oparty na konsensusie. Jesteśmy świadkami ogromnego pęknięcia. Informacje, które AI mi dostarcza, mogą bardzo różnić się od tych, które pan otrzymuje. W najbliższym sąsiedztwie, nawet we własnej rodzinie, możemy mieć radykalnie odmienne interpretacje aktualnych wydarzeń czy historii. To głęboki kryzys epistemiczny.

I wreszcie, mamy kryzys na szczeblu wyborczym. Wkraczamy w rok, w którym połowa świata – od Unii Europejskiej i USA poczynając – przeprowadza ważne wybory na szczeblu federalnym. Tymczasem ludzie nie mogą ufać informacjom, które do nich docierają. Czy obraz polityka biorącego łapówkę jest prawdziwy, czy to tylko deep fake? W zasadzie już nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy coś jest dezinformacją lub kłamstwem.

A co gorsza, skoro wszystko może być nieprawdą, zdezorientowani ludzie na wszelki wypadek przestaną ufać także informacjom, które są prawdziwe i oparte na faktach. Nie wiemy, skąd czerpać informacje, w które można wierzyć. To bardzo poważny problem dla każdego demokraty.

To co możemy – albo co powinniśmy, tylko trudno się nam na to zdobyć – zrobić?

– Nie ma prostego rozwiązania. Ideolodzy Doliny Krzemowej usiłują nam wciskać rozwiązania technologiczne. Przekonują, że trzeba wdrożyć różne technologie, aby rozwiązać problemy stwarzane przez istniejące technologie. Wiele słyszy się o używaniu „znaków wodnych” do śledzenia fałszywych informacji i dezinformacji wyborczych. Ale wciąż ich nie ma. Nie istnieje niezawodny system, w którym takie „znaki wodne” byłyby przyklejane do informacji wygenerowanych przez AI. Poleganie na tym, że znajdziemy łatwe rozwiązanie technologiczne, staje się częścią problemu.

Co w zamian?

– Musimy szukać odpowiedzi poza technologią, w wielu przypadkach rozwiązanie musi mieć charakter regulacyjny. Proszę, jak łatwo przeszła w Unii Europejskiej ustawa regulująca sektor – „AI Act”. To nie jest szczególnie mocny akt, nie dostarcza najsurowszych przepisów, jakich potrze-

bujemy, ale można potraktować go jako punkt odniesienia, na którym mogą bazować państwa członkowskie. Ważny pierwszy krok.

Po drugie, ludzie mogą sami aktywnie przeciwstawić się terrorowi sztucznej inteligencji, która szkodzi ich prawom pracowniczym i negatywnie wpływa na codzienne życie. Myślę o takim sprzeciwie, którego byliśmy świadkami w Hollywood, gdzie doszło do jednego z największych strajków scenarzystów i aktorów.

To ważna lekcja, jak ludzie mogą reagować na nieuczciwe systemy sztucznej inteligencji.

Trzy lata po napisaniu książki ma pani w sobie więcej czy mniej optymizmu, jeśli chodzi o przyszłość AI?

– Napisanie „Atlasu...” dobrze przygotowało mnie do miejsca, w którym się teraz znajdujemy. Nie jestem zaskoczona problemami, które się pojawiają, ale bardzo niepokoi mnie stopień, w jakim władza w tym sektorze koncentruje się w coraz mniejszej liczbie rąk. Przez ostatnie 12 miesięcy byliśmy świadkami niezwyklej koncentracji władzy w rękach ledwie trzech graczy biznesowych – Google, Meta [czyli Facebooka z przyległościami] i Microsoftu.

A tymczasem sztuczna inteligencja powstawała jako projekt publiczny i była wspomagana środkami publicznymi, od państwowych kontraktów dla firm i laboratoriów z szeroko rozumianej Doliny Krzemowej po ulgi podatkowe i nieodpłatną pracę wszystkich z nas, którzy korzystają z wyszukiwarek internetowych i zamieszczają teksty czy zdjęcia w internecie. Lecz została sprywatyzowana i przynosi zyski niewielkiej mniejszości usadowionej na samym szczycie. ●



FOT. CATH MUSCAT

*Kate Crawford

• bada sztuczną inteligencję, jej polityczne i społeczne następstwa. Wykłada na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w Los Angeles, pracuje naukowo w Microsoft Research w Nowym Jorku oraz kieruje Katedrą Sztucznej Inteligencji i Sprawiedliwości w École Normale Supérieure w Paryżu. W 2023 r. znalazła się na liście TIME100 jako jedna z najbardziej wpływowych osób w dziedzinie AI.

Jej książka „Atlas sztucznej inteligencji: władza, pieniądze i środowisko naturalne” (wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, tłum. Tadeusz Chawziuk) zdobyła wiele nagród, w tym nagrodę Sally Hacker Prize.



SOBOLEWSKI: KINO TO RELIGIA

Choć Cannes kojarzy się z czerwonym dywanem, gwiazdami i skandalami, to dla niego oznacza „siedzenie w ciszy”.

Tadeusz Sobolewski opowiedział mi o festiwalu, filmach i zmaganiach z chorobą.

Z **TADEUSZEM SOBOLEWSKIM**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Twoje pierwsze Cannes?

TADEUSZ SOBOLEWSKI: To był rok 1994. Czasy przed pandemią, przed napaścią Rosji na Ukrainę, 11 września, wejściem do Unii Europejskiej, uchodźcami...

Wysiadłem rano z paryskiego pociągu. Kropił deszcz. Cannes pachniało kawą. Zbliżałem się do zamczyska filmowego. Na czerwonym dywanie było jeszcze pusto, ale czułem się jak pielgrzym, który dotarł do celu.

W 1994 roku w konkursie głównym największe oczekiwania wzbudzały „Trzy kolory: czerwony” Krzysztofa Kieślowskiego. Krytyk Pierre Murat zapewniał nas, że to najlepszy z „Trzech kolorów”. I w ogóle najlepszy Kieślowski. Tymczasem on przemysłnie, z festiwalu na festiwal, reżyserował swoje rozstanie z kinem. To był jego ostatni film.

Jean-Louis Trintignant, grający w „Czerwonym” Sędziego, tłumacząc decyzję Kieślowskiego o odejściu z zawodu, mówił: „On chce w swoich filmach uniknąć pesymizmu. »Czerwony« jest jeszcze optymistyczny, ale w nim samym optymizmu już nie ma.

Złota Palma dla „Pulp Fiction” wywołała burzę w canneńskim Grand Théâtre Lumière. Dziennikarze i krytycy podzielili się na dwa obozy. Fakt, że „Czerwony” nie dostał Złotej Palmy, tak mocno się utrwalił, że niemal zupełnie przysłonił triumf Tarantino. A Kieślowski pośmiertnie dołączył do wielkich autorów kina.

Kiedys w Indiach, w pociągu do Kalkuty hinduski student zapytał mnie, skąd jestem. Powiedziałem: z Polski. Uśmiechnął się: Kieślowski!

Jakie wrażenie zrobiła na tobie otoczka festiwalu?

Wieczorem hotele przy bulwarze la Croisette zamieniały się w żywe świetlne reklamy amerykańskich hitów. Z plaży dochodzą szlagiery muzyki filmowej. A nad tym wszystkim góruje festiwalowe zamczysko, gdzie od rana do nocy idą filmy. U szczytu czerwonych schodów, dyrektor festiwalu i twórca jego współczesnej formuły, Gilles Jacob witał kiedys ekipy filmowe. Teraz robi to jego następca Thierry Frémaux. Jacob był krytykiem filmowym, który uznał, że bardziej przysłuży się kinu, prowadząc festiwal.

Na pierwszym Cannes był z nami młodszy kolega, który przyjechał niemal prosto ze stypendium dziennikarskiego w USA. Ten młodziak tłumaczył nam, że idą nowe czasy: kino krytyków się skończyło, teraz liczy się box office. tedy nowe, magiczne słowo. Nawet Wajda zaczął wątpić w kino... Może nie tyle w kino, ile w publiczność, wychowaną na filmach kung fu, oglądanych na VHS-ach w stanie wojennym. W kinach studyjnych modny zaś był inny slogan: „Fellini nie dlatego jest dobry, że się dobrze sprzedaje, tylko, że jest dobry”.

Historia festiwalu w Cannes to historia wielkich przemian.

Pierwszy festiwal w Cannes rozpoczął się 1 września 1939. Tego samego dnia się skończył. Bomby spadały już na Warszawę. Festiwal wznowiono w 1946. Bywalec Cannes, surrealistyczny poeta i filmowiec Jean Cocteau określił festiwal jako „ziemię niczyją, miejsce eksterytorialne”, kosmopolityczne, które na nowo skleja świat. Kiedy nastąpiła zimna wojna, Cannes wspierało odwilż w krajach obozu komunistycznego, szczególnie uwagę zwracając na Polskę, jakby w przeczuciu, że od niej właśnie zacznie się rozpad komunistycznego imperium.

W latach 70. Gilles Jacob, obejmując funkcję dyrektora artystycznego, zdawał sobie sprawę, że „kino traci dawną energię”. Dostarczyć jej mogli nowi autorzy. Cannes zajęło się ich „hodowlą”. Kiedy Jacobowi zarzucano, że roztacza wokół swoich autorów dworską celebrytę, witając ich u szczytu czerwonych schodów, tłumaczył, że w ten sposób przywraca godność artystom, poddawany upokorzeniom przez tych, którzy mają władzę ekonomiczną i z tej racji dyktują, o czym ma mówić kino.

Trudno dziś wyobrazić sobie napięcie, z jakim oglądano w Cannes filmy zakazane: „Andrieja Rublowa” Tarkowskiego i „Zaginione” Costy-Gavrasa, pokazującego ciśnienie życia pod dyktando Pinocheta. W 2011 roku pokazano w konkursie, przemycyony z Teheranu na pendrive film skazanego na areszt domowy Jafara Panahiego, „To nie jest film”.

Najsilniej działają fototy z lat 50., kiedy ta królewska, festiwalowa pompa przechodziła w żywiołową zabawę. Po schodach canneńskiego pałacu kroczyły królowe i seksbomby: Gina Lollobrigida, Liz Taylor, Sophia Loren, Grace Kelly, Kim Novak i najmłodsza, wyzywająca Brigitte Bardot. Już wtedy wydawało się, że Cannes ist-



• **Cannes 2024.**
Brazylijska aktorka
Marina Ruy Barbosa
na czerwonym dywa-
nie przed premierą
filmu Kevina Costne-
ra „Horyzont. Roz-
dział 1” („Horizon:
An American Saga
- Chapter 1”)

FOT. REUTERS/CLODAGH
KILCOYNE

• **Cannes 1958.**
Francuska gwiazda
Jeanne Moreau w
restauracji pod
platanami, boso na
stole wśród wiade-
rek z szampanem

FOT. HUFFSCHMITT/SIPAEAST
NEWS

• **Cannes 2024.**
Fotografowie zgro-
madzeni wokół psa
Demi Moore's przed
pokazem filmu „The
Substance” FOT. REU-
TERS/CLODAGH KILCOYNE



nieje głównie na kliszy i samo jest już tylko kliszą.

Jeanne Moreau na zdjęciu z 1958 roku, w restauracji pod platanami, stoi boso na stole wśród wiader z szampanem. Wzruszająca nagość Anno Domini 1955 roku: modelka przyłapana przez fotoreportera w momencie, gdy wiatr porywa jej biustonosz, a stojący za nią Robert Mitchum unosi ręce do góry, gotów ją osłonić.

W kinie Lumière – pokaz poranny. W Debussy – wieczorny. Pierwsze rzędy okupują Francuzi. Krytycy całego świata przekrzykują się między rzędami. Zanim odsłoni się ekran, odprawiany jest magiczny rytuał. Ktoś musi zawołać na cały głos: „Raoul!”. Bez tego projekcja w Cannes nie może się rozpocząć.

Przed laty ktoś krzyknął, wołając jakiegoś Raoula. I tak już zostało. Utrwalony moment.

Ale Cannes to dla krytyka filmowego siedzenie w ciszy. Nie bywałem na plaży, tylko biegalem po kinach.

Pamiętasz, co cię wtedy zachwyciło w Cannes, kiedy byłeś tam pierwszy raz? Anglicy Ken Loach i Mike Leigh. Loach co 2 lata przedstawiał w Cannes swój nowy

film. W 1995 roku oglądaliśmy jego „Ziemie i wolność”. Zdobył Złotą Palmę dwukrotnie.

Na co liczyłeś, jadąc do Cannes?

Nie jechałem w określonym celu. Chciałem zobaczyć coś, co nie mieściłoby się w przyjętych u nas ramach. Ciekawie było przeżyć coś takiego, jak film socjalistyczny bez komunizmu. Czy zbliżyć się do czegoś takiego jak religia bez Kościoła. Bez tego wszystkiego, co nas w niej krępuje. Coś takiego znalazłem w gorzkiej komedii Loacha „Wiatr w oczy” o robotniku – katoliku – który pożycza się, żeby kupić córce sukienkę do Pierwszej Komunii. Potem, z przyjacielem, szuka czegoś, co można by ukraść i sprzedać, żeby za nią zapłacić. Na przykład trawnik sprzed czyjegoś domku... Chaplinowski humor, do łez.

Jakie to kino?

Kino przedstawiające walkę prostego człowieka, który ma szansę na zwycięstwo. W „Ziemi i wolności” Loach opowiada o wojnie hiszpańskiej z punktu widzenia angielskiego robotnika, który na miejscu spotyka się ze stalinowską propagandą. Widz Loacha wzruszony patrzy i widzi – to

jest socjalizm. Ten film wyzwała, jak mówił Orwell, poczucie socjalne.

W Polsce nie został zauważony.

A tu taki obrazek: Loach w otoczeniu swoich aktorów wchodzi na konferencję prasową. Śpiewają „Międzynarodówkę”. Uśmiechnięci, na luzie. Nagle uświadomiłem sobie, jaki to jest kapitalny tekst.

„Wyklęty powstań ludu ziemi. Powstańcie, których dręczy głód. Myśl nasza, blaski promiennymi. Powiedzie nas na bój...”. Zapomniałem, co dalej.

„Na trud”.

„Na trud...” Pamiętasz. Nigdy w życiu tego nie śpiewałem.

Nigdy?

Nie było okazji...

W tłumie krytyków wychodzących z Grand Théâtre Lumière usłyszałem kiedyś ładny głos, podsumowujący festiwal: „Płakałem na Loachu. On wierzy naprawdę, głęboko, niewinnie”. Głównym odkryciem tego festiwalu była dla mnie wiara Loacha i estetyka Hou Hsiao-hsiena z Tajwanu...

Oczekiwałem wtedy od kina, że spełni swoją misję religijną. Wierzyłem w religię kina.

Spełniło?

Nie. Pokazało coś innego.

Gdy dotarłem do Cannes, zobaczyłem, jak bardzo jesteśmy prowincjonalni. W czasie tak zwanego karnawału Solidarności wydawało się, że jesteśmy jednym z tych miejsc na mapie świata, gdzie rozstrzyga się historia powszechna. U nas wszystko było wielką literą. W Cannes zobaczyłem, że jesteśmy gdzieś z boku, że nie zdajemy sobie sprawy z problemów, jakimi żyje świat.

11 września pokazał to brutalnie. Podczas którejś z nocnych transmisji wojny z Iraku przez omyłkę podano, że użyto broni jądrowej. Niemal natychmiast to zdementowano. A ja, słysząc o tym, nie poczułem rozpacz, tylko dumę. Jakże w innym miejscu byliśmy wtedy.

Po 11 września Cannes przyjęło na siebie rolę krytyka Ameryki. Już wcześniej kino francuskie broniło się przed amerykańską inwazją – ekonomiczną, kulturową, a festiwal bronił kina autorskiego.

Cannes jest bastionem krytyki filmowej, która jakby straciła znaczenie w czasach komercjalizacji kina. Zawsze z nią walczył, również z Netflixem, wyprowadzaniem filmów z kina.

Kino nie może być w domu?

Nie ma wspólnoty. Jak bardzo jej brakuje, przekonaaliśmy się w czasie pandemii. Wcześniej, w stanie wojennym sztuka znalazła się w kościołach, czasem przekraczając granice kościelnej cenzury, czy obyczajów. Skojarzył mi się rytuał kościelny z czymś, co można by nazwać religią kina. Przedświecenie kościoła w moim wspomnieniu skojarzone z poczekalnią kina... wypełniony papierosowym dymem, gdzie czekało się na otwarcie... I chociaż nie umiałem tego nazwać, wyczuwałem jakieś podobieństwo – rytuał wspólnotowy, z gruntu dobrego. Choć przecież mógł być wrogi, nienawistny.

Kino dotyka nas, jako jednostek, bo odnosi się do tego, kim jesteśmy. Ale jest ważne też dla budowania wspólnoty.

A w domu? Można włączyć, wyłączyć i zająć się czymś innym.

Są jeszcze miejsca, dla których religia kina jest ważna.

Te uczucia wracają do mnie, gdy wchodzę do Kina Muranów należącego do firmy Romana Gutka. Tam zachowała się architektura i styl dawnego kina, „świętyni sztuki”. Maski – tragiczna i komiczna – przypominają o korzeniach sztuki. O tym, że kino było sztuką dla mas, dostępną dla ubogich. A zarazem – sztuką terapeutyczną.

Podział na kino popularne i artystyczne dawno już został przełamany. Nie ma dwóch biegunów kina, nie jest tak prosto. Francuski nestor krytyki filmowej Michel Ciment mówi o tym przewrotnie, że publiczność zmańdrzała. Inny francuski reżyser, Max Ophüls mówił, że „ten, kto za bardzo ogląda się za publicznością, w końcu zobaczy jej tylek”. Mówi się czasem, że krytyka jest już tylko zachętą handlową do pójścia do kina. Tak nie jest. Amerykańska dalej wydaje najostrzejsze sądy.

Kino pozwala zobaczyć samego siebie. Dobry film wpuszcza mnie do swojego wnętrza i okazuje się, że to moje wnętrze. I jesteśmy tam, każdy z osobna, ale we wspólnocie. Razem i osobno.

W którym filmie po raz pierwszy zobaczyłeś siebie?

To było w „Dziecku wojny” Andrieja Tarkowskiego. Film z 1962 roku. Bohaterem jest dwunastoletni chłopak, który traci na wojnie rodziców. Pracuje dla armii, zbiera informacje o tym, ile nadciąga niemieckich czołgów. To, jak ten chłopiec patrzy na drzewa, las...

Drzewo. Kamera idzie w górę jak wzrok dziecka. Ono sobie wyobraża, że coś jest w koronie, może ktoś tam mieszka? Drzewo może skrywać różne tajemnice. Chłopiec w Tarkowskiego śnił, że jest na ciężarówce pełnej jabłek, skąpanej słońcem i deszczem równocześnie. Jakoś to we mnie działało.

Mój ojciec stracił rodzinę we wrześniu 1939 roku w czasie bombardowań.

Przez wiele lat baliśmy się siebie nawzajem. Właściwie nie rozmawialiśmy. Ojciec był kinomanem. Chodziliśmy razem do kina, nie odzywając się ani słowem. Film zastępował to, czego nie umieliśmy wyrazić słowami. Naznaczył całe moje życie, moje przeżywanie. Także to, jak przeżywam piękno kina.

Nie dosłownie, ale czuję się jak to „dziecko wojny” Tarkowskiego, bo też z nią cały czas walczyłem. I z jej przeżywaniem przez ojca, które wyrażało się czasem za pomocą agresji, złości, hysterii,

rozpaczy. Jako dziecko nie rozumiałem tego. Byłem prowadzony przez matkę.

Dziecko wojny, które dożyło – jak mówi teraz wiele osób – czasów przedwojennych. A może już i nawet wojennych.

Kiedyś wdałem się w dyskusję ze znajomym rosyjskim reżyserem i dokumentalistą, który często przyjeżdżał do Polski. Ze szło na Rosję, co z nią będzie w przyszłości. Rzuciłem nieroztropnie, że może byłoby najlepiej, gdyby została podzielona na odrębne republiki, żeby wygasic imperiaлизм. Spojrzał na mnie złym okiem. Potem pojechaliśmy do Śródmieścia. Autobusem. Siedzimy obok siebie, a przed nami otwiera się panorama Warszawy z Pałacem Kultury i nowymi wieżowcami. Wtedy on mówi: „Popatrz, przedwojenna Warszawa”.

Żyjemy w przerywanym reklamami oczekiwaniu na wojnę.

Mówiłeś o odnajdywaniu się w „Dziecku wojny”, a dzisiaj w jakim filmie się odnajdujesz?

Nie wiem. Dzisiaj nie jestem już ten sam. Trzeba być... Choroba kieruje ku samemu sobie. Nie jestem już tak skłonny do wcielania się. Coraz dalej mi do tego, co mówił i w co wierzył Kieślowski, że widz ma myśleć: „Ten film jest o mnie”. Choć wciąż autorskie kino jest o mnie. Szukam w nim siebie. Nie dosłownie oczywiście.

To jest też najważniejsze w krytyce filmowej. Żeby pisać nie tylko o filmie. O wszystkim można pisać.

Francuski krytyk kina André Bazin pisał, że krytyka to jest rozwijanie znaczeń. Nie tylko opisywanie tego, co widzimy. Amerykanka Pauline Kael twierdziła, że pisanie o filmie to obiektywizowanie własnego przeżycia. Czyli nie piszesz o tym, co przeżywałeś w kinie, na przykład, dlaczego płaczesz, ale szukasz łączników między sobą, filmem a innymi. Tylko to ma być tak zrobione, by nie było widoczne dla czytelnika. Inaczej popada się w grafomanię.

Trzeba zerwać z twarzy skorupę. Nawet jeżeli robisz to w sposób konwencjonalny. Ale nie można się wyżywać na czytelniku. To zadanie natury literackiej. Coś jak stworzenie opowiadania na kanwie obejrzanego filmu. Krytyka ponosi, idzie za filmem, wyszukuje odniesień, podsuwa porównania.

Krytyka, tak samo, jak kino, ma wychodzić poza siebie. Do widza.

Płaczesz na filmach?

To nie jest moja specjalność. Kałużyński by mnie wyśmiał.



FOT. FRANCISZEK MAZUR

Chciałem zobaczyć coś, co nie mieściłoby się w przyjętych u nas ramach. Ciekawie było przeżyć coś takiego jak film socjalistyczny bez komunizmu

Kino to twoja jedyna religia?

Nie wiem, nie będę tego nazywał. To można znaleźć w barokowym kościele albo na schodzonych podeszwach butów ludzi kłęczących przede mną. Dobrze, że oni tam są.

Jakiś przykład z kina?

Mój ulubiony film Bergmana, „Goście Wierzy Pańskiej”. Myślę, że to jest film religijny. Choć wszystko to się dzieje w „kościółce niewierzących”.

Pastor, który jest w filmie odpowiednikiem ojca Bergmana, jedzie na wizytację wiejskich kościołów na Gotlandii. Towarzyszy mu kochanka, której pastor nie cierpi. Ona odplaca mu tym samym. Jest to obraz ludzkiego piekła. Gdy przyjeżdżają do pustego kościoła, pastor odprawia nabożeństwo – jak myślę dla kobiety, która mu towarzyszy. Kościół niewierzących.

Przez telefon powiedziałeś mi ostatnio coś, co mnie zmroziło.

„Ja żyję, ale nie wiem, czy kino we mnie żyje”.

Czasem tak myślę. Przez chorobę. Ona kieruje na siebie, kino na zewnątrz.

Choroba jest ciekawa. Sama w sobie jest jakby osobowością, stale ma jakieś wymagania. Przy jednych ludziach chodzi mi się lepiej, przy innych gorzej. Od czego to zależy, nie wiem. Bardzo to jest perfidne.

Choroba... Ona przeszkadza, dlatego lepiej ogląda się filmy, które się już zna. Nawet gdy to jest „Lekarstwo na miłość” z Andrzejem Łapickim i Kaliną Jędrusik.

Do czyich filmów wracasz? Które tworzą tę – jak to nazywasz – międzynarodową mistyczną?

W oczekiwaniu na nowe talenty trzymam na wierzchu w pogotowiu Felliniego i Chaplina, Hitchcocka, Polańskiego, Bergmana, Rohmera, Hasa, Ozu, Leigh. I „Podróż do Włoch” Rosselliniego, którą Godard nazwał pierwszym filmem nowofalowym.

Czy któryś z tych „canneńskich” reżyserów jest twoim zdaniem przeceniony?

Gdy chcę powiedzieć „tak”, odzywa się we mnie ochronny głos. Ale może Haneke? Weredyk, nudziarz, suchy. Może też Lanthimos. Nie przekonałem się do niego. Odrzuciło mnie „Zabicia świętego jelenia”. Nie chciałbym do niego wracać. Zbyt efekciarsko zongluje głębokimi znaczeniami. I ten finał – Chrystus jako kozioł ofiarny? Nie pasuje mi to.

„Faworyta” Lanthimosa to jeden z moich ulubionych filmów.

Stylistycznie to bardzo wyrafinowany film, ale jego przekaz jest jak obuchem po głowie. Lanthimos pokazuje, jak ohydny potrafi być człowiek, ale też jak – mimo wszystko – wspaniale są jego wytwory.

Mnie zachwyca to, jak bawi się epoką, korzysta z historycznych scenografii z jakąś niesamowitą wolnością.

To samo robi z gatunkiem. Lanthimos sprzedaje fałszywe przekroczenia. Inaczej niż Pasolini w „Salo” czy „Ewangelii wg św. Mateusza”. To dla mnie ważny film – próba dowiedzenia się, o co chodziło w ewangelii. Niezwykle uczciwy.

Zmęczyłem Cię już chyba.

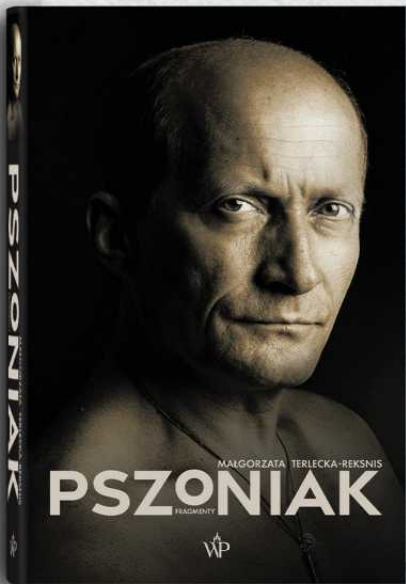
Jestem trochę rozedrgany. Rozkołysany. ●

Tadeusz Sobolewski

• Krytyk filmowy, publicysta, jego teksty ukazują się w „Wyborczej” od 1989 r. Autor siedmiu książek eseistyczno-dziennikowych. Do nagrody NIKE nominowany był za biograficzną książkę o Mironie Białoszewskim „Człowiek Miron”(2010). Swoje recenzje filmowe wygłaszał przez wiele lat w programie Grażyny Torbickiej „Kocham kino” w TVP2. Jego specjalnością były korespondencje z ważnych festiwali filmowych – od Cannes, Berlina, Wenecji po Gdynię. W ostatnich latach musiał zwolnić tempo pracy z powodu choroby Parkinsona. Ale wciąż prowadzi swój osobisty felieton w miesięczniku „Kino”.

REKLAMA

Kraj/34316508



Inspirująca opowieść
o życiu, w którego centrum
stała pasja



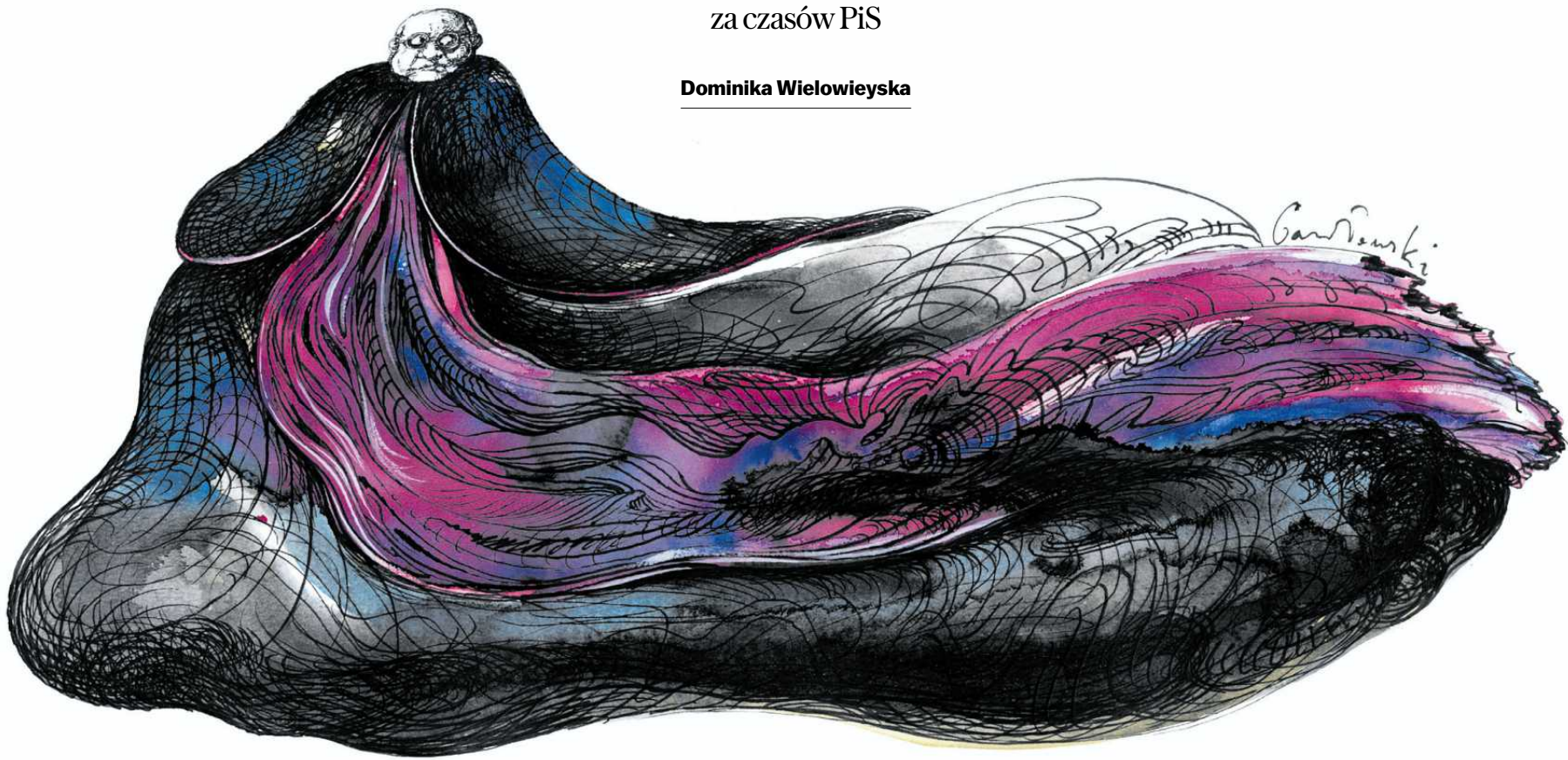
ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

NASTRÓJ BOJOWY, CZASEM Z LEKKA HISTERYCZNY

Neosędzia neosędzi nierówny.
Wielu nie miało innej drogi
za czasów PiS

Dominika Wielowieyska



Prezzydent Andrzej Duda działa emocjonalnie. Jest niesłychanie wrażliwy na punkcie swojej roli i prestiżu. I nie chce, by traktować go lekceważąco. Przez osiem lat był przez Jarosława Kaczyńskiego poniżany, sprowadzany do roli żołnierza, który ma wykonywać rozkazy. Kaczyński uważał wygraną Dudy w wyborach prezydenckich w 2015 roku za wydarzenie niespodziewane. Nie mógł pogodzić się z faktem, że on sam – prezes PiS – wyborów prezydenckich po katastrofie smoleńskiej nie był w stanie wygrać. A taki Duda – człowiek znikąd – dał radę. Po ośmiu latach upokorzeń ze strony Nowogrodzkiej Duda oczekuje, że ktoś go zapyta o zdanie, weźmie pod uwagę jego punkt widzenia. I czasami wysyła taki sygnał do Koalicji 15 Października: ja chcę tylko, żebyście coś ze mną skonsultowali. Jednocześnie prezydent obawia się premiera, który na polityce zjadł zęby i jest twardym zawodnikiem. Nie chce być przez Tuska nieustannie ogrywany. W tej grze Dudzie mu pomagać szef jego gabinetu Marcin Mastalerek. Konstrukcja relacji między prezydentem a premierem wygląda tak: najpierw Duda się na coś zgadza albo podejmuje dialog, by osiągnąć jakiś kompromis, potem ktoś z PiS mówi mu, że jest uległy i Tusk go ograł. I wtedy pre-

Bodnara oskarżenia organizacji sędziowskich i słowa, które pod jego adresem wypowiadają niektórzy sędziowie, jak choćby Igor Tuleya, bardzo bołą. **Zawsze stał po stronie praworządności, a dziś jest pod większym ostrzałem niż PiS**

zydant, często za radą Mastalerka, zmienia front i staje okoniem. Tak było w przypadku negocjacji w sprawie ambasadorów. Najpierw Duda dogadał się z Tuskiem, że część nominatów PiS zostanie na placówkach, a w innych nastąpią zmiany. Duda poszedł rządowi na rękę i nie czynił trudności przy zmianie na stanowisku stałego przedstawiciela Polski przy Unii Europejskiej. Ale potem Pałac Prezydencki uznał, że nie będzie się trzymał tych ustaleń, bo ma zbyt mały wpływ na decyzje personalne. Jednocześnie Duda w czasie rozmowy z Tuskiem w cztery oczy przed zaprzysiężeniem czworga nowych ministrów zapewniał, że jego nie interesuje wetowanie ustaw dla samego wetowania ani blokowanie decyzji personalnych dla zasady, bo on nie planuje działalności partyjnej po zakończeniu kadencji. I wszystkie jego decyzje mają charakter merytoryczny, a nie partyjny. Czasami jednak wpada w nastrój bojowy albo z lekka histeryczny i według moich informacji potrafi w szerszym gronie wygłosić zdanie, którego sens jest następujący: „Kohabitacja (w domyśle z Tuskiem) skończyła się śmiercią Lecha Kaczyńskiego, ja jeszcze żyję”. Trudno nawet komentować taką opinię: osoby słuchające tego były w szoku. Prezydent działa pod wpływem chwilowych emocji i w tym kontekście jest nieprzewidywalny, jeśli chodzi o politykę kra-

RYŚ: JACEK GAWRONSKI

jową. Choć trzeba powiedzieć, że w sprawach międzynarodowych i bezpieczeństwa mamy wspólny front rządu oraz Pałacu Prezydenckiego. Warto zauważyć, że Duda nie bratał się z postaciami w rodzaju Marine Le Pen, z politykami proputinowskimi, co robi notorycznie choćby Mateusz Morawiecki.

Jednocześnie Duda wysyłał nieoficjalne sygnały, że co prawda uchwalona tuż przed wyborami parlamentarnymi ustawa kompetencyjna daje mu prawo konsultowania polskiego kandydata na komisarza Komisji Europejskiej, on jednak nie zamierza rzucać rządowi kłód pod nogi. I jeśli Tusk zdecyduje, że np. to Radosław Sikorski ma być komisarzem ds. obronności, to Duda nie będzie protestował. Ale Tusk oświadczył, że niczego nie będzie konsultował, bo prezydent nie ma takich kompetencji. Duda tymczasem zdaje się powtarzać: no gdybyście mnie traktowali bardziej podmiotowo, a nie tak konfrontacyjnie, gdybyście mnie szanowali, to może byśmy się dogadali.

Rząd być może powinien podjąć jeszcze raz próbę dogadania się z Dudą, bo nie byłoby dobrze, gdyby Bogdan Klich – z powodu sprzeciwu prezydenta – wyjechał do Waszyngtonu jako charge d'affaire, a nie jako ambasador. To placówka strategiczna i ważna jest ranga polskiego przedstawiciela. Tylko czy – nawet jeśli jakieś wspólne ustalenia zapadną – Andrzej Duda znów nie zmieni zdania?

Takie tło relacji premier-prezydent trzeba brać pod uwagę przy okazji analizy ewentualnego losu ustawy o nowej Krajowej Radzie Sądownictwa. Będzie to kluczowy test, na ile kohabitacja pomiędzy rządem a prezydentem wywodzącym się z przeciwnego obozu politycznego jest w obecnych warunkach możliwa. Wszystkie scenariusze leżą na stole i dziś trudno przewidzieć, który będzie realizowany.

Minister sprawiedliwości Adam Bodnar odpowiedział pozytywnie na apel prezydenta, żeby zapytać o zdanie Pałac Prezydencki. Rozmawiał o ustawie o KRS z ministrami Małgorzatą Paprocką z Kancelarii Prezydenta. Senat zgłosił poprawkę, która jest gestem dobrej woli wobec Pałacu Prezydenckiego, narażając się na protesty stowarzyszeń sędziowskich. A teraz Pałac Prezydencki kręci nosem na kompromis. To niech potem prezydent się nie dziwi, że nikt już z nim będzie nic negocjować.

Obecna Krajowa Rada Sądownictwa jest niekonstytucyjna i nieprawidłowo obsadzona. To wynika m.in. z wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, którego werdykt Polska jest zobowiązana realizować. Rzecz w tym, że przedstawiciele sędziów wybierali – na mocy pisowskiej ustawy – politycy. Rada liczy 25 członków, w tym 15 przedstawicieli środowiska sędziowskiego. Oprócz tego w KRS są m.in. przedstawiciele Sejmu, Senatu, prezydenta, prezesi Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego i minister sprawiedliwości. Ta właśnie Rada powołała około trzech tysięcy tzw. neosędziów, których nominacje zatwierdził prezydent.

Teraz rząd Tuska proponuje, by usunąć z KRS 15 osób wybranych przez Sejm. Prawo wyboru swoich przedstawicieli zostało by zwrócone sędziom, którzy wskazywaliby ich w wyborach organizowanych w sądach w całym kraju. 15 miejsc przypadłoby przedstawicielom wszystkich pionów czy szczebli sądownictwa. Byłby to system bardziej demokratyczny w porównaniu ze stanem sprzed 2015 roku. Ustawa, która już została uchwalona przez Sejm, zakładała początkowo, że neosędziowie mogą brać udział w głosowaniu nad kandydatami do KRS, ale sami nie mogą do niej kandydować. Bo status neosędziów jest nadal niejasny ze względu na to, że zostali wskazani przez niekonstytucyjną KRS.

Ministerstwo tłumaczyło, że nowa Rada ma zweryfikować powołania neosędziów. Gdyby neosędziowie znaleźli się w KRS,

wówczas „nieprawidłowo powołani sędziowie oceniliby status innych nieprawidłowo powołanych sędziów” – wyjaśniał wiceminister sprawiedliwości Dariusz Mazur. Jednak po rozmowach Bodnara z Paprocką Koalicja 15 Października w Senacie przegłosowała poprawkę, która umożliwi neosędziom start w wyborach do odpolitycznionej KRS. Miałoby to skłonić prezydenta do podpisania ustawy.

Ta zmiana wywołała sprzeciw wielu sędziów, którzy byli represjonowani za czasów PiS. Uważają, że neosędziowie nie powinni być powoływani do KRS. Ale bez tej ustawy problemy polskiego sądownictwa będą narastać. Sędziów brakuje, wakatów jest sporo. Produkcja neosędziów została spowolniona, ale nie zatrzymana całkowicie.

Po protestach środowisk sędziowskich, które są bardzo krytyczne wobec poprawki Senatu, Koalicja 15 Października postanowiła wstrzymać prace nad ustawą. Szefowa sejmowej komisji sprawiedliwości Kamila Gasiuk-Pihowicz stwierdziła, że w związku z protestami zamówiła kolejne analizy prawne. I nie zwołała posiedzenia komisji. Na pewno do 9 czerwca, kiedy to odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego, nic w tej sprawie się nie wydarzy, bo

ustawę o KRS po poprawkach Bodnara, czy też ja i Bodnar byliśmy naiwni, sądząc, że jest pan gotowy na kompromis”. Prezydent nie odpowiedział.

Małgorzata Paprocka też nie chce zadeklarować, czy po poprawkach senackich jej zdaniem ustawa powinna być podpisana. Mówiła publicznie, że propozycje Senatu mogą nie wystarczyć. – Ustawa jest dużo szersza. Na pewno nie ma dzisiaj argumentów prawnych, konstytucyjnych, aby kadencja KRS-u została przerwana – zaznaczyła. Oczywiście takie argumenty są: jest wspomniany wyrok TSUE i innych trybunałów międzynarodowych.

Z kolei Mastalerek w wywiadach kluczy: wskazuje, że Koalicja 15 Października wstrzymała prace nad ustawą z powodu kampanii wyborczej, ale nie wypowiada się jednoznacznie, czy prezydent powinien ustawę podpisać czy zawetować. Duda może ją jeszcze odesłać do Trybunału Julii Przyłębskiej, pytanie – czy przed, czy po podpisaniu. Jeśli po podpisaniu, to znaczy, że kompromis z Tuskiem został jednak zawarty.

Adam Bodnar liczy, że nie wszystko jest w tej sprawie stracone. Warto zauważyć, że wiele autorytetów prawniczych strony demokratycznej nie pali się do oceny ustawy w wersji senackiej. Uważają, że sprawa

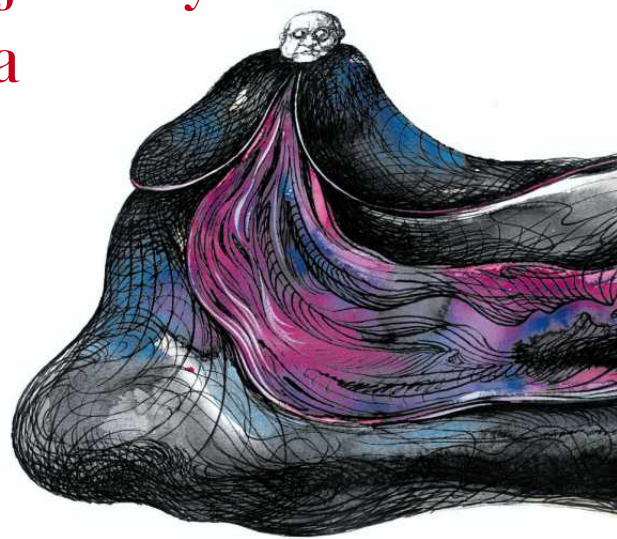
uważają, że w związku z opinią Komisji Weneckiej można było wymyślić inny warunek, który praktycznie wykluczałby neosędziów z wyborów do KRS, nie odnosząc się wprost do ich statusu – np. wprowadzić kryterium stażu sędziowskiego.

Tymczasem kompromis Bodnara wspierają organizacje pozarządowe: Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Forum Obywatelskiego Rozwoju, Amnesty International Polska, Fundacja Court Watch Polska, Sieć Obywatelska Watchdog Polska oraz Towarzystwo Prawnicze w Lublinie. Zwracają uwagę, że próba manipulowania sędziowskim stażem jest niedopuszczalna. Ich zdaniem wprowadzenie takiego kryterium może być tylko podyktowane tym, by zapewnić wybór doświadczonych sędziów, a nie tym, by wykluczyć neosędziów na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej.

Wiadomo, że neosędzia neosędzi nierówny. Moim ulubionym przykładem jest sędzia Iwona Szymańska, prywatnie żona byłego ministra ds. europejskich Konrada Szymańskiego (niegdyś PiS). Oko.press opublikowało jakiś czas temu listę niepokornych „sędziów wolności”, którą stworzyła znana publicystka „Polityki”, niegdyś „Wyborczej”, specjalistka od tematy-

Koalicja 15 Października w Senacie przegłosowała poprawkę, która umożliwi neosędziom start w wyborach do odpolitycznionej KRS.

To wywołało sprzeciw wielu sędziów, którzy byli represjonowani za PiS. Ale bez tej ustawy problemy polskiego sądownictwa będą narastać. Sędziów brakuje, wakatów jest sporo



Koalicja Obywatelska nie chce sobie zrażać twardego elektoratu i daje sobie czas do namysłu, co dalej zrobić.

Wiadomo, że za każdym razem, gdy zawierała jakikolwiek kompromis z obozem PiS, traciła w sondażach. Ale co wydarzy się po wyborach europejskich? Czy warto zrobić krok naprzód nawet wbrew części intelektualnego zaplecza KO? Czy lepiej się wycofać i odłożyć odnowę KRS na rok, do czasu wyborów prezydenckich? Tym bardziej że nie jest pewne, czy Duda podpisałby tę ustawę po wprowadzeniu do niej poprawek senackich.

W Koalicji 15 Października nie zapadła jeszcze decyzja, co z tym fantem zrobić. Choć są i tacy, którzy mówią: dajmy sobie spokój, odrzućmy senackie stanowisko, bo Duda i tak nie podpisze, a my tylko trwale skonfliktujemy się ze stowarzyszeniami sędziowskimi.

Kilkanaście dni temu prezydent rozmawiał o tym z premierem. Inaczej tę rozmowę przedstawia nieoficjalnie Pałac Prezydencki, a inaczej otoczenie Tuska. W Pałacu Prezydenckim można usłyszeć, że Tusk miał powiedzieć prezydentowi, iż propozycje kompromisowe ministra sprawiedliwości to błąd, premier ich nie popiera, ale Bodnar ma wolną rękę w tej sprawie. Otoczenie Tuska przedstawia tę rozmowę kompletnie inaczej: premier nie odcinał się od ministra sprawiedliwości, miał jedynie zapytać prezydenta: „Czy podpisze pan

jest stricte polityczna i dylemat jest potężny. – Stowarzyszenia sędziowskie mają rację, że zgłaszają sprzeciw, bo problem istnieje. Z drugiej jednak strony, gdyby Duda ustawę podpisał, można by zacząć ten proces uzdrawiania i potraktować to jako pierwszy etap. I wtedy można by uznać, jak Henryk IV, że „Paryż wart jest mszy” – usłyszałam w trakcie swoich rozmów na ten temat. Król Francji przeszedł na katolicyzm w imię zgody narodowej i umocnienia swojej władzy.

Prof. Włodzimierz Wróbel, sędzia Sądu Najwyższego, był i nadal jest bardzo krytyczny wobec poprawki senackiej, ale w TOK FM zaznaczył, że być może rząd – jeśli uważa, że kompromisowa ustawa o KRS jest pierwszym krokiem – przedstawił kompleksowe plany zmian włącznie z projektem ustawy, który będzie zajmował się statusem neosędziów.

Strona rządowa zaznacza, że chce kompromisu z prezydentem, ponieważ Komisja Wenecka zgłosiła zastrzeżenia co do hurtowego wyłączenia neosędziów z kandydowania do KRS. Stowarzyszenia sędziowskie

ki ustrojowo-prawnej Ewa Siedlecka. Znalazła się na niej Szymańska, która „uznała za niezasadne i nieprawidłowe zatrzymanie Obywatela RP pod siedzibą PiS”. Orzekła też w interesie Obywateli RP, którzy zebrawali się, by blokować marsz ONR-u 11 listopada. Co więcej, skierowała do prokuratury sygnalizację o możliwości przekroczenia przez policję uprawnień.

Przeważnie wszyscy się zgadzają, że nie ma co piętnować tych neo-sędziów, którzy wcześniej byli asesorami sądowymi i zyskali nominację za czasów PiS. No i oczywiście nikt nie chce kwestionować statusu asesorów sądowych. Innej drogi uzyskania statusu te osoby nie miały. Poza tym w wielu sprawach stosowano testy niezawisłości, których wynik był następujący: jeden neosędzia testu nie przeszedł, a drugi – owszem. Decyzje Sądu Najwyższego, który ocenia niezawisłość neosędziów, są dobrą wskazówką, czy status powinien być zakwestionowany.

Ponadto w świetle orzecznictwa polskich i zagranicznych sądów neosędziowie

wie Sądu Najwyższego powinni być bezwzględnie zweryfikowani, a zmiany powinny być radykalne, ale – zgodnie z uchwałą trzech izb Sądu Nawiższego z 2020 r. – do przypadków neosędziów sądów niższych instancji trzeba podchodzić indywidualnie. Status wielu z nich – poza skrajnymi przypadkami upolitycznienia – powinien być zatwierdzony.

W styczniu pojawiła się ciekawa informacja, którą mało kto zauważył. Pisał o tym w „Wyborczej” Łukasz Woźnicki. Unijny Trybunał Sprawiedliwości uznał za niedopuszczalne pytania dotyczące procedury powoływania neosędziów. „Nie służyły rozstrzygnięciu spraw toczących się przed polskimi sądami, a to warunek konieczny” – uznał.

Wielka Izba TSUE decydowała, czy odpowiedzieć na pytania o wykładnię prawa unijnego, zadane przez sądy z Katowic i Krakowa. W 2021 r. wystąpili z nimi znani sędziowie: Krystian Markiewicz, prezes stowarzyszenia Iustitia, oraz Waldemar Żurek ze stowarzyszenia Themis. Czy skład z neosędzią jest niezależnym, bezstronnym i legalnym sądem, czego wymaga prawo europejskie? – tak można streścić pytania sądów. Żurek z Markiewiczem liczyli, że dzięki wykładni TSUE będzie można wyłączać neosędziów z rozstrzygania spraw jako niezdolnych do orzekania. Unijny Trybunał we wtorek jednak odmówił odpowiedzi na pytania.

Generalnie TSUE w swoim orzecznictwie zawiera takie przesłanie: kochani, w sprawie neosędziów musicie się dogadać między sobą w Polsce.

Mało kto zwrócił uwagę, że Senat przegłosował nie tylko poprawkę dotyczącą startu neosędziów w wyborach do KRS, ale także zmienił sposób głosowania. Nie wchodząc w szczegóły – ta zmiana oznacza, że każdy członek KRS wybrany w takim głosowaniu musi mieć bardzo du-

zachęcałaby Dudę do podpisania ustawy, a Mastalerek na odwrót. Jeśli tak jest, choć ostatnie wypowiedzi Paprockiej na to nie wskazują, to oczywiście, że Mastalerek ma na prezydenta większy wpływ. Przed podjęciem decyzji to on wychodzi z gabinetu Dudy jako ostatni, a o prezydencie zawsze mówiono, że podejmuje decyzje pod wpływem ostatniego rozmówcy.

Duda musi jednak wziąć pod uwagę, że wetując ustawę, zaprzeczy temu, co mówił wcześniej: że będzie bronił statusu sędziów wskazanych przez neo-KRS. Bo jeśli za rok wybory wygra ktoś związany z Koalicją 15 Października, sytuacja neosędziów może się gwałtownie pogorszyć. Zmiany będą głębsze i bardziej radykalne. Neosędziowie będą to zawdzięczać Duzdie, który mógł, ale nie skorzystał, z okazji, by wzmocnić ich pozycję.

A jeśli Duda ustawę podpisze, sytuacja szeregowych neosędziów będzie lepsza w razie, gdyby w tej sprawie miałyby się jeszcze raz wypowiadać międzynarodowe trybunały. Po stworzeniu nowej KRS zaczną się porządki i przywracanie konstytucyjnych reguł, a tym samym nastroje radykalne wśród legalnych sędziów mogą osłabnąć, konflikty w sądach będą przygasać, na czym neosędziom zależy. Brak nowej KRS będzie konflikty podsycać, a tego wielu ludzi w sądownictwie nie chce.

Weto Dudy świadczyłoby także o tym, że jego słowa o gotowości do kompromisu i wyjścia z pułapki partyjnych interesów są niewiele warte. Z drugiej strony u prezydenta może zwyciężyć myślenie: „Ojej, powiedzą, że Tusk mnie ograł”. Co akurat prawdą nie jest, bo to oczywiście, że Bodnar boryka się z oskarżeniami organizacji sędziowskich i słowa, które pod jego adresem wypowiadają niektórzy sędziowie, jak choćby najslawniejszy z nękanych przez Zjednoczoną Prawicę sędziów, zawieszony przez ministra Ziobrę Igor Tuleya, bardzo go bołą. Zawsze stał po stronie praworządności, a dziś jest pod większym ostrzałem niż PiS.

Powołanie nowej KRS na zasadzie kompromisu z Dudą nie zmienia faktu, że musi powstać ustawa weryfikująca neosędziów, choć pewnie to nastąpi po wyborach prezydenckich. Nie ulega też wątpliwości, że kwestia Sądu Najwyższego wymagać będzie radykalnych działań, bo to wynika z wyroków TSUE oraz uchwały trzech izb Sądu Najwyższego z 2020 roku. Dotyczy to w szczególności Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, która się ostatecznie skompromitowała. Wcześniej czy później rozpoczną się postępowania dyscyplinarne wobec sędziów, którzy się sprzeniewierzyli zasadzie niezawisłości.

Sprawa nowej Krajowej Rady Sądownictwa jest ważnym testem, na ile możemy wyjść z pułapki polaryzacji w imię interesu społecznego. I jeśli ustawa o KRS wejdzie w życie, to ciekawy byłby wynik wyborów tej Rady.

Nowa KRS pokaże też realną kondycję stanu sędziowskiego – na ile wybrane osoby nie będą wzbudzały żadnych zastrzeżeń etycznych i będą spełniały najwyższe kryteria profesjonalizmu. Stowarzyszenia sędziowskie, które protestują przeciwko temu kompromisowi, będą miały okazję pokazać swoją moc i determinację.

Najgorszym scenariuszem byłby bojkot wyborów KRS przez np. stowarzyszenie Iustitia – a głosy za takim rozwiązaniem się pojawiały. Minister Bodnar zapewne spróbuje przekonać sędziów do swoich racji, może obie strony siądą do stołu, by poszukać jakiegoś rozwiązania.

Może wskazówką będzie to, co mówił prof. Wróbel: rząd przedstawi długofalowy plan dotyczący uzdrowienia sądów, kolejne etapy i kolejne projekty ustaw, które pewnie pojawią się w Sejmie dopiero po wyborach prezydenckich. ●

Przedmurze

Trzaskowski chce „zniszczyć religię, zniszczyć to, w co ludzie wierzą, zniszczyć to, że ludzie wierzą, że są czymś więcej niż tylko homo sapiens”.



Michał Rusinek

Niby wszystkie przemówienia Jarosława Kaczyńskiego w ramach kampanii przed wyborami do europarlamentu są podobne, ale jednak nie takie same, bo w każdym potrafi on zaskoczyć niespodziewanym elementem lub nowatorskim podejściem do znanego z poprzednich przemówień motywu. Tak też było w Dąbrowie Białostockiej.

Zaczął się od błyskotliwej diagnozy stanu rzeczy, która sprowadzała się do stwierdzenia, że w Europie panuje „czyste wariactwo”. Tego „wariactwa” – zdaniem Kaczyńskiego – „jest w tej chwili w Europie niebывала ilość”. Jego symptomami są „najróżniejsze przymusy, różnego rodzaju twierdzenia, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, odnoszące się do różnych spraw”. Przysiąc trzeba, że jest to zdanie o otchłannej ogólności. Otchłannością tą sam mowca wyraźnie się zadziwił, bo jednak podał jedno exemplum: „W Niemczech na przykład co roku każdy deklaruje, czy jest kobietą, czy mężczyzną”. Okazało się, że przykład ten miał charakter humorystyczny, bo sala zareagowała zdrowym rechotem, co zresztą wytrawnego mówcy nie zdziwiło. „Jeśli ktoś tego nie wie – a na pewno wszyscy państwo wiecie – to to jest w genach. Kobieta i mężczyzna mają inne geny. No, nic się na to nie poradzi” – dodał z udawaną troską. „A jakieś zakłócenia zdarzają się mniej więcej raz na tysiąc wypadków” – wyjaśnił naukowo, mając raczej na myśli „przypadki”, wspomniane „zakłócenia” podzielił zaś na fizyczne („tak zwane obojnactwo”) i psychiczne („bo to też się zdarza”), po czym humanitarne zapewnił, że takim ludziom „oczywiście trzeba pomóc”.

Powtórzył, że tego typu przypadki to tylko „margines marginesów”, ale że stają się one na Zachodzie „pewną normą”. Po czym przeszedł do stałego wątku swoich kampanijnych przemówień, czyli kwestii wolności: z jednej strony „zabiera się ludziom wolność krytyki tych wszystkich dziwnych pomysłów”, a nawet zabiera wolność dosłownie, bo wtrąca się za ową krytykę do więzienia. Z drugiej strony „uważa się, że to decydowanie o tym, czy jest się mężczyzną czy kobietą, to jest sfera wolności”, co dla Kaczyńskiego jest absurdalne. Sformułował więc kolejną diagnozę stanu rzeczy w Europie: „Wolność się na Zachodzie cofa, tej wolności jest coraz mniej”.

Wtedy uruchomił swój ulubiony tryb insynuacyjny: „Komuś zależy na tym, żeby ludziom zupełnie pomieszać w głowie”. Wprawdzie teoretycznie tego „kogoś” wskazał, ale też posługując się kategorią dość mglistą: „Wiadomo, komu zależy. Zależy tym elitom, skrajnie zdehumanizowanym, które decydują o wielu sprawach na Zachodzie”. „Elitom” tym jednak się tylko wydaje, że o czymkolwiek decydują, bo „każdy człowiek, który wie, jak dzisiejszy świat wygląda, musi tutaj dostrzec także rękę ze Wschodu”. Na chwilę pojawił się w przemówieniu Kaczyńskiego Wschód, a więc za-

pewne rosyjskie służby, które chcą „zrobić ze świata zachodniego coś słabego, bezwolnego, zidiociałego, po to, żeby móc nad tym wszystkim zapanować”. Czyli możemy się czuć bezpieczni, bo nam nic nie grozi, jeśli pozostaniemy przy zdrowej polskiej transfobii. Oddychamy z ulgą.

Choć jednak powinniśmy się mieć na baczności, bo kiedy poprzednim razem rządziła PO, to „rozbrajała Polskę”, a więc prowadziła działalność antypaństwową, „być może inspirowaną przez Rosję”. Co robi teraz? Zobaczymy. Kaczyński „chciałby wierzyć”, że rozbrajać nie będzie. Tu nastąpił długi fragment dotyczący uzbrojenia, które zostało zakupione dla polskiej armii za rządów PiS-u. Trudno mi ocenić, czy był on zgodny z prawdą, ale z pewnością przebiegała z niego fascynacja bronią: Kaczyńskiemu świeciły oczy, kiedy mówił o armatach, myśliwcach i czołgach, które są tak odporne, że można je trafić nawet 57 razy, a one dalej będą zdolne do walki. Poraża i za razem uspokaja precyzja takich opisów. Opisuując możliwości amerykańskich czołgów typu Abrams Kaczyński nie tylko mówił, ale i pokazywał, że mogą nieomal jeździć po ścianach, więc wyobrażaliśmy go sobie jako małego chłopca bawiącego się żołnierzycami. Dodał też, wykrzywiając usta, że „niemieckie czołgi nie mają takich możliwości; zresztą nie mają wielu innych możliwości”. Wiadomo. Bo są niemieckie. A Niemcy w narracji Kaczyńskiego muszą być na przegranej pozycji.

Militarna narracja prezesa PiS-u toczyła się jednak dalej: „Mamy oczywiście także własne plany, na przykład Mieczniki, które są okrętami wojennymi, takimi przeznaczonymi na Bałtyk. Nie mamy w tej chwili większych ambicji”. Czyli nie możemy wykłuczyc, że kiedyś, pod kolejnymi rządami PiS-u, Polska może zacząć prowadzić działania wojenne także na morzach, z którymi nie graniczy. Aż kusi, żeby zadać Kaczyńskiemu pytanie, jakie „większe ambicje” ma na myśli, ale bez wątpienia wszystkie kraje, które mają dostęp do innych mórz, powinny się mieć na baczności.

Od wojen dosłownych, realnych i ambicio-nalnych, Kaczyński przeszedł do wojny metaforycznej, a ściślej: „wojny religijnej rozpoczętej przez Trzaskowskiego”, polegającej na eliminowaniu symboli religijnych z urzędów. Prezydent Warszawy jest przedstawicielem „opcji europejskiej”, a ona ma jeden cel: „zniszczyć religię, zniszczyć to, w co ludzie wierzą, zniszczyć to, że ludzie wierzą, że są czymś więcej niż tylko homo sapiens”. Kaczyński najwyraźniej powątpiewa w teorię ewolucji (wyznaną przez „opcję europejską”), podobnie jak wspomniani „ludzie”, którzy „wierzą, że są ludźmi, którzy mają duszę, którzy zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga”. I dzięki temu wierzą, że są „ważni” oraz że są „nieśmiertelni”. Oni („opcja europejska”) „chcą to zniszczyć, chcą z ludzi zrobić zwierzęta. My się tu w Polsce na to nie godzimy”. Innymi słowy, Zachód chce zabrać nam duszę, która, jak wiemy, jest nieśmiertelna. To z Zachodu płynie prawdziwe zagrożenie, bo jeśli Putin nas powybiya, to skończymy, jako homines sapientes, czyli w grobach, a nie będziemy cieszyć się życiem wiecznym w Niebiesiech. Ale nic z tego. Nie pozwoli na to jak zwykle Polska, czyli przedmurze chrześcijaństwa. Jak mawiał Antoni Słonimski — przedmurze obrotowe.

W całym długim przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego padło tylko jedno zdanie, które nie tylko nie budzi moich wątpliwości, ale podpisuję się pod nim obiema rękami, zwłaszcza ze względu na wszystkie, dość wstrząsające, zdania pozostałe: „Te wybory są niesłychanie ważne!”. ●



rys. JACEK GAWŁOWSKI

żą liczbę głosów, i nie da się na zasadzie skrzyknięcia neosędziów przepchnąć jakiegos kandydata niewielką większością. A biorąc pod uwagę, iż sędziów mamy około siedmiu tysięcy, a neosędziów około 3 tysięcy, szansa na wybór osoby skompromitowanej jest bliska zeru.

Czy wobec tego Duda tę ustawę zawetuje? Jakie korzyści politycznie miałby w związku z podpisaniem wersji senackiej? Innymi słowy, co mogłoby go skłonić do kompromisu z ministrem Bodnarem.

Korzyścią z punktu widzenia Dudy jest to, że taka ustawa w jakimś sensie sankcjonuje istnienie neosędziów. Poza tym ruszyłby proces nominowania nowych sędziów, w którym prezydent odgrywa ważną rolę. To on zatwierdza kandydatów, więc jeśli jakieś decyzje nowej KRS nie będą mu się podobały, może je zablokować.

W Koalicji 15 Października panuje przekonanie, że Małgorzata Paprocka raczej



• Warszawa, 31 maja 2018,
Iga Świątek pozuje do
zdjęć podczas ostatniego
treningu przed wylotem na
turniej junierek wielkoszle-
mowego Rolanda Garrosa

FOT. BARTOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

Hej, DORWE CIE w Paryżu

Matematyka Igi Świątek. 22 lata + 155 meczów jako numer 1 na świecie = nowy poziom opanowania.

Radosław Leniarski

uż w czwartym gemie finału wielkiego turnieju w Rzymie Aryna Sabalenka cisnęła rakietą o kort tak mocno, że ją połamała.

Nie to było zaskakujące, że wybuchła. Ona zwykle jak już coś robi, to nadmiarowo. Jak się wkurza, to nie mruczy coś pod nosem. O nie, ona nie pozostawia niuansów do zinterpretowania, krzyczy z całej siły, a potem, jak u Hitchcocka, napięcie rośnie. Ale ciskanie rakietą w kort zwykle zdarzało jej się w znacznie późniejszych fazach niedobrze się dla niej rozwijających meczów. Na przykład w Madrycie, po przegranym ze Świątek finale bliźniaczego turnieju, smartfony kibiców uchwyciły, że gdy zwyciężczyni skacze po korcie w tańcu radości i pędzi do boksu ekipy, żeby z nią się cieszyć, Sabalenka wali rakietą w kort.

Dwa różne zachowania być może mają związek z tym, że finał w Rzymie z poprzedniej soboty był z wielu względów krańcowo różny od finału w Madrycie, zakończonym dosłownie trzy tygodnie temu, choć nazwiska przeciwniczek były te same.

W finale w Rzymie Sabalenka czuła się od początku bezradnie, jej serwis był przełamywany, a ona sama, odbijając piłkę po podaniu Igi Świątek, nie potrafiła skorzystać z wyjątkowej okazji, mianowicie niepewności pierwszego uderzenia Polki (w pierwszym secie zaledwie 39 proc.).

W Madrycie, na dużej wysokości jak na czułość detektorów tenisistek, bo około 700 metrów n.p.m., Sabalenka i Świątek stoczyły pojedynek epicki, trzysetowy, jeden z takich, do których kibice i eksperci będą wracali pamięcią, aby coś sobie udowodnić lub argumentować. W Rzymie Świątek wygrała w dwóch setach, a więc łatwo – wydawałoby się patrzeć na tablicę wyników. Ani przez moment nie było wątpliwości, kto rządzi na korcie – wydawałoby się.

W rzeczywistości nie było ani łatwo, ani niewątpliwie, a złudzenie zostało spowodowane czymś całkiem nowym, ledwo uchwytnym w grze Świątek, przynajmniej dla nieuzbrojonego oka kibica zaglądającego do tenisa od czasu do czasu. Mógł prze-gapić ową arcyważną zmianę wśród mnóstwa kapitalnych zagrań, zwrotów akcji oraz napięcia.

Kluczowy wzór zachowania na korcie widać było już w Madrycie, a wrócił w Rzy-

mie z jeszcze większą wyrazistością. To bodaj najbardziej zaskakujący stały wyróżnik w tych dwóch kompletnie innych meczach. Jest nim nowy poziom opanowania Igi Świątek, kontroli emocji, co – przynajmniej – brzmi banalnie, ale nie jest banałem.

Dla Świątek jest to brakująca sprawność harcerska, umiejętność, buff czy skill, jak w grze komputerowej, kiedy gracz wzmacnia swoją postać, doładowując ją wartościową cechą. Nabywa ją dzięki doświadczeniu lub kupuje kluczowe narzędzie w sklepie. Gdy to zrobi, wraca do gry i rozwala przeciwników, którzy dotąd byli silniejsi. Zdobywa większy skarb. Osiąga wyższy cel.

Świątek ma zaledwie 22 lata, ale rozegrała już 155 meczów jako numer 1 na świecie, co oznacza, że spakowała olbrzymi bagaż, z którego może wyciągnąć coraz więcej przydatnych narzędzi w kluczowych momentach.

U Świątek to narzędzie czy, jak kto woli, nowa sprawność – kontrola nad emocjami – przejawia się brakiem emocjonalnej reakcji (lub brakiem wielkiej, widocznej reakcji) na nieudane zagranie, zgodnie ze stoickim postulatem, że to co nie zależy od ciebie, albo minęło, przestaje być ważne.

To zupełnie coś innego niż u Eleny Rybakiny. Ona również imponuje spokojem. Tylko że spokój Rybakiny ma źródło gdzie indziej. Ona jest po prostu wyzuta z emocji. Jej rodzina mówi, że od dziecka nie przejawiała żadnych nerwów, żadnych emocji – na korcie i poza nim. Nie uczyła się kontroli, bo nie było czego kontrolować. Poziom emocji 1, góra 2. W porywach 3. Bura to 3,5. Bunt to 4. Jej agent Nicholas

Jej pierwsza trenerka twierdzi, że Sabalenka zawsze się rozpychała, używała łokci, żeby być pierwsza nawet na rozgrzewce. Była większa od innych i silniejsza. 10-letnia Aryna wydała rodzicom rozkaz, by nie przychodzili na jej mecze

Tzekos twierdzi, że jej niepewny uśmiech oznacza, że chciałaby z całej siły przytulić do siebie całe trybuny, 20 tysięcy ludzi.

To zupełnie coś innego niż u Sabalenki, która nie tylko krzyczy i ciska rakietą, ale i buduje w swojej głowie złożoną, chwiejną konstrukcję psychologiczną, w której za niepowodzenia w konkretnych sytuacjach odpowiada ktoś inny niż ona. Jej zespół. Taki mechanizm obronny w brutalnym świecie zawodowego sportu. Po przegranym pierwszym secie finału ze Świątek w Rzymie schodziła, pokazując swojej ekipie kciuk w górę w złośliwym geście „Ładnie mnie urządziliście, bravo”. A po meczu w krótkiej przemowie dodała, półżartem, półserio: „Dziękuję mojemu zespołowi, który tak dobrze przygotował mnie do kolejnej porażki z Igą”.

Świątek ma emocje na wierzchu, blisko powierzchni. Znamy ten płacz, znamy ręcznik na głowie, odwrócenie się od kortu, żeby złapać uwalniający lzy oddech. Wszystko zniknęło. Musiała się nauczyć kontroli. Ma tu wspaniałą pomoc w osobie psycholożki i przyjaciółki Darii Abramowicz.

Wcześniej po uderzeniu w aut, w siatkę albo uderzeniu za krótkim, jej też zdarzało się – często! – wygłaszać tyrały do siebie lub do ekipy siedzącej w na trybunach i okazywać gesty bezradności. Teraz można zaobserwować, jak jej nowo nabyta kontrola nad emocjami działa w konkretnych sytuacjach. Takich, gdy od jednego zagrania zależy, czy rywalka zdobędzie gema, seta lub wygra mecz przy serwisie Świątek. W finale w Rzymie Świątek siedem razy przy siedmiu szansach Sabalenki obroniła „break point”, tzw. piłkę, w której Białorusinka mogła wygrać jej gema serwisowego. W ćwierćfinale z Madison Keys – 10 na 10.

Musimy to sobie jakoś uświadomić. Wyobraźmy sobie, że jest 5:4 i 0:40 dla rywalki przy serwisie Świątek. I wtedy, kompletnie mając za nic to, że najmniejszy błąd prowadzi do straty seta, a być może meczu, Świątek – nie hamując ręki przy serwisie – trafia w siatkę pierwszym podaniem, ma więc drugą szansę i... uderza piłkę wygrywającą. W następnym wygrywa długą wymianę, kończąc ją najtrudniejszym zagraniem, bekhendem wzdłuż linii. Po kolejnym swoim podaniu wyrównuje na 40:40 podcięciem, którego niezmiernie rzadko używa, ale nadarzyła się okazja, więc zaryzykowała bo lubi tą grę.

I zaraz wyrównuje na 5:5. Rywalka ciska rakietą.

Jak numer 903 stał się numerem 1



2001

- Początek nowej ery w tenisie, tylko jeszcze nikt o tym nie wie. 31 maja, urodziny Igi Świątek.

2006

- Pierwsze tenisowe treningi w warszawskich klubach Mera i Legia

2015

- Mistrzyni Europy młodzików w deblu z Mają Chwalińską

2016

- Iga przechodzi na zawodowstwo i wygrywa debiutancki turniej ITF w Sztokholmie, pula nagród 10 tys. dol. Pierwszy raz jest w rankingu, kończy rok na pozycji 903

2018

- Pierwszy singlowy triumf wielkoszlemowy, ale juniorski – Wimbledon

2019

- W Rolandzie Garrosie 18-latką przegrywa 6:1, 6:0 w 4. rundzie z Simoną Halep, ówczesną nr 3 na świecie. We wrześniu łapie pierwszą poważną kontuzję – stopy. Do zespołu dołącza psycholożka Daria Abramowicz, stojąca za konsekwentną przemianą Igi w dojrzałą, opanowaną tenisistkę

2020

- Pierwsze wielkie zwycięstwo – triumf w Rolandzie Garrosie bez straty seta. Turniej dziwny, bo w pandemii, rozegrany wyjątkowo jesienią, z ograniczoną widownią.

2021

- Dwa zwycięstwa, w Adelajdzie i Rzymie, ten ostatni turniej zakończony pełnym rozbiciem Karoliny Pliskovej 6:0, 6:0. Świątek była rozstawiona z nr 15.
- Na igrzyskach w Tokio kompletnie ją załamuje porażka z Paulą Badosą w 2. rundzie – wielki płacz, znak charakterystyczny tamtej Igi. Rozstaje się z trenerem Piotrem Sierżputowskim, pracującym z nią od początku. Prowadzenie przejmuje Tomasz Wiktorowski, były szkoleniowiec Agnieszki Radwańskiej.

2022

- Triumfy w Roland Garros i US Open. W Paryżu Iga wygrywa szósty turniej z rzędu, zarazem ostatni w serii 37 meczowych zwycięstw, najdłuższej w Turze (czyli w cyklu turniejów kobiecych najwyższej kategorii rozgrywkowych) od 1990 r.

2023

- Sześć zwycięstw turniejowych, w tym był trzeci triumf w Roland Garros w Paryżu i imponujące zwycięstwo w WTA Finals w Cancun

2024

- Zwycięstwa w Dausze, Indian Wells, Madrycie, Rzymie – który jest 21 wygranym turniejem w karierze 22-latką (23 lata skończy 31 maja). A to znaczy, że jest już lepsza od Radwańskiej, która wygrała 20 turniejów. 27 maja minie 105 tygodni na pozycji nr 1 na świecie.

FOT. REUTERS/GUGLIELMO MANGIAPANE



2013

Pierwsze starty

• Iga gra w Memoriale Marty Hudy w Częstochowie, ogólnopolskim turnieju dla 12-latek ku czci tenisistki, która zmarła właśnie w tym wieku

2016

Ojciec i córka

• Iga z ojcem, byłym wioślarzem, olimpijczykiem z Seulu w 1988 r. Tomaszem Świątkiem, który pchnął ją ku tenisowi

2022

W Stuttgarcie za kierownicą

• Iga w Porsche Taycan, nagrodzie za triumf w turnieju w Stuttgarcie. Od organizatorów dostała jeszcze jedno – kultowe 911. Prawo jazdy otrzymała kilka dni przed startem.

To nie jest przypadek. Świątek zmienia się, udoskonala na naszych oczach. Tylko, że i rywalki to robią. Trwa wyścig zbrojeń. Każda z nich szuka nowych skili, buffów, umiejek, każda ogląda mecze Świątek z trenerami i uczy się, jak zwiększyć swoje szanse w starciu z nią. To dotyczy zresztą nie tylko tych dwóch wielkich rywek, ale wszystkich, którym losowanie przydzieli miejsce na drodze Świątek.

Ale to nie tak, że – by sięgnąć do terminologii kolarskiej, wszak Tour de France za pasem – nosicielka żółtej koszulki zwinęła w ucieczkę, a grupka pościgowa ją dochodzi.

Świątek zimą udoskonaliła serwis. Teraz wyrzuca piłkę nisko, posyła ją w powietrze na krótko, żeby nie wpłynął na nią wiatr, a uderzenie było precyzyjniejsze. Statystyki skuteczności się poprawiły o kilka procent. Sabalenka trwa przy swoim. Piłkę wyrzuca wysoko, na trzecie piętro, jej składnie się do uderzenia przypomina składanie się drapacza chmur przy wyburzaniu wiązkami dynamitu. Popelnia przy tym mnóstwo podwójnych błędów serwisowych – 100 w tym roku (Świątek 63).

To permanentny proces udoskonalania. – Będzie inaczej – powtarza Sabalenka.

Jej słowa to fantastyczna wiadomość dla tenisa kobiecego, bo oznaczają, że nadciąga era seryjnej rywalizacji trzech zawodniczek, które znacznie odskoczyły reszcie. Trojka, trójka, Big Three: Iga Świątek, Aryna Sabalenka i Jelena Rybakina. Można by do tego zestawienia dodać Coco Gauff, gdyby nie to, że została totalnie zdominowana przez Świątek (10-1 dla Polki w bilansie meczów), i że wciąganie jej do grupki byłoby niezbyt stosowne, i przypominałoby upór brytyjskich mediów do zaliczania Andy'ego Muraya do Big Three w tenisie męskim.

Stan na dziś wygląda tak: Świątek – Sabalenka 8:3. Świątek – Rybakina 2:4, Sabalenka – Rybakina 6:3.

Wyrosłem na pisaniu o boksie. W boksie legendę tworzą serie pojedynków. Zaczynają się zazwyczaj od porażki faworyta, najczęściej mistrza. Nauczyłem się, że porażka w boksie musi zostać głęboko przysłonięta wielkim zwycięstwem, zalana betonem jak promieniujący reaktor w sarkofagu, bo inaczej jej toksyczna aura zatrue psychikę pięściarza, osłabi go i skończy mu karierę. Walki i rewanże, ich serie, są solą boks, pobudzającą go do ruchu, podbijającą zainteresowanie kibiców.

Muhammad Ali stoczył trzy pojedynki z Joe Frazierem i wszystkie zasługują na miano walki stulecia, na miano największej trylogii, sorry Henryku Sienkiewicz. Ich czasy określane są złotą erą boks. O trylogii Micky'ego Warda i Artura Gattiego zrobiono film, który zdobył Oscary. Dotąd pamiętam moje własne emocje, to znaczący drżące wargi i włosy stające dęba, gdy siedziałem przy ringu rewanżu Riddicka Bowe

Spójrzmy na stroje, w jakich grają. Aryna zawsze jaskrawo, żeby ją było widać z kosmosu. Iga praktycznie i estetycznie, resztę ma w nosie. Jelena – żeby nikt jej nie zobaczył, idzie w szarości, jak skromna myszka

z Andrzejem Gołotą, swoje nerwy, gdy oglądałem i relacjonowałem rewanże Mike'a Tysona z Evanderem Holyfieldem lub tego ostatniego z Riddickiem Bowe.

Wiem, trudno wyobrazić sobie sporty bardziej odległe niż boks i tenis, chyba nie trzeba tu wyjaśniać. Ale jest pewna wspólna cecha dla białego sportu i czarnego sportu.

Człowiek zostaje sam na sam z przeciwnikiem w ringu i na korcie, oraz, co prawdopodobnie znacznie ważniejsze, sam na sam ze sobą. Nie ma litości, nie ma ratunku, kawaleria nie przybędzie z odsieczą i nie można się wycofać. Mecz lub walka musi się skończyć gwizdkiem, wyliczeniem do 10, gongiem, ostatnią piłką.

W zwykłym życiu, gdy człowiek myśli, że dłużej nie da rady, może sobie powiedzieć: „dokończę jutro”, „odpuszczam, bo mądry głupiemu ustępuje”, „przenieś się do innego działu”, „prześiądę się do innego stolika”. W walce lub meczu trzeba dotrwać do końca z jedną myślą w głowie: „pokonać przeciwniczkę, pobić przeciwnika”. Rewanż dodaje obciążenia, a zwłaszcza rewanż po porażce w piekielnej walce. Zwycięstwo w następnym finale z tą samą osobą smakuje zupełnie inaczej. „Sukces zda się najslodszy tym – co ugięli kark/By pojąć – czym jest Nektar – trzeba spieczonych warg” pisała poetka*.

Wszystkie trzy – Świątek, Sabalenka, Rybakina – tego doświadczyły. Każda już doznała porażki z drugą, i każda już zrewanżowała się za porażkę. Każda uważa, że jest królową – każda triumfowała w Wielkim Szlemie, Rybakina na trawiastych kortach, Sabalenka na twardych, Świątek na ziemnych i twardym na dodatek. Są całkowicie różnymi osobowościami a także kompletnie innymi zawodniczkami na korcie.

Te trzy diwy tworzą na naszych oczach legendę kobiecego tenisa. Budują ją, a jak zbudują, to na wieki wieków amen. Jednym z postumentów, na którym stanie ich brązowy pomnik, będzie tegoroczny wielkoszlemowy turniej na kortach Rolanda Garrosa. Wszystkie trzy czują, że tam będą najmocniejsze i każda ma swoje argumenty.

Owszem, jest to królestwo Świątek, która zwyciężała w finale trzykrotnie. Ale spójrzmy na jej rywalki: Sabalenka jest już mistrzynią na kortach ziemnym, wygrała w Madrycie ze Świątek rok temu, grała w dwóch finałach w tym roku, trzykrotnie występowała w finale w Stuttgarcie.

W tym roku Rybakina wygrała w Niemczech piękne niebiesciutkie porsche i również w tym roku stoczyła epicką walkę z Sabalenką w półfinale w Madrycie. Do Rzymu nie przyjechała z powodu choroby, choroby stanowią ostatnio jej najpoważniejszy problem.

Na ogół ich mecze trwają pełne trzy sety, zwykle są piekielnie wyrównane i zażarte. Bądźmy szczerzy i na chwile zapomnijmy, że kibicujemy Świątek. Wtedy być może uświadomimy sobie, że triumfatorce turnieju w Madrycie mógłby wylotnąć rzut monety, tak małe były różnice między Polką i Białorusinką w finale. Różnica między finalistkami wynosiła milimetr, o jaki piłka mieściła się w polu po wielu uderzeniach po jednej lub drugiej stronie kortu – Polka obroniła trzy piłki meczowe, żeby wygrać mecz.

Owa trójka wyrosła na całkowicie różnych glebach. Na przykład Rybakina na kazachskich, bogatych, tłustych czarnoziemach.

Ten pan, który na turnieju w Madrycie siedział w boksie trenerskim obok chorwackiego szkoleniowca Rybakiny Stefano Vukova, tylko w telewizji wygląda skromnie.



W rzeczywistości nie jest skromny, wręcz przeciwnie, jest bajecznie bogaty, pewny siebie i wciąż niezmiernie wpływowy.

Nominalnie Bulat Utemuratow jest tylko szefem kazachskiej federacji tenisowej, ale jego waga jest znacznie większa (przy okazji, kiedyś trenował boks) niż związkowa funkcja, choć nieco zmalała po odsunięciu Nursultana Nazarbajewa od władzy (którą objął jako lokalny sekretarz partii u schyłku ZSRR i już nie wypuszczał z objęć, tylko zmieniając tytuł na prezydencki) pięć lat temu.

Przez dekady Utemuratow był – według szyfrogramów ambasady amerykańskiej opublikowanych przez Wikileaks – zaufanym „dyrektorem finansowym”, skarbnikiem i consigliere dyktatora Kazachstanu. Miał przy tym ręce pełne roboty. „The New Yorker” piórem słynnego reportera Seymoura Hersh’a napisał w 2001 r., że Nazarbajew zgromadził 85 mln dolarów na tajnym koncie w szwajcarskim banku, a opozycyjny magazyn kazachski „Respublika” w 2002 r., że zagarnął okrągły miliard i zakopał go w podobnym banku w Szwajcarii. Ale potem już reporterzy nic nie napisali więcej, bo znaleźli odciętą głowę psa pod drzwiami redakcji.

Lecz w tenisie Utemuratow położył w oczyżenie ogromne zasługi. Około 2007 r. wymyślił, żeby skończyć z wizerunkiem, że Kazachstan to mongolskie koniki, boks i podnoszenie ciężarów, i że do sprawy trzeba podejść aspiracyjnie. Zwłaszcza, że jego dzieci polubiły odbijać piłkę na kortach w Monte Carlo. Słońce zaświeciło dla tenisa w Astanie (dziś Nur-Sułtanie).

Utemuratow za własne 200 mln dolarów wybudował 40 ośrodków tenisowych w kraju. W każdym obwodzie, czyli obłasti, musiał być jeden. Z 1800 tenisistów w 2007 ich liczba napęczniała do 35 tysięcy

cy w 2022 – a mowa o 20-milionowym kraju. Utemuratow fundował stypendia, wysyłał juniorów do ciepłej Hiszpanii i Francji, bo zima w Kazachstanie jest przeraźliwie sroga.

Jednak jako biznesmen zdawał sobie sprawę, że rozwój organiczny musi potrwać. A sukcesy trzeba mieć już. Ściągnął więc młodych Rosjan, rozczarowanych tym, że ich własna federacja ich nie szanuje i nie finansuje. Najpierw Jarosław Szwedową, która dostała obywatelstwo i pieniądze w 2008 r. Szwedowa wciąż przyjeżdża na turnieje z udziałem Rybakiny, bo jest kapitaną narodowej drużyny w rozgrywkach pucharu Billie Jean King (co laikowi może niewiele mówi, ale jest grubą sprawą, odpowiednikiem męskiego Pucharu Davisa) i działaczką odpowiedzialną za rozwój tenisa w Kazachstanie.

Potem Aleksandra Bubluka, którego poznał w Monte Carlo. Kiedyś wynajmował tam kort na cały dzień, żeby dzieci mogły zagrać, ale szybko im się znudziło, więc zaproponował Bublikowi, który akurat płatał się po ośrodku, żeby skorzystał z wykupionego czasu. Teraz dzwoni do Bubluka z radami, jak ma grać.

Ale strzałem w dziesiątkę bez żadnych wątpliwości było dopiero ściągnięcie do Kazachstanu Rybakiny.

Jej ojciec Andriej – producent telewizyjny z moskiewskiej telewizji cyfrowej NTV-Plus – tułał się z nią po stołecznych Dynamach, Spartakach, po kortach w Sokolnikach. Mieszkali w dobrej stołecznej dzielnicy Sokol, czyli Sokół, gdzie sportu było bardzo dużo.

Andriej Rybakin próbował nawet wciśnąć córkę do słynnej tenisowej szkoły Patricki Mouratoglou pod Antibes. Pojechał tam z nią i Andriejem Czesnokowem, byłym świetnym tenisistą a potem jej trenerem. Na

FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCIA WYBORCZA.PL, WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS, ROBERT PRANGE / GETTY IMAGES, RYAN PIERSE / GETTY IMAGES



2022
Wielki sezon, dwa Wielkie Szlemy

• Sesja zdjęciowa po drugim triumfie Igi w turnieju na kortach Rolanda Garrosa w Paryżu. Finał z Coco Gauff trwał zaledwie 68 minut. Iga od dwóch miesięcy była – jako pierwsza Polka – liderką światowego rankingu, a za kolejne trzy miesiące wygra US Open

2021

Olimpijskie emocje w Tokio

• Łukasz Kubot i Iga Świątek odpadli w ćwierćfinale turnieju par mieszanych w igrzyskach w Tokio, wcześniej tenisistka przegrała w 2. rundzie turnieju singla. To były bardzo mocjonalne pożegnania, ze łzami i drżącym głosem



2022

Sława Ukrainie!

• Iga od początku inwazji Rosji grała z przypiętą do czapki wstążką w barwach narodowych Ukrainy i zawsze wspierała sąsiadów w ich walce. Na zdjęciu podpisuje autografy w turnieju charytatywnym „Iga Świątek i przyjaciele dla Ukrainy” w Krakowie. Dochód 2 mln zł



próżno. Nie mieli wystarczającego budżetu, a Francuz nie dostrzegł szansy. Andriej myślał o amerykańskich uniwersytetach – niezwykle popularnych wśród polskich młodych graczy z szerszej czołówki – ale wolał mieć córkę bliżej siebie. Wtedy na turniej w Sankt Petersburgu przyjechała Szwedowa i zaproponowała kontrakt z Kazachstanem.

Rybakina jest chyba ostatnią tenisistką, ściągniętą z Rosji przez Utemuratowa. Już w Rosji przestali szukać.

Rybakina szybko dostała obywatelstwo, a ponieważ w Kazachstanie nie ma możliwości posiadania dwóch paszportów, musiała się rzec rosyjskiego. Rodzice wciąż mieszkają w Moskwie, ona pomieszkiwała tam aż do 2022 r., na tyle, na ile może mieszkać w domu tenisistka ze światowej czołówki. Bo głównie śpi w hotelach w różnych zakątkach świata. Teraz częściej spotykają się rodzinnie w Nur-Sultanie, co nie przeszkadzało wieloletniemu szefowi rosyjskiej federacji tenisowej Szamilowi Tarpiszczewowi – temu samemu, który nie pomógł Rybakinom w pierwszej fazie kariery Jeleny – obwołać jej zwycięstwo na Wimbledonie w 2022 r jako „rosyjskie”.

Tak naprawdę, było ono w poprzek „rosyjskiego” zwycięstwa. W Wimbledonie wygrała zawodniczka, której talentu system rosyjski nie zaakceptował, podkupiona przez rywali, i której na dodatek pomógł fakt wykluczenia z tamtego turnieju rosyjskich i białoruskich zawodniczek, w tym Sabalenki.

Każda z nich ma coś innego do zagrania, co – przynajmniej na pierwszy rzut oka wiąże się z ich osobowościami. Wiem, może przesadzam z pseudoanalizami, ale spójrzmy choćby na stroje, w jakich grają. Aryna zawsze jaskrawo, żeby ją było widać z kosmo-

su. Iga praktycznie i estetycznie, resztę ma w nosie. Jelena – żeby nikt jej nie zobaczył, idzie w szarości, jak skromna myszka.

Tenis idzie w ślad za osobowościami. W ogólnych zarysach Sabalenka reprezentuje siłę, Świątek szybkość, Rybakina precyzję.

Sabalenki tenis można opisać onomatopejami: chlast, chlast, lup, lup, świst, wrzask. Ze Świątek jest trudniej, mniej dźwiękonaśladowczo, bo jej tenis jest bardziej złożony. Opisałyby go słowa takie jak pęd, zwrot, ruch, szwung. U Rybakiny w ogóle nie ma dźwięków. Jest cisza, zima, elegancja, precyzja, beznamietność. Można by też powiedzieć, że i siła przyłożona do piłki bez wysiłku, siła niewidoczna. Oraz oko, beznamietne. W tym sezonie uderzyła 229 asów w 35 meczach tego sezonu, Świątek 59 w 40. Jelena może na tym budować sukces.

Sabalenka to zwierzę sportowe, nie ma wątpliwości. Uwielbia rywalizację, wygrywanie, zwycięskie emocje, nieustępliwość. Gdy szła do finału w US Open w 2023 r., w półfinale z Madison Keys przegrała 0:6 pierwszego seta, w trzecim przegrywała 2:4. Oba ostatnie wygrała po tie-breakach. W półfinale w Madrycie broniła piłek meczowych, żeby na koniec pokonać Rybakinę.

Bardzo przypomina w sportowym rysie Świątek, i w tym aspekcie obie różnią się całkowicie od Rybakiny. Może dlatego, że obie do tenisa zostały przysposobione przez ojców, znakomitych sportowców, a Rybakina przez telewizyjnego producenta. Świątek wiadomo: jej tata Tomasz był wioślarzem, startował na igrzyskach. On ją pchnął ku tenisowi.

Siergiej Sabalenka był bramkarzem hokejowym, ale krótko, bo karierę przerwał wypadek samochodowy w 19. roku życia i potem grał tylko amatorsko. Zmarł

Tenis dla opornych i początkujących Czyli o co chodzi z tymi punktami, gemami i tak dalej

Punkty w tenisie

• Zawodniczki i zawodnicy zaczynają mecz od stanu 0:0. Pierwszy zdobyty punkt w meczu to 15:0 (najpierw podaje się punkty serwującego, potem odbierającego), kolejny 30:0, potem 40:0. Jeśli serwujący zdobędzie jeszcze jeden, wygrywa gema. Jeśli obie zawodniczki doprowadzą do 40:40 w gemie, jest równowaga i zaczyna się gra na przewagi. Gema wygrywa wtedy ten, kto wywalczy dwa punkty przewagi, jeden po drugim.

• Jeśli zawodniczka wygra sześć gemów jeden po drugim, wygrywa seta 6:0. Jeśli jednak gra jest wyrównana i dojdzie do stanu 5:5, seta wygrywa ta zawodniczka, która zdobędzie następne dwa gemy. Jeśli dojdzie jednak do stanu 6:6, rozgrywany jest tzw. tie-break. Tu liczy się punkty normalnie, czyli 1-0, 2-0, itd., aż do siedmiu.

• Która tenisistka zdobędzie jako pierwsza siedem punktów, wygrywa tie-breaka i seta (wyjątkiem jest tzw. super tie-break w turniejach wielkoszlemowych, wydułżony do 10 punktów). Jeśli w tie-breaku jest równowaga,

np. 6-6 (lub 9-9 w super tie-breaku), wtedy toczy się gra na tzw. przewagi. Trzeba zdobyć dwa punkty z rzędu, żeby wygrać tie-breaka i seta.

• Gra się do dwóch lub trzech wygranych setów w zależności od turnieju.

Dlaczego ta punktacja jest taka odklejona

• Nie wiadomo, dlaczego kolejne punkty liczy się 0-15-30-40. Są tylko teorie. W jeu de paume, starej francuskiej grze, poprzednim wcieleniu tenisa, od dawien dawna punktowano 0-15-30-45. Po bitwie pod Azincourt Karol Orleański w angielskim lochu napisał poemat, w którym Henryk V gra z następcą tronu francuskiego (nie wymienionym z imienia, ale byłby to Ludwik Walezjusz) i w ten sposób liczy im punkty.

• Aha, jak ćwiartki na zegarze – gdy spojrzymy tak na ten podział, ma sens. Ale minutnik na cyferblacie wymyślono dopiero w wieku XVI, więc odpada. No i już współczesnych gryzło, kto u licha to wymyślił. Około 1520 r. problem pojawia się w pamiętnikach Jana van den Bergha: „Dlaczego nie dać

punktu za jedno uderzenie celne a dwóch za dwa?”.

• Jedno wyjaśnienie: chodzi o zasady gry w jeu de paume, w których zawodnicy po wygraniu punktu przesuwali się o 15 stóp do przodu. Inne: punkty liczono na okrągłej tablicy podzielonej na ćwiartki.

• Zamiana 45 na 40 też ginie w pomroce dziejów (związek z tarczą od punktów w jeu de paume?). Na pewno wprowadzono 40 w pierwszym Wimbledonie w 1874 r.

• Mało tego, w angielskim, niejako urzędowym w tenisie, używa się zamiast „zero” słowa „love” i to od XVIII w. Sędzia mówi np. 15-love. Czemu „love” oznacza „nic” (też w kartach, brydżu). Może chodzi o jajo, po francusku l'oeuf? Po polsku też mówiło się kiedyś, że ktoś wygrał lub przegrał do jaja.

• Nawet słowo „tenis” ma niepewną etymologię. Prawdopodobnie weszło w Anglii w użycie w XIV w., od anglo-normańskiego zwrotu „Tenez” lub „Tenetz” (dziś czasownik „tenez” znaczy trzymać). Po polsku byłoby to „Odbieraj!”. „Tenez” wypowiadał serwujący przed zagranieniem piłki.

2023

Dziewczyna z deską

- W końcu grudnia tuż przed United Cup 2024, drużynowym turniejem mieszanym w Perth, Iga Świątek wzięła lekcje surfingu na desce na jednej z najlepszych plaż zachodniej Australii, Scarborough. Znaczący, jednej z najlepszych dla początkujących



2023

Cancun, sztuka adaptacji

- Makijażystki pracują nad gwiazdami tenisa przez finałem WTA w Cancun. To tam Iga Świątek zwyciężyła w ekstremalnych warunkach, dowodząc swojego adaptacyjnego talentu – turniej przerywały tropikalne burze, po nierównym, mokrym korcie hulał wiatr

2024

Świątek – Sabalenka, part II

- Między epickim finałem w Madrycie a ostatnim meczem turnieju kobiecego w Rzymie minęły dwa tygodnie. W obydwu wygrała Świątek, ale za drugim razem, na Foro Italico, było to zwycięstwo bezdyskusyjnie, w dominującym stylu



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL, BEATA ZAWRZEL/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES FOT. PAUL KANE/GETTY IMAGES, SARAH STIER/GETTY IMAGES, REUTERS/GUGLIELMO MANGIAPANE

w 2019 r. w wieku zaledwie 44 lat na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

Ojciec pchnął Arynę do tenisa, choć w pierwszym momencie nie było to tak przemyślane, jak w przypadku Tomasza Świątki. Jako mała dziewczynka pewnej niedzieli Aryna jechała z ojcem samochodem ulicami Mińska, po drodze mijali ośrodek tenisowy. Ojciec skręcił, oboje wysiedli, a chwilę potem dziewczynka ganiała po korcie. Bardzo jej się to spodobało.

Dopiero potem za Aryną stanęło ze swoimi pieniędzmi państwo Baćki, Aleksandra Łukaszenki, szukające uznania w sporcie, skoro gdzie indziej jego dyktator doznawał od świata domniemanych upokorzeń i nie wiedzieć czemu nie był szanowany. Tu pojawia się z kolei analogia do kariery Rybakiny. Mianowicie reżim Łukaszenki w swojej planowej gospodarce założył sukces w tenisie kobiecym, tak jak pomagier Nazarbajewa założył sukces tenisa kobiecego w Kazachstanie.

Nie było to bezsensowne. W Białorusi – ale nie tylko, bo również na przykład w Czechach – gdy chłopak chce rozwinąć sportową karierę i zarobić przy tym pieniądze, to tylko przez hokej, ewentualnie przez futbol. Dlatego wiele dziewczyn – odciętych od hokeja ze względu na płeć, kobiecy hokej jest dużo mniej popularny – spełnia się w tenisie, a chłopcy nie. Brak jest dobrych tenisistów z tych krajów.

Białoruś Łukaszenki rozbudowywała systematycznie Pałac Tenisa przy szerokiej jak pas startowy lotniska Chopina alei Poremożcewa w centrum Mińska – dziś to kilkanaście kortów o twardej nawierzchni i ziemnej, część pod dachem w wielkiej hali.

Tam właśnie Sabalenka uczyła się grać około 2005-2008 r. Jej pierwsza trenerka Jelena Wiarhiejenka, żona piłkarza (bramkarza) a później selekcjonera kadry Micha-

ła Wiarhiejenki, twierdziła, że zawsze się rozpychała, używała łokci, żeby być pierwsza nawet na rozgrzewce. Była większa od innych i silniejsza. Wiarhiejenka twierdzi, że 10-letnia Aryna wydała rodzicom rozkaz, by nie przychodzili na jej mecze, nawet w mistrzostwach Białorusi, a oni usłuchali.

Nie mieli wyjścia, bo na każde słowo miała swoich dziesięć. W końcu Wiarhiejenka zrezygnowała z trenowania rozbisurmanionej dziewczynki, bo dłużej już nie była w stanie z nią walczyć. Aryna miała wtedy 11 lat.

Dziś jest dojrzałą kobietą, świadomą swojej wartości i kobiecości. Próbuje tak jak jej idolka Maria Szarapowa zdobywać kibiców, wykorzystując urodę i fotogeniczność „w cywilu”. Na Instagramie ma 1,7 mln obserwujących, czyli więcej niż Świątek. Lubi, gdy jest o niej głośno. Jej związki osobiste z białoruskimi hokeistami są szeroko opisywane (choć ostatni jej partner białoruskim hokeistą nie jest).

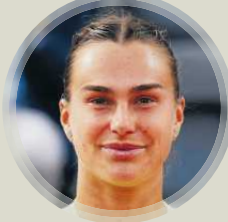
Po finale w Madrycie „zapomniała” pogratulować Świątek zwycięstwa. Po finale w Rzymie powiedziała, że tym razem nie zapomni. Jej wypowiedź miała chyba charakter żartu, dowcipnego nawiązania do własnych niepowodzeń, ale kto wie, czy w głębi nie leżał nieustępliwy charakter Sabalenki. – Tym razem nie zapomnę, zacznę od Igi. Gratuluję niesamowitych kilku tygodni. Mam nadzieję, że uda nam się dotrzeć do finału Rolanda Garrosa. I że tam cię dorwę. Żartuję.

Wszystkie trzy nakręcają się rywalizacją ze sobą i dziękują za zmuszanie do doskonalenia się, również Rybakina po zartym, trzysetowym półfinale w turnieju w Madrycie.

W końcu na tym polega sport. ●

- „Emily Dickinson, Wiersze wybrane” w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Iga, Aryna, Jelena – bilans od stycznia do maja

		
Iga Świątek	Aryna Sabalenka	Jelena Rybakina
Asy serwisowe	Asy serwisowe	Asy serwisowe
59	152	229
Podwójne błędy serwisowe	Podwójne błędy serwisowe	Podwójne błędy serwisowe
63	100	76
Obronione „break pointy” (proc.)	Obronione „break pointy” (proc.)	Obronione „break pointy” (proc.)
71,4	60,4	64,8
Wygrane gemy serwisowe (proc.)	Wygrane gemy serwisowe (proc.)	Wygrane gemy serwisowe (proc.)
83,6	78,5	80,9
Wygrane gemy returnujące (proc.)	Wygrane gemy returnujące (proc.)	Wygrane gemy returnujące (proc.)
46,8	36,5	35,5
Świątek ma emocje na wierzchu, blisko powierzchni. Znamy ten płacz, ręcznik na głowie, odwrócenie się od kortu, żeby złapać uwalniający tży oddech.	Sabalenka nie tylko krzyczy i ciska rakiętą, ale buduje w głowie konstrukcję psychologiczną, w której za niepowodzenia odpowiada ktoś inny, niż ona – jej zespół. Taki mechanizm obronny.	Rybakina jest po prostu wyczuta z emocji, od dziecka nie przejawiała żadnych nerwów, żadnych emocji – na korcie i poza nim.
© GAZETA WYBORCZA		

KTÓREGOŚ PIĘKNEGO RANKA ZACZĘŁAM KRZYCZEĆ

Henryka Krzywonos uważa, że odmówienie Danucie Wałęsie statusu opozycjonistki to blamaż i kompromitacja. Jedna strona dawnej opozycji próbuje wymazać drugą.



Piotr Głuchowski

Bożena Rybicka-Grzywaczewska, przedsiębiorniowa dysydentka, współzałożycielka Ruchu Młodej Polski i uczestniczka stocznego strajku w 1980 r., szykuje list protestacyjny przeciw odmowie nadania statusu opozycjonistki żonie Lecha Wałęsy.

Sama Danuta Wałęsa, której Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych odmówił tego statusu dwukrotnie (decyzja jest zatem prawomocna), nie chce o tym rozmawiać z prasą. Pytam więc jej syna, pośla Jarosława Wałęsę:

– Dlaczego mama postanowiła się o to ubiegać? Chyba nie dla przyszłego z tej okazji zasiłku wysokości najniższej emerytury i możliwości wejścia do lekarza poza kolejnością?

– Chodzi o zasady – odpowiada poseł. – Gdy ponad dziesięć lat temu ukazała się mamy książka „Marzenia i tajemnice”, setki żon dawnych opozycjonistów dzwoniły i pisały. Te panie mówiły matce, że stała się głosem milczących, czyli żon i partnerek, które latami wspierały walczących z komuną mężczyzn. A dzisiaj się ich nie dostrzega. Mamie chodziło o to dostrzeżenie. O przetrwanie szlaku, żeby inne kobiety też wystąpiły o swoje. By je zapamiętano. Bo w powszechnym odbiorze opozycja to sami mężczyźni: mój ojciec, Kuroń, Frasiński, Borusewicz, Lis, Michnik...

– Były jeszcze Anna Walentynowicz, Alina Pienkowska, Henryka Krzywonos... Czy odmowa mamę zaskoczyła?

– Odebraliśmy to w rodzinie jako decyzję polityczną podjętą przez wrogów taty. Szefem Urzędu do Spraw Kombatantów był przecież do niedawna Jan Kasprzyk, działacz PiS.

Kasprzyk, który sam z komuną nie walczył, bo w 1989 r. miał 14 lat, był potem radnym partii Jarosława Kaczyńskiego na warszawskiej Ochocie, tworzył także audycje historyczne dla Radia Maryja i pisał do „Naszego Dziennika” oraz „Gazety Polskiej”. Dla wszystkich tych mediów Lech Wałęsa to głównie agent „Bolek”, a dopiero potem historyczny przewodniczący Solidarności, noblista, prezydent RP itd.

Rozpatrując wniosek Danuty Wałęsy (złożony w styczniu 2018, nieskuteczne odwołanie rok później), Kasprzyk, wysłał go do zaopiniowania Pomorskiej Wojewódzkiej Radzie Konsultacyjnej do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej i Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych. Tę grupę powołał w 2017 r. Dariusz Drelich, wojewoda pomorski z PiS. Zasiadły w niej osoby wspierające Zjednoczoną Prawicę — byli działacze Solidarności Walczącej nieżyjącego już Kornela Morawieckiego, przedstawiciele środowisk katolickich oraz członkowie Stowarzyszenia „Godność”, które założyli byli opozycjoniści, a później kandydat PiS na posła, Czesław Nowak.

– W Gdańsku powszechnie wiadomo, że w tym stowarzyszeniu siedzą ludzie związani z „gwiazdzoziorem”, zapiekli wrogo wie ojca – mówi mi dalej Jarosław Wałęsa.

Określenie grupy pochodzi od nazwisk Andrzeja Gwiazdy i jego żony Joanny Dudy-Gwiazdy, współtwórców Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża i pierwszej Solidarności, którzy skonfliktowali się z Wałęsą jeszcze na początku lat 80. Ujmując najkrócej: byli radykalni, sprzeciwiali się negocjacjom z władzami PRL, a samego Lecha uważali za sterowanego przez SB. „Godność” zaopiniowała wniosek Danuty Wałęsy negatywnie, uznając, że była tylko „żoną przy mężu”. Czy rzeczywiście?

Żona swojego męża?

– W latach siedemdziesiątych Danutę faktycznie można nazwać „żoną swojego męża” i nikim więcej – mówi mi organizator stocznego strajku z 1980 r., a potem m.in. marszałek Senatu, Bogdan Borusewicz. – Po pierwsze Lech jej w konspirację nie wtajemniczał, po drugie miała na głowie gromadę małych dzieci. Później, w stanie wojennym, była już inną kobietą, aktywną. Gdy mąż poszedł siedzieć, jej prywatne mieszkanie stało się biurem podziemnej Solidarności. To fakt niebudzący wątpliwości.

Podobne zdanie wyraził niedawno – w rozmowie z „Wyborczą” – nowy szef Urzędu do Spraw Kombatantów Lech Parell, który w latach 80. był członkiem ruchu Wolność i Pokój oraz Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego:

– Pani Danuta Wałęsa bezwzględnie powinna była otrzymać status działaczki opozycji antykomunistycznej, ponieważ podej-

mowała samodzielne działania mogące narazić ją na represje.

Wymienione przez Parella „działania” to po pierwsze wożenie grypsów od internowanego męża do Episkopatu, władz podziemnia oraz zagranicznych dziennikarzy, z którymi Wałęsowa utrzymywała kontakt. Po drugie – organizacja chrzcin córki Wiktorii, której imię miało oznaczać przyszłe zwycięstwo nad komuną i tak było odbierane. Był rok 1982, chrzcil powszechnie wówczas szanowany kapelan Solidarności ks. Henryk Jankowski, w kościele stało puste krzesło dla uwięzionego Wałęsy. Uroczystość transmitowało Radio Wolna Europa, po mszy nielegalna manifestacja przeszła w obstarwie milicji i SB przed mieszkanie Wałęsów, gdzie Danuta przemawiała do zgromadzonych.

– Każde z tych działań mogło być przyczynkiem do wszczęcia postępowania karnego – tłumaczy „Wyborczej” Lech Parell. – Uważam, że w tej sytuacji odmowa nadania statusu opozycjonistki to skandal.

– Można się było się tego spodziewać po tej skrajnie pisowskiej Radzie Konsultacyjnej – mówi mi Bogdan Borusewicz. – Stowarzyszenie „Godność” to przecież najsilniejszy PiS. Tam jest pani, która blokowała marsz równości...

Były marszałek ma na myśli Annę Kołakowską, gdańską radną prawicy, która wraz z rodziną usiadła na trasie marszu w 2015 r. Później sąd uznał to za wykroczenie, ale odstąpił od kary.

– Pana zdaniem status opozycjonistki się Danucie Wałęsie należy?

Borusewicz: – Lechu był represjonowany i jego żona także wycierpiała. Podobnie, jak partnerki wielu działaczy podziemnia. Znam dwa przypadki, że żony odmawiały zaangażowania, nie chciały się mieszać. Ona nie odmówiła. Moim zdaniem całe jej życie przemawia za tym, aby ją zaliczyć w szeregi opozycji.

W sukni ślubnej starszej siostry

Danuta Gołoś urodziła się w lutym 1949 r. jako drugie z dziewięciorga dzieci Feliksy i Zbigniewa, którzy gospodarzyli na pięciu hektarach w przysiółku Kropy Kolonia leżącym na wschodnim Mazowszu.

Dom był drewniany, kryty słomą. Wodociągu nie było – domownicy nosili wodę ze studni. Nie było również prądu. Wieczorami rodzina siedziała w izbie przy lampie

naftowej, lub świecy. Toaleta – drewniana budka za stodołą.

„Marzyłam, by się stamtąd wyrwać” – wyzna później Danuta we wspomnianej już spowiedzi-rzecz „Marzenia i tajemnice”. Ponieważ mimo wstawiennictwa syna Jarosława nie zgodziła się na wywiad dla „Wyborczej”, jej dalsze wypowiedzi będę cytował z tej książki.

Gołosiowie nie głodowali, lecz na nowe ubrania dla dzieci nie starczało. Młodsze rodzeństwo nosiło więc ciuchy po starszym, w łózkach też spali razem – trzy głowy w jednym posłaniu.

Do szkoły podstawowej w Węgrowie, na której skończyła edukację, miała Danusia chodziła piechotą przeszło sześć kilometrów. Poza tym pracowała w polu – także u sąsiadów.

„Gdy ojciec nie miał zboża dla świń, pożyczal od jednego z gospodarzy. A następnie trzeba było iść, jak wtedy mówiono: na odrobek”.

Pod koniec lat 60. najstarsza z córek Gołosiów – Krystyna – wyjechała do Gdańska, do stryjenki, by pracować i uczyć się w szkole zawodowej przy Zakładach Mięsnych. Danusia najpierw ją odwiedziła, po czym przyjechała do Trójmiasta na stałe. Wiosną 1968 r. udało jej się zacząć w prywatnej kwiaciarni. Zarabiała „na czarno” 800 zł, czyli jedną czwartą przeciętnej płacy, z czego prawie połowę musiała oddawać ciotce za to, że u niej śpi. Mimo biedy, jak potem wspomni, „zakochała się w Gdańsku od pierwszego wejrzenia”.

„Uznałam, że to jest moje miejsce, że po winnam urodzić się tutaj”.

25-letni Lech Wałęsa przyszedł do kwiaciarni w połowie października 1968 r. Nie miał jeszcze wąsów. Chciał tylko rozmienić pieniądze. Nazajutrz zaszedł ponownie – już z powodu kwiaciarki. Przyniósł jej gumę do żucia.

„Powoli poznawaliśmy siebie nawzajem. Okazało się, że oboje przyjechalśmy do Gdańska szukać swego miejsca na ziemi”.

Do ślubu – 8 listopada 1969 r. – Danusia poszła w sukni starszej siostry. Małżonkowie zamieszkali w starej kamienicy przy ul. Malczewskiego – stocznia przydzieliła Lechowi jedną izbę z puli dla młodych małżeństw.

„Do naszego pokoju trzeba było przechodzić przez pokój sąsiadki. Toaleta na klatce schodowej. Myśliśmy się w miskach.

• W lutym 2023 r. Danuta Wałęsa odebrała tytuł Honorowej Obywatelki Gdańska. Rada Miasta przegłosowała wniosek 20 do 11 – przeciw byli radni PiS

Klonowica. Kuchnia i łazienka nadal na korytarzu. Dopiero rok później, po narodzinach drugiego syna – Sławka, Lech z Danutą „dostali” prawdziwe mieszkanie. Dwa pokoje z małą kuchnią i ciemną łazienką (w sumie 36 metrów kwadratowych) w nowo wybudowanym bloku na osiedlu Stogi.

„Mąż nigdy wprost nie powiedział:
»Związałem się z opozycją polityczną«. Zo-
rientowałam się sama po różnych zdarze-
niach. Pojawiły się ulotki. Drukowano je
u nas w domu. Kazali, to drukowałam. Ma-
chałam tym walkiem, chowaliśmy go po-
tem w lodówce. Do domu zaczęli zachod-
zić jacyś nieznani ludzie”.

Ci „nieznani” zyskali nazwiska, kiedy w początkach 1980 r. Danuta poszła na spotkanie Wolnych Związków Zawodowych Wyrbrzeża. Jeden z anonimów okazał się Bogdanem Borusewiczem, drugi Ludwikiem Prądyńskim – robotnikiem, który za pięć miesięcy zainicjuje strajk w Stoczni Gdańskiej. Młoda mama ze Stogów poznała wówczas także Annę Walentynowicz, Bożenę Rybicką, małżeństwo Modzelewskich.

Krótko po tym spotkaniu z Motławy wyłowiono zmasakrowane zwłoki młodego robotnika, członka Wolnych Związków i sąsiada Wałęsów na Stogach – Tadka Szczepaniego. Dzisiaj uznaje się za dowiedzione, że padł ofiarą SB. Jego pogrzeb miał się stać dużą manifestacją gdańskiej opozycji. Lech wybierał się na nią w towarzystwie kolegi zamordowanego — Sylwestra Niezdygo. Gdy wyszli z mieszkania Wałęsów, bezpieka zajechała przed blokiem w towarzystwie milicji w gaziku.

Danuta: „Zostali do tego gazika we-
pchnięci. Nie wiem, czemu wyszłam za ni-
mi. Na nogach miałam drewniaki. I gdy oni
ich wsadzali do gazika, zdjęłam drewniak
i zaczęłam nim walić w tego fiata. I krzy-
czałam, bo już wiedziałam, że to ubecy.
Tak wrzeszczałam...”

– Każda kobieta, której mąż działał w opozycji, przeżywała walkę razem z nim – mówi mi posłanka PO Henryka Krzywonos, słynna tramwajarka, która zatrzymała w sierpniu '80 gdańską komunikację miejską. – Żony działaczy przyjmowały ukrywających się ludzi, gotowały dla uczestników tajnych zebrań, przekazywały informacje. To kosztowało nerwy. Myślałam, że pani Danuta ma status opozycjonistki od dawna tak samo jak i ja. Jeśli jej odmówiono, to jest po prostu blamaż i kompromitacja. Jedna ze stron dawnej opozycji próbuje wymazać drugą. Bo mamy takiego byłego opozycjonistę w cudzysłowie, który w PRL siedział cicho, a potem skłócił naród...

- Ma pani na myśli prezesa PiS?
- Oczywiście. To wykluczanie ludzi o innych poglądach z grona bohaterów jest skutkiem jego polityki. On sprawił, że ci, którzy dawniej byli razem, dziś są przeciwko sobie.

Wszystko we mnie pękło

Po zawarciu porozumień sierpniowych Wałęsowie przenieśli się do dużego, ale wymagającego renowacji mieszkania na osiedlu Zaspa.

Danuta w książce: „W pomieszczeniach, w których zamieszkaliśmy z małymi dziećmi, ciągle trwał remont. [Zarazem] od błędogo świtu do późnego wieczora kłębiły się tłumy związków, doradców, polityków, dziennikarzy i ludzi nawiedzonych. Siadali do stołu i musiały ich obsługiwać. Totalny magiel zamiast normalnego domu. Nie byłam już w stanie wytrzymać psychicznie tego ciężaru. Któregoś pięknego ranka przy tych wszystkich ludziach zaczęłam krzyczeć, nawet wrzeszczeć. Mąż wstał i bez słowa wyszedł. Wraz z nim wyszli pozostali. Po miesiącu życia w kołchozie byliśmy już tylko my, [sześcioro] dzieci i ekipa remontowa. Interesanci szli do biura związku”.

Karnawał zakończył się 13 grudnia 1981 r. Lecha internowano, Danuta została sama z dziećmi i w kolejnej ciąży – Maria Wiktoria urodziła się jako wcześniak w styczniu 1982 r.

„W przeddzień chrzcin, w sobotę, przyszedł mój proboszcz z Zaspły z jakimś człowiekiem z wydziału wyznań. Ten człowiek zakomunikował, że mąż nie zostanie wypuszczony na chrzest. Do momentu wyjścia tego człowieka byłam bardzo zdenerwowana, ale się trzymałam.

Dopiero, gdy drzwi się za nimi zamknęły, wszystko we mnie pękło. Zalałamałam się. Dotarło do mnie w pełni, czym jest stan wojenny i zrozumiałam, że jestem zupełnie sama. Po raz pierwszy w stanie wojennym zaczęłam płakać”.

Internowany Wałęsa siedział m.in. w ośrodku w Arłamowie w gminie Ustrzyki Dolne. Żona odwiedzała go za wiedzą i zgodą SB. Podczas wizyty w październiku 1982 r. Lech przekazał jej gryps, który w ubikacji schowała pod kurtką córki — Madzi.

„ [Chyba] musieli mnie w tej toalecie podglądać. Pojechaliśmy na komendę. Protestowałam, powiedziałam że tam nie wejść. [Kapitan SB] Bobiński wykręcił mi ręce i siłą zaprowadził, w zasadzie pchał mnie do środka. Zrobił mi taką rewizję, że po powrocie do Gdańska byłam chora. Ta rewizja była horrorem nie tylko dla mnie,

ale i dla trzyipółletniego dziecka. Krzyczalam, wołałam o pomoc, a oni szukali wszędzie. Dzisiaj Magda mówi, że pamięta ten strach, kiedy mnie rozbierali a ona, przerażona, siedziała pod stołem. To było coś strasznego! Takie obnażenie człowieka, że słowami nie można tego opisać. Obnażenie fizyczne i psychiczne niewyobrażalne...”.

Gryps w kurtce Madzi ocalał. Rok później Lech Wałęsa dostał pokojowego Nobla, którego odebrała w jego imieniu Danuta. Mimo jej światowej sławy esbecja nie odpuściła.

„W połowie lat osiemdziesiątych zaczęłam siwieć. Podsluch w mieszkaniu, podsluch w telefonie, przed wejściem do klatki schodowej stał przez całą dobę samochód z tajnikami. W pobliżu naszego mieszkania, żeby nas obserwować, wynajęli inne...”.

Stempel na życiorysie

– Ja to wszystko doskonale pamiętam, bo wówczas bywałam u Danuty niemal codziennie i widziałam, że nie odrabia lekcji z dziećmi, tylko przyjmuje ludzi, telefonuje, załatwia sprawy podziemnego związku – mówi mi Bożena Rybicka-Grzywaczewska, współzałożycielka Ruchu Młodej Polski, w latach 1980-1984 sekretarka przewodniczącego Solidarności. – Konieczność tłumaczenia, dlaczego Danka powinna dostać status opozycjonistki, uważam za żenującą. Była osobą represjonowaną przez PRL-owski system i nieważne, czy w takim stopniu jak mąż, czy może mniejszym? Była rewidowana, upokarzana, żyła w potwornej opresji. I była immanentną częścią Solidarności, zawsze w centrum zdarzeń. Właśnie przygotowuję list protestacyjny w jej sprawie. Będę pod nim zbierała podpisy ludzi z KOR i dawnej Solidarności. Zaadresujemy do Lecha Parelli a być może także do pana premiera... Chcemy okazać oburzenie decyzją Urzędu w sprawie Danuty i wezwać do zmiany ustawy o IPN, bo to z niej wynika, komu się należy status opozycjonisty, a komu nie. Trzeba wyeliminować urzędnicze widzimisię, które przy obecnym kształcie przepisów pozwoliło odrzucić wnioski Wałęsowej. Reguły muszą być jasne, Urząd do Spraw Kombatantów nie może dalej działać jak sąd kapturowy. Przecież odmowa nadania statusu opozycjonisty to stempel na życiorysie.

List protestacyjny w sprawie odmowy przyznania Danucie Wałęsie statusu opozycjonistki jest gotowy. Trwa zbieranie pod nim podpisów. Apel o naprawienie błędu ma być wysłany do premiera Donalda Tuska. ●

Aby się wykąpać, chodziliśmy do łaźni miejskiej lub do cioci”.

Grudzień 1970 r., strajk, spalenie komitetu partii i masakra kilkudziesięciu robotników zastały małżeństwo Wałęsów, już z pierworodnym Bogdanem, w kolejnym lokum: poddaszu bez łazienki przy ul. Beethovena. I to stamtąd przyszedł prezydent został po raz pierwszy zgarnięty przez milicję.

„Nie mieliśmy wtedy żadnych oszczędności. Dziecko ma dwa miesiące, a męża na tydzień przed Bożym Narodzeniem zabierają w nieznane. Gdy go zabierali, zdjął obrączkę, zegarek i powiedział, że jak nie będę miała na życie, mam sprzedać. Trzy dni później przyszedł jakiś pan. Nie wiem skąd. Powiedział, że niebawem będzie zmiana rządu i jutro męża wypuszczą. Rzeczywiście, gdy nastal Edward Gierek, wypuścili”.

Pierwszy krzyk

Wiosną 1971 r. Wałęsowie z poddasza przenieśli się do hotelu stoczniowego przy ul.

REKLAMA

Kraj/34314768

CZY OBRAZ MATEJKI KRYJE PRZEPOWIEDNIĘ, KTÓRA MOŻE WPLÝNAĆ NA LOSY ŚWIATA?

**SENSACYJNA POWIEŚĆ OPARTA
NA PRAWDZIWYM
ŚLEDZTWIE HISTORYCZNYM**

Maciej Siembieda

444

CYKL
Z JAKUBEM KANIA

1 RP

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

 **Wydawnictwo
Agora**

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Adam Michnik poleca Potrzebny nowy cud nad Wisłą

RZĄD NIE RZĄDZI,
RZĄDZĄ ZOMBI

Polska potwierdziła przynależność do Zachodu trzy razy: w roku 1920, 1989 i 15 października 2023.

Leszek Hensel*

Byt polityka bywa kruchy. Jednego dnia może piastować najważniejsze stanowisko, a drugiego stać się zwykłym obywatelem. Tak było w USA, kiedy afera Watergate zmiotła ze sceny prezydenta Nixona.

Na początku 2024 r. taka historia wydarzyła się na Węgrzech, kiedy w wyniku społecznego oburzenia wywołanego aktem łaski wobec osoby skazanej za ukrywanie sprawcy pedofilii, doszło do zmiany prezydent Węgier, Katalin Novák. Prezydencka prerogatywa spotkała się z tak negatywnym odbiorem, że sam Orbán stwierdził, że Węgrzy powinni rozważyć wprowadzenie ograniczeń dla prezydenta w swobodzie korzystania z jego przywileju.

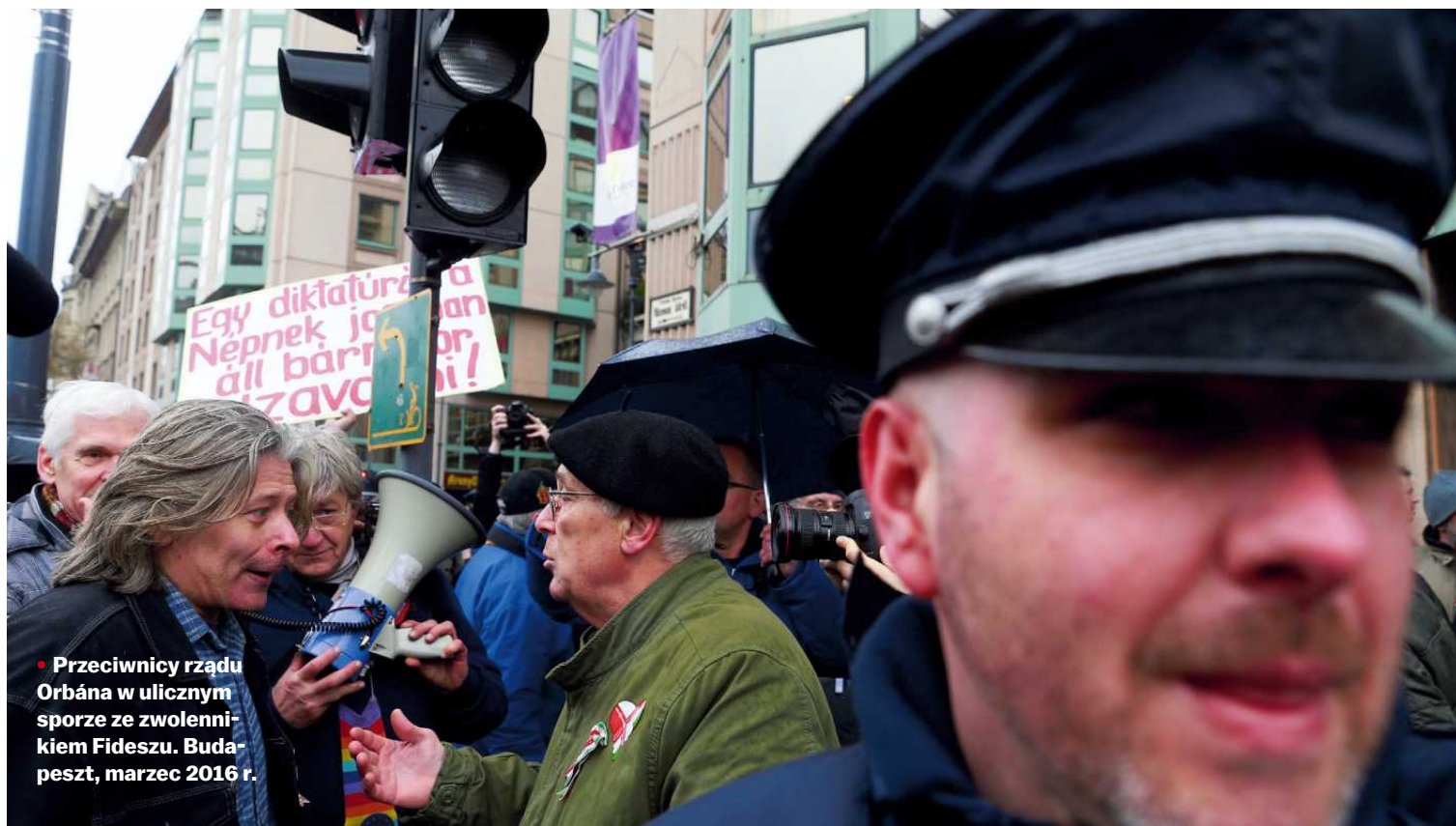
Ta sprawa przypomina o innym ważnym zniknięciu co prawda nie polityka, ale ważnego dla funkcjonowania państwa urzędnika z areny wewnętrznej Węgier.

Był rok 2000, połowa pierwszych rządów partii Fidesz i jej premiera Orbána. Oto z dnia na dzień z funkcją prokuratora generalnego rozstał się Kálmán Györgyi. Znakomity prawnik objął to stanowisko na fali zmian ustrojowych po 1989 r., a w 1996 r., przy 80-proc. poparciu parlamentu, został wybrany na kolejną kadencję.

Pracując w Budapeszcie miałem okazję poznać go. Widziałem, jakim cieszy się uznaniem nie tylko wśród węgierskich prawników, ale i na świecie. Był kompetentny, twardą ręką kierował prokuraturą, w kontaktach zaś był szalenie otwarty, potrafił cierpliwie tłumaczyć niuanse prawa węgierskiego i międzynarodowego nawet ludziom spoza branży, takim jak ja, który, z wykształcenia filolog węgierski, wgrzyzałem się w zawilosci problemów prawnych niezbędnych do pracy konsularnej.

I nagle na dwa lata przed końcem kadencji Györgyi rezygnował. Przed tą zaskakującą decyzją coś się jednak wydarzyło.

Z inicjatywy ówczesnego przewodniczącego parlamentu Jánosa



Ádera doszło do tajemniczej rozmowy obu panów. Do dziś nie wiadomo, czego dotyczyła. Jak spekulowały media, mogła być związana z próbą przejścia przez Fidesz kontroli nad mediami publicznymi. Sposób, w jaki chciał to zrobić Orbán, był krytykowany przez Györgyiego. W przestrzeni publicznej pojawiły się nawet ostrzeżenia prokuratora generalnego, że jeżeli dojdzie do takiego przejścia mediów, prokuratorzy nie pozostaną wobec polityków bezczynni.

Zdaniem wielu komentatorów rezygnacja Györgyiego otworzyła Orbánowi drogę do bezkarności i nie tylko pozwoliła na bezpieczne przetrwanie po przegraniu wyborów w 2002 r., ale także umożliwiła odzyskanie władzy. Stało się tak, bo nowym prokuratorem generalnym został wywodzący się z Fideszu Péter Polt.

Wybór nowego prokuratora generalnego był wtedy bodaj najbardziej spektakularnym w Europie Środkowej twórczym podejściem do zakotwiczonej w demokracji idei tworzenia instytucji opierają-

cych się na kadencyjności urzędników państwowych w celu zapewnienia ich niezależności od zmieniającej się w wyniku wyborów władzy. Zmiana prokuratora bowiem zapewniła kontrolowanie działań Prokuratury Generalnej przez partię Orbána mimo utracenia władzy.

Jak napisze węgierski dziennikarz, „w latach 1998–2002 ludzie Orbána bez skrupułów i na masową skalę wykorzystywali władzę do kradzieży dóbr publicznych. Chłopcy zachowywali się tak, jakby wiedzieli, że będą mieli na swoje działania tylko cztery lata”.

Już wtedy stworzono system, który mimo utraty instrumentów władzy pozwolił na funkcjonowanie szarej strefy wpływów Fideszu, co prowadziło do dalszego bogacenia się osób związanych z tą partią.

Proceder ten mogłyby przeciąć policja i prokuratura, ale tutaj już czuwał prokurator generalny, który blokował postępowanie, mimo że sprawy dotyczyły milionów euro. Lewica, która w 2002 r. wygrała wybory, była całkowicie bezsilna.

Sposób działania podległych mu urzędników został obnażony przez samego Polta, kiedy w obliczu krytyki polityków władzy wystąpił z obroną swojej instytucji w parlamencie, dowodząc, że podległe mu organy prowadzą wnikliwe śledztwa, ale wielokrotnie trudno jest dotrzeć do osób podejrzanych. Wtedy pewien poseł udowodnił, że jeden z oskarżonych, bezskutecznie poszukiwany przez prokuraturę, od lat

mieszka pod adresem znajdującym się w książce telefonicznej Budapesztu.

Ta debata jasno pokazała, że ludzie Fideszu znajdują się pod parasolem ochronnym Polta. Do tego dochodziła ochrona medialna, której zbudowaniu Orbán poświęcił dużo pracy jeszcze w czasach, kiedy był w opozycji.

W 2018 r. Orbán przedstawił koncepcję, że system, który buduje na Węgrzech, jest demokracją neoliberalną. Terminu tego użył już w 1997 r. amerykański politolog Fareed Zakaria. Orbán chyba jednak nie do końca utożsamia się z definicją Zakarii. Taka demokracja to połączenie norm demokratycznych z autorytarnymi. Rządy takie, zachowując wolne wybory, wprowadzają ograniczenia podstawowych praw politycznych i obywatelskich. W ujęciu Zakarii system demokracji neoliberalnej jest więc nacechowany negatywnie. Przykładem takiego państwa była dla niego Rosja Putina.

Na rosyjskie i tureckie wzorce wizji Węgier Orbána zwracali uwagę analitycy już na początku drugiej kadencji jego rządu. W 2015 r. analizę opublikowali Attila Juhász, Róbert László i Edit Zgut, wskazując, że dokonywane przez Fidesz zmiany wzorowane są na rozwiązaniach Putina i Erdoğan.

Już cztery lata wcześniej lider polskiej prawicowej koalicji, która w 2015 r. wygrała wybory, zapowiadał, że będzie dążył do stwo-

żenia nad Wisłą drugiego Budapesztu.

Termin demokracja neoliberalna, za pomocą którego Orbán opisuje swoją wizję Węgier, nie dotyka istotnej kwestii funkcjonowania takiego państwa. Stąd dla opisu sytuacji na Węgrzech oraz do 2023 r. w budującej ich mutantą Polsce chciałbym się odwołać do mitu zombi.

Mit ten, wprowadzony do kultury zachodniej na początku wieku XX, w światowej kulturze popularnej rozgościł się wygodnie na przełomie wieku XX i XXI. Sądzę, że dla zdefiniowania sytuacji można się posłużyć terminem „państwo-zombi” jako analogią do określenia „komputer-zombi”, opisującego urządzenie zaatakowane złośliwym oprogramowaniem, które osobie trzeciej pozwala przejąć kontrolę nad sprzętem bez przyzwolenia, a często i wiedzy właściciela.

Zombi działa w organizmie państwowym według poleceń osoby, która go do niego wprowadziła, ożywiła niczym haitański kapłan. Państwo-zombi wyrasta w wyniku ewolucji partii-zombi, wodzowskiej, w której dyskusja wewnętrzna zostaje zredukowana do ślepego wykonywania poleceń charyzmatycznego przywódcy.

Jak przypomina hiszpańska badaczka Sara Molpeceres, w takim kontekście termin zombi pojawił się w czasie kampanii prezydenckiej w USA przed wyborami w 2012 r., kiedy to konserwatywny aktywista Jason Mattera opu-

Po raz pierwszy mamy okazję się przekonać, czy państwo demokracji upadłej można naprawić w sposób pokojowy

NASZA EUROPA

Syryjczycy w Libanie

PILNE STAŁO SIĘ ZNALEZIENIE
OSTATECZNEGO
ROZWIĄZANIA

• Wtorek 14 maja, syryjscy uchodźcy opuszczają obóz w dolinie Bekaa i „dobrowolnie”, jak podaje komunikat libańskiego rządu, wracają „do domów” w Syrii

FOT. EPA/PAP/WAEL HAMZEH

Tu nikt nie ma wątpliwości, że „pomaganie na miejscu” to próba powstrzymania uchodźców przed ucieczką do Europy.

Milena Rachid Chehab

KORESPONDENCJA Z BEJRUTU

Jeśli służby nie mają sił i zasobów, żeby rozwiązać problem syryjskich uchodźców, to znak, że czas wziąć sprawy w swoje ręce. Mamy ochotników, którzy się tym zajmą. 20, 30, 50 w każdej gminie. Jeśli władze nie robią, co do nich należy, każdy obywatel ma prawo zrobić to za nie – stwierdził niedawno Samir Dżadża, jeden z liderów chrześcijańskiej prawicy w Libanie.

Brzmi to tym groźniej, że za tym politykiem stoi nie tylko coraz bardziej radykalizująca się i rosnąca w siłę skrajna prawica, ale też konkretne doświadczenie: Dżadża spędził w więzieniu 11 lat (skazany na dożywocie, wypuszczony za amnestią) za rolę w zabójstwach politycznych i masakrach na tle narodowościowym podczas wojny domowej w Libanie (1975-90).

Ale do „rozwiązania problemu syryjskiego” wzywają już także politycy będący u władzy. „Siły bezpieczeństwa muszą ści-

ślej egzekwować libańskie prawo dotyczące uchodźców. Obecność Syryjczyków jest dziś nie do zaakceptowania, Liban nie jest w stanie jej unieść. Oczywiście jest również, że wiele przestępstw jest popełnianych przez Syryjczyków” – to oficjalna wypowiedź ministra spraw wewnętrznych Bassama Mawlawiego.

Wygłosił ją 9 kwietnia, krótko po śmierci Pascala Sulejmana, działacza chrześcijańskiej partii Siły Libańskie. Polityk skrajnej prawicy został porwany i zamordowany, ciało znaleziono przy granicy z Syrią. Podejrzewano motyw polityczny – Sulejman krytykował szyicki Hezbollah – ale znaleziono winnych: syryjski gang złodziei samochodów. Szef libańskiego MSW oraz minister ds. przesiedleńców wezwali nawet do ukarania śmiercią czterech aresztowanych.

Ale to nie uspokoiło gniewu podgrzewającego coraz silniejsze w społeczeństwie nastroje antysyryjskie. Syryjczykom pamięta się nadal okupację Libanu aż do 2005 r. i działającą tu bezwzględną syryjską służbę bez-

pieczeństwa (to przez nią los ok. 20 tys. Libańczyków do dziś pozostaje nieznanym).

Obecna sytuacja ma jednak źródło w trwającej od 2011 r. wojnie domowej w Syrii. Próba obalenia reżimu Baszara Asada zmieniła się w krwawą jatkę z udziałem fundamentalistycznych grup terrorystycznych, m.in. Państwa Islamskiego. Liczbę ofiar szacuje się na około pół miliona (do 2021 r. ONZ oficjalnie zidentyfikowała ponad 350 tys. zabitych), z kraju uciekło około 5 milionów ludzi. Większość z nich do krajów sąsiednich, w tym do Libanu, gdzie ofi-

cialna liczba uchodźców z Syrii wynosi ponad 750 tys., ale szacunki mówią o liczbie dwukrotnie większej.

Liban przez lata lepiej lub gorzej radził sobie z falą przybyszów. W pierwszych latach wojny był na ustach całego świata ze względu na niezwykle gościnność, bo w tym kraju ok. 4,5 miliona ludzi gnieździ się na powierzchni równiej połowie polskiego województwa średniej wielkości. Syryjskim dzieciom umożliwiono naukę w libańskich szkołach (w wielu z nich utworzono w tym celu popołudniowe zmiany), syryjskim pacjentom – podstawową opiekę w tutejszych szpitalach, tym, którzy chcieli pracować – łatwy dostęp do tutejszego rynku pracy.

Szybko jednak okazało się, że nawet przy wsparciu zagranicy, ONZ i innych organizacji międzynarodowych, społeczność syryjska w Libanie to ciężar trudny do uniesienia, dlatego stopniowo pojawiły się ograniczenia, np. syryjscy pacjenci zaczęli dostawać rachunki ze szpitali, bo argumentowano, że uchodźcom łatwiej uzyskać pomoc od organizacji humanitarnych niż biednym Libańczykom.

Tutejsze ministerstwo pracy wyznaczyło z kolei trzy sektory, w których Syryjczycy mogą łatwo podjąć pracę (budownictwo, rolnictwo, utrzymanie czystości), w pozostałych wypadkach pracodawca musi m.in. udowodnić, że na dane miejsce nie znalazł się żaden Libańczyk, a i tak musi się liczyć

850

• oficjalna liczba uchodźców z Syrii w Libanie

NASZA EUROPA

z dodatkowymi obciążeniami. Jeśli chce za-
trudniać legalnie, oczywiście.

Syryjczykom w Libanie znacząco pogor-
szyło się wtedy, gdy pogorszyło się samym
Libańczykom. W 2019 r. zaczął się kry-
zys ekonomiczny, pogłębiany dodatkowo
przez potężny wybuch (jeden z najwięk-
szych niejądrowych w historii) składu sale-
try w porcie w Bejrucie. W efekcie w ciągu
dwóch lat PKB spadło o ponad jedną trze-
cią, ceny wszystkiego wzrosły kilkunasto-
krotnie, kraj znalazł się na skraju upadku,
a według danych Banku Światowego trzy
czwarte mieszkańców Libanu żyje poniżej
granicy ubóstwa.

W oczach opinii publicznej na szczycie
listy winnych tego stanu rzeczy jest niezwy-
kle skorumpowana, zabetonowana od lat
klasa polityczna. Ale zaraz za nią plasują się
teraz Syryjczycy: tych, co pracują, oskarża
się o zabieranie pracy Libańczykom, bezro-
botnych – że nic nie robią, żyjąc na garnusz-
ku ONZ i innych organizacji międzynarodo-
wych (system socjalny w Libanie właściwie
nie istnieje), wszystkich – że obciążają służ-
bę zdrowia i system edukacji.

Dynamikę relacji między syryjskimi
uchodźcami a Libańczykami dobrze odda-
ją wyniki corocznego raportu VASyR (The
Vulnerability Assessment of Syrian Refugees
in Lebanon) publikowanego przez ONZ.

Dziesięć lat temu na pytanie o rela-
cje z miejscowymi tylko co dziesiąty Sy-
ryjczyk przyznawał, że doświadczył ja-
kichkolwiek nieprzyjemności. Ale w cią-
gu roku pomiędzy 2019 a 2020 dwukrot-
nie zwiększyła się (z 3 do 6 proc.) liczba ro-
dzin syryjskich, które doświadczyły prze-
mocy ze strony lokalnej społeczności. Trzy
lata temu co dwudziesty badany był świad-
kiem przemocy fizycznej wobec syryjskie-
go uchodźcy, dwa lata temu już co dwuna-
sty. W 2016 r. napięcia dotyczyły głównie
konkurowania na rynku pracy, ale gdy wy-
buchł kryzys (2019), okazało się również, że
dużym problemem są „różnice kulturowe”
– jako przyczynę napięć w 2016 r. wskazy-
wało je ledwie 6 proc. badanych, a już czte-
ry lata później aż co piąty.

Dwa miesiące temu na billboardach
w całym kraju zaczęła się kampania „UNDO
THE DAMAGE” [Cofnijmy zniszczenia; przy-
czym wyróżnione w hasle litery UN sugeru-
ją odpowiedzialność ONZ-u za owe znisz-
czenia] z dopiskiem: „zanim będzie za póź-
no”. Autorzy kampanii, m.in. Libańska Izba
Handlu, Rolnictwa i Przemysłu oraz zrze-
szająca libańską diasporę organizacja poza-
rządowa World House of Lebanon, wzywa-
ją do „działań”, ale bez konkretów. Znacznie
natomiast – co zostało im wytknięte m.in.
przez media – przeszacowują liczby (podają
np., że Syryjczycy stanowią już 40 proc. po-
pulacji). Ponadto okazało się, że dziewczyn-
ka, której wizerunek wykorzystano w kam-
panii, mieszka w Turcji, a zdjęcia pochodzą
sprzed prawie dekady.

Do konkretnych działań zachęca za to
aplikacja, o której było głośno w Libanie kil-
ka miesięcy temu. Promowała ją kampa-
nia pod hasłem „Każdy obywatel jest straż-
nikiem” – dzięki niej każdy może łatwo do-
nieść na wszystkich, co do których ma po-
dejrzania, że robią coś wbrew przepisom.
– Nielegalne zajmowanie nieruchomości,
nielegalny wynajem, pracownicy bez odpo-
wiednich papierów – wyliczał zachwalający
aplikację Ghassan Hasbani, parlamentarzy-
sta związany z Siłami Libańskimi, zapew-
niając jednocześnie, że nie chodzi w niej
o wskazywanie Syryjczyków, tylko „każdego
łamiącego prawo”.

„Kwestię syryjską” coraz chętniej zresztą
wykorzystują – w różnym stopniu – politycy
wszystkich opcji, także dlatego, że to świet-
na okazja do odwrócenia uwagi od wła-
snej nieudolności.

Podczas pogrzebu Pascala Sulejmana
oliwy do ognia dolewał nawet patriarcha
maronitów (to uznający zwierzchność Wa-



• **badany wskazuje „różnice kulturowe” ja-
ko przyczynę napięć między Libańczykami
a przyjezdnymi i uciekinierami z Syrii**

tykanu katolicy obrządku wschodniego,
główne wyznanie chrześcijańskie w Liba-
nie), który ubolewał, że „sprawcami zbrod-
ni byli przesiedleńcy, których Liban powi-
tał z sercem”, a tymczasem niektórzy sy-
ryjscy uchodźcy „zachowują się nielud-
sko i stali się zagrożeniem dla Libańczyków
w ich własnym domu. Pilne więc stało się
znalezienie ostatecznego rozwiązania, aby
kontrolować ich obecność” – mówił kardy-
nał Beszara Rai.

Ursula von der Leyen przywiozła obietnicę pakietu finansowego w wysokości miliarda euro. Zwykłych Libańczyków to nie tylko nie ucieszyło, ale wręcz zezłościło

Ledwo wybrzmiały te słowa, na libańskie
ulice wylała się fala przemocy. Niszczono
samochody na syryjskich rejestracjach, wy-
bijano szyby w sklepach prowadzone przez
Syryjczyków, niektóre plądrowano, zaatako-
wano również siedzibę ośrodka Access Cen-
ter for Human Rights. Po bejruckiej dziel-
nicy Burż Hammud – zamieszkaney zresz-
tą przed potomków Ormian, którzy ucie-
kli przed ludobójstwem z Turcji – jeździli
na skuterach mężczyźni, którzy nawoływa-
li przez megafony: „Syryjczycy w Burż Ham-
mud, do piątku wyprowadźcie stąd siebie
i swoje sklepy. Nie mówcie, że nie zostali-
ście ostrzeżeni”.

W innej chrześcijańskiej dzielnicy, Aszrafi-
je, na początku kwietnia na domach poro-
zlepiano „oświadczenie wydane przez mies-
kańców”: „Wzywamy wszystkich Syryjczy-
ków w rejonie Aszrafije, Rmeil i Saifi, żeby
najpóźniej do piątku opuścili ten teren i już
nie wracali. To jedyna droga do uniknię-
cia chaosu. W obliczu bierności państwa,
władz lokalnych i służb bezpieczeństwa,
musimy chronić obywateli Libanu”.

Ulice Aszrafije opustoszały, a ubrani na
czarno mężczyźni na skuterach wyrwyko-
wo legitymowali przechodniów. Syryjczy-
kom zabierano lub niszczone telefony, a ich
samyh bito i kopano. Kurierzy i dostawcy
zakupów, wśród których jest dużo Syryjczy-
ków, byli napadani, a ich skutery, źródło za-
robku, niszczone. W mediach społeczno-
ściowych zaczęły krążyć nagrania z takich
zatrzymań. Wciąż nie ma dnia bez incyden-
tu – głośno było m.in. o zadżganiu Syryj-
czyka przed sklepem w bejruckiej dzielni-
cy Daura i o straży sąsiedzkiej, której mies-
kańcy Aszrafije mieliby płacić po 25 dola-
rów miesięcznie – ta inicjatywa wielu za
bardzo przypomina bojówki, które kontro-

lowały Bejrut w czasie wojny domowej, po-
za tym za pomysłem stoi za syn człowieka,
który przewodził jednej z nich.

Wszystko to sprawia, że uchodźcy żyją
w permanentnym strachu. Znajomi Syryj-
czycy, którzy do Libanu uciekli przed woj-
ną, opowiadają, że wciąż boją się wychodzić
z domu.

– Ostatnio po wieczornej zmianie mene-
dżer zaproponował, żebyśmy zostali na noc
w klubie, bo niedaleko kręciły się podejrzane
typy. Niektórzy skorzystali z tej opcji, ja
nie, bo od rana miałem pracę gdzie indziej.
Powtarzałem sobie, że trzeba jakoś żyć, że
na dłuższą metę tak się nie da. Ale bałem się
straszenie – opowiada Sz., który od kilku lat
pracuje w klubie komediowym w chrześci-
jańskiej dzielnicy Mar Mkhayel.

H. nie wrócił na noc do domu – i to, jak
mówi, być może uratowało mu życie. – Wie-
czorem żegnaliśmy przyjaciela, który wypro-
wadza się za granicę. Gdy nad ranem wróci-
łem do domu, wytrzeźwiałem natychmiast.
Zamek w drzwiach był wyłamany, a wszyst-
ko w środku splądrowane, choć nie zgine-
ło nic. Nikomu nie podpadłem, z nikim nie
mam konfliktu, z sąsiadami się lubimy. To
oni zresztą powiedzieli mi, że tego wieczo-
ru przyszło do mnie, na moje ostatnie piętro,
czterech ubranych na czarno facetów. Nic
nie mówili, o nikogo nie pytali, słychać było
tylko straszny hałas – opowiada H.

Strach padł też na najmłodszych, bo fa-
la przemocy sięgnęła do szkół publicznych.
Ksenofobiczne krzyki i zaczepki, np. w pod-
bejruckiej miejscowości Sad Al Bauszrije,
to obecnie codzienność wielu uczniów sy-
ryjskiego pochodzenia.

Za tę pogromową atmosferę odpowiedzial-
ne są w dużej mierze partie chrześcijańskie,
zwłaszcza nacjonalistyczne, skrajnie prawi-
cowe Siły Libańskie.

Ale za egzekwowanie gróźb liderów
wzięli się członkowie grupy Jnoud al-Rab
(Żołnierze Boga) i to oni w dużej części od-
powiadają za przemoc wobec Syryjczyków
na ulicach Bejrutu. Przypominają człon-
ków gangu lub sekty: brodaci, wytatuowa-
ni, dobrze zbudowani mężczyźni w czar-
nych koszulkach, często z logiem organi-
zacji (krzyż i anielskie skrzydła), jeżdżący
na skuterach lub samochodami z ciemny-
mi szybami.

Są coraz lepiej znani mieszkańcom
chrześcijańskich dzielnic Bejrutu. Nie
wiadomo, ilu ich jest – gazeta „L’Orient
Le Jour” pisze o „setkach, a nawet tysi-
cach” shabab [młodych mężczyzn], jak
sami się określają. Na swojej stronie de-
klarują, że są „jedynie nosicielami na-
uk Pana Jezusa”, a cel, jaki im przyświeca
to „uświadomienie ludziom prawdziwe-

Przez następne dni nocował w szko-
le arabskiego dla cudzoziemców, w której
jest nauczycielem. Do dziś nigdy nie chodzi
dwa razy tą samą trasą, śledzi wszystkie, na-
wet najdrobniejsze newsy i wypowiedzi po-
lityków.

– Ostatnio przybiła mnie wypowiedź pre-
miera, który zapowiedział, że jeśli jakiś Sy-
ryjczyk zostanie zatrzymany przez policję
z dowolnego powodu, automatycznie bę-
dzie deportowany. Dla mnie to byłby ko-
niec, bo deportacja oznacza areszt, tortu-
ry i prawdopodobnie śmierć – opowiada H.,
który w Damaszku był opozycyjnym akty-
wistą. – Teraz wystarczy byle news, np. że
za jakiś wypadek odpowiada Syryjczyk i już
w komentarzach w mediach społecznościo-
wych płynie ksenofobiczny ściek, wezwania
do wykopania Syryjczyków. To musi wy-
buchnąć, prędzej czy później.



• **MIEJSCE
zajmuje Liban w rankingu korupcji
Transparency International, uwzględniają-
cym 180 krajów**

go niebezpieczeństwa ze strony szatana”.
Okraszają każdą wypowiedź w mediach
społecznościowych cytatami z Biblii oraz
ozdabiają je wizerunkami Maryi i Jezusa.

Uważana czasem za rosnącą prze-
ciwagę dla zbrojnego skrzydła Hezbol-
lahu chrześcijańska bojówka powstała le-
dwie kilka lat temu i nie jest jednoznacz-
nie jasne, kto za nią stoi. Libańskie me-
dia wskazują na Antouna Sehnaoui, ban-
kiera, który miałby potrzebować ochro-
ny swoich interesów, gdy w 2019 r. wy-
buchł kryzys ekonomiczny, a Liban był
na skraju antyestablishmentowej rewol-
ucji. Sam Sehnaoui zaprzeczył tym do-
niesieniom, ale – jak wskazuje „L’Orient
Le Jour” – jest regularnie obecny na zdję-
ciach w mediach społecznościowych Żoł-
nierzy Boga. Siły Libańskie oficjalnie od-
cięły się od tej grupy, ale Żołnierze chę-
tnie wspierają na różne sposoby program
partii, zwłaszcza w mediach społeczno-
ściowych.

Organizacja do niedawna znana była
głównie z ataków na środowiska LGBT. Np.
za „tęczowe”, a więc niemoralne uznała ko-
lorowe rzeźby przypominające manekiny
poddane mastektomii, które artystka Mir-
na Maalouf dwa lata temu umieściła na bej-
ruckim placu Sassine w ramach akcji pro-
filaktyczno-charytatywnej z okazji Świato-
wego Dnia Walki z Rakiem Piersi.

Dochód ze sprzedaży rzeźb miał pójść
na mammografy, ale oburzeni Żołnierze
Boga zagrozili demolką, więc władze mia-
sta, choć wcześniej zaaprobowały pro-
jekt, nakazały usunięcie rzeźb „ze wzglę-
du na nagość”. Wcześniej za „satanistycz-
ną” uznali ułożoną z kwiatów tęczową fla-
gę promującą Miesiąc Dumy, więc też ją
zniszczyli, przestrzegając przy tym mies-
kańców Aszrafije, że osoby LGBT porywa-
ją dzieci.

Świat usłyszał o libańskich Żołnierzach Boga jesienią ubiegłego roku, gdy kilkudziesięciu z nich zaatakowało klub, w którym odbywał się występ drag queen. Ubrani na czarno Żołnierze wdarli się go klubu i zaczęli atakować ludzi, czym popadnie. Ale „dzieł szatana” w Libanie jest więcej – dla Żołnierzy Boga kraj jest sceną nieustannej walki dobra ze złem. Za boską karę uznają również pandemię, bankructwo kraju, przerwy w dostawie prądu. Natomiast „plagę” Syryjczyków dąłoby się według nich łatwo skończyć: najlepiej byłoby po prostu ich deportować.

„Deportacja” to słowo, które pojawia się coraz częściej. I coraz częściej jest faktycznie stosowana. Według marcowego raportu UNHCR, „wiadomo o 13 772 osobach deportowanych z Libanu lub poddanych pushbackom na granicy z Syryjską Republiką Arabską w ok. 300 incydentach w 2023 r.”, w tym o 600 osobach w ciągu jednego dnia, 8 listopada.

Wśród nich są osoby, dla których taka deportacja to jak wyrok śmierci. W niedawnym raporcie Human Rights Watch mowa jest m.in. o odesłanych do Syrii aktywistach politycznych działającej po stronie syryjskiej opozycji demokratycznej, o dezercerze z tamtejszej armii, który zniknął zatrzymany przez syryjską bezpiekę zaraz po przyjeździe do Damasku, oraz o więźniach, którzy na wieść o deportacji próbowali popełnić samobójstwo.

Niektórzy z nich, jak piszą autorzy raportu HRW – byli po zatrzymaniu przez libańskie służby torturowani, np. człowiek, którego zatrzymano podczas demonstracji poparcia dla kobiet w Gazie. „Inni syryjscy uchodźcy walczą o pozostanie w Libanie pomimo nakazów deportacji i coraz bardziej wrogiego środowiska, do którego przyczyniają się urzędnicy, robiący z uchodźców kozły ofiarne” – konkluduje raport.

W ubiegły piątek premier tymczasowego rządu, Nadżib Mikati, w telewizji LBCI zapowiedział dalsze przyspieszenie procesu deportacyjnego, w tym upoważnienie wszystkich służb mundurowych do wydalenia każdego, kogo złapią na tym, że przebywa w kraju nielegalnie. A od przyszłego roku – koniec drugiej zmiany w szkołach dla syryjskich dzieci. Libański rząd ma również zaangażować się we wskazanie „bezpiecznych stref” w Syrii, czyli miejsc, do których uchodźcy mogą „spokojnie wrócić”.

O tym, czy takie strefy w ogóle istnieją, mają rozmawiać uczestnicy konferencji w Brukseli pod koniec maja. Na razie – także pod naciskiem Cypru, który zawiesił rozpatrywanie wniosków azylowych Syryjczyków - szefowa Komisji Europejskiej w ubiegłym tygodniu po raz pierwszy przyjechała do Bejrutu. Ursula von der Leyen przywiozła obietnicę pakietu finansowego w wysokości miliarda euro. Ma on „wzmocnić podstawowe usługi, w tym opiekę zdrowotną i edukację”, co ma się udać, jeśli Liban będzie „kontynuował reformy”.

Zwykłych Libańczyków to nie tylko nie ucieszyło, ale wręcz zezłościło. Tu nikt nie ma wątpliwości, że owo „pomaganie uchodźcom na miejscu” to próba powstrzymania uchodźców przed ucieczką do Europy. Dodatkowo najprawdopodobniej chybiona, bo tu nikt nie ma wątpliwości, że pieniądze te pójdą nie na inicjatywy pomocowe, ale prosto do kieszeni polityków. Liban bowiem regularnie figuruje na listach najbardziej skorumpowanych państw świata (jest m.in. na 149. miejscu w liczącym 180 krajów Transparency Index przygotowywanym przez Transparency International).

Na jak długo pieniądze z UE uspokoją nastroje antysyryjskie w Libanie? Jeden z moich syryjskich rozmówców w Bejrucie nie ma wątpliwości: – Nie starczy tych euro, by poczuć się bezpiecznie. ●

Współpraca: Hussein Almaghout

Rosja w rękach policmajstra Dzierżymordy

Rosjanie odzwyczaili się od atrybutów „normalnego społeczeństwa”, połączonego więzami samorządowymi, ekonomicznymi, wyborczymi.

Jarosław Bratkiewicz*

Nad Rosją wisi katastrofa cywilizacyjna – twierdzi Andriej Zubow, historyk i politolog, absolwent Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (MGIMO) i przez kilkanaście lat wykładowca w tym instytucie. A obecnie emigrant, który osiadł w Czechach.

Prof. Zubow przyczynił wywołania Rosji z trasy modernizacyjnej po 1991 r. upatruje w ciągu zjawisk postsowieckich. Te zaś skumulowały się, po kilkunastu latach panowania Putina, w agresywnej polityce Kremla.

Narracja prof. Zubowa w jego wydanej przez uniwersytet w Brnie książce „The Russian Catastrophe and Chances to Overcome It” obejmuje ponad 600 lat istnienia Rosji. Widać w tym metodę analizy w stylu Braudela – bo ujmowanie dziejów w perspektywie „długiego trwania” wyjaśnia osobliwości socjopolityczne dzisiaj. I tłumaczy, dlaczego obecna Rosja wciąż nurza się w przeszłości.

Rosja poszła inną drogą rozwoju niż ta, którą podążały narody Zachodu. Zubow twierdzi, że był to świadomy wybór. Świadczy o tym przyjęcie wschodniego chrześcijaństwa, co w jakiejś mierze poddało Ruś i potem Rosję wpływom orientalizującego się Bizancjum.

Jednak jarzmo mongolsko-tatarskie, w następstwie podboju Czyngis-chana, nie było świadomym wyborem Rusi. Choć Moskwa – do tego czasu stanowiąca głuche peryferie ruskiej ekumeny – oparła się na protekcji chanów Złotej Ordy, aby rozciągać swą hegemonię nad innymi dzielnicami ruskimi. I w rezultacie wybiła się na wielkosiąść, a potem carski prymat nad północnowschodnią częścią Rusi, zwaną moskiewską.

Państwo moskiewskie podbudowało – wzorując się na praktykach bizantyjskich i zło-toordynskich – porządek państwowy i społeczny trzema zasadami.

Po pierwsze, rządy w Rosji były odtąd sprawowane w sposób autokratyczny. Co prawda Zubow twierdzi, że był to w owym czasie (od końca XV wieku) powszechny model systemu władzy, atoli samodzierżawie rosyjskie powinowało się raczej z orientalnym despotyzmem niż z europejskim absolutyzmem.

Po drugie, samodzierżcy obrocili w poddaństwo całą ludność, niezależnie od rangi i stanu, obarczając ją powinnością („tiagło”) służby i pracy zgola pańszczyźnianej na rzecz państwa. Z powyższych przyczyn, po trzecie, spowolnił się proces formowania prywatnej własności ziemi.

Wielkie reformy Aleksandra II, w drugiej połowie XIX wieku, pchnęły Rosję na tory rozwoju kapitalistycznego, a w pierwszych kilkunastu latach wieku XX weszła ona do czołówek światowej, jeśli chodzi o dynamikę rozwojową. Lecz „gwałtowny rozwój kraju, w połączeniu ze względną stagnacją instytucji politycznych, rodził dlań niebezpieczeństwo, skoro ludzie umyślowiali sobie, że Rosja należy nie tyle do nich, ile do cara i biurokracji”. Związane z tym frustracje zagospodarowały partię rewolucyjną, szczególnie pracy ku władzy bolszewicy na czele z Leninem.

Ich działalność wywrotową ułatwiła I wojna światowa, która obnażyła wiekowe zaniedbania. Napięcia społeczne kulminowały w 1917 r.

Biegiem rewolucji zrazu kierowali liberalowie i demokraci, ale z czasem coraz wprawniej sterowali nim bolszewicy. I rozbijali wszelkie instytucje demokracji deliberatywnej (jak zgromadzenie ustawodawcze), a w ich miejsce wpełnili sowiety, odwołujące się do reliktów na polu anarchicznej wiecowości. Rozniecali antagonizmy klasowe za pośrednictwem chwytliwych nihilistycznych hasel w rodzaju: „Precz z inteligencją!”, „Rabuj zrabowane!”. Zagubieni w chaosie wojny domowej, umierający od głodu, oszaleli od terroru, ludzie rosyjscy wypatrywali jakiegoś elementarnego porządku. I w ten porządek zakuli ich bolszewicy.

Zubow przytacza opinię polityka demokratycznego sprzed bolszewickiego przewrotu, Wasilija Maklakowa: „Po sześciu miesiącach demolowania struktur państwa bolszewicy w końcu odbudowali je wedle modelu autokratycznego, niewiele różniącego się od tradycyjnej monarchii”. Rządy Stalina potwierdziły, że to monarchizm – a właściwie despotyzm – wyistotniał się system sowiecki.

System ten zakonserwował nade wszystko to, co było zafanowane w staroreżimowej Rosji. „Komunistyczną Rosją rządziła mała grupa przywódców rewolucyjnych, którzy rozporządzali wszelkimi skonfiskowanymi dobrami i przydzielali je wedle własnej woli”. Na tym gruncie kierownictwo owo ugruntowało swoją władzę w ZSRR.

Zubow postrzega rządy przywódców sowieckich przez ponad 70 lat w kategoriach

siuchty przestępczej, bliskiej mafii chicagowskiej. Swego czasu Miłowanowi Dżilasowi posiedzenie politbiura stalinowskiego przypominało konszacht narodowolskich terrorystów, teraz spiskujących nie przeciw carowi, lecz własnemu narodowi.

Terror i pranie mózgu skutecznie mobilizowały ludność sowiecką, zwłaszcza za życia Stalina. Ale po jego śmierci, gdy tylko „natężenie represji wyraźnie spadło, wszystko zaczęło się degradować”. Sowietzi ani nie zdominowali Zachodu militarnie, ani nie sprostali zachodniemu wolnemu rynkowi w rywalizacji rozwojowej.

Rosyjskie masy, które spauperyzowała zapaść finansowa przełomu lat 80. i 90., domagały się odbudowy systemu, w którym „wszyscy byliby ubodzy, ale za to równi”

Sowietyzowani przez 70 lat Rosjanie odzwyczaili się od atrybutów „normalnego społeczeństwa”, zsielowanego więzami poziomymi: samorządowymi, ekonomicznymi, wyborczymi itp. Stali się ludzką masą, która wiruje wokół osi zależności pionowych od władzy autorytarnej. I Putin zgodnie z tą zasadą – „wertikalizacji” (pionowej władzy) wedle jego słów – konsolidował swoje panowanie.

Głównych ułomności obecnej Rosji Zubow upatruje w kilku węzłowych problemach. Nade wszystko w nieupowszechnieniu się w postsowieckiej Rosji własności prywatnej środków produkcji. Dokonywana tam od początku lat 90. „prywatyzacja” polegała na samowłaszczeniu się przez elitę partyjno-bezpieczniacką.

Ale i tak nie stworzyło to wielkich fortun prywatnych, zważywszy na fakt, że nadzór nad tego rodzaju własnością utrzymuje Kreml; przypadek uwięzienia Michaiła Chodorkowskiego unaoczniał, kto realnie włada postsowieckimi zasobami.

Natomiast masy ludowe, które spauperyzowała zapaść finansowa przełomu lat 80. i 90., wróciły do tradycyjnej sowieckiej roli: marnie wynagradzanego salariatatu. I ponownie domagającego się „odbudowy systemu, w którym wszyscy byliby ubodzy, ale za to równi”.

Przy niebywałym rozwarstwieniu majątkowym w Ro-

sji „zasady demokratyczne nie mogły się zakorzenić”. W efekcie rządy oligarchatu wyewoluowały za Putina w tradycyjne samodzierżawne, przystrojone liśćmi figowymi „suwerennej demokracji” i wyborów powszechnych – toczka w toczkę przypominających sowieckie.

Obecni oligarchowie – byli kagiebiści, działacze kompartii, komсомолcy – nie tworzą elity przebojowej i kreatywnej, wyzbyci są dostojności i podmiotowości możnowładców angielskich, którzy w 1215 r. wymusili na władcy „wielką kartę wolności”. Przypominają raczej bojarstwo padające na twarz przed carem.

Zubow uważa, że pogromić ich można tylko lustracją. Znamy to metoda. Tyle że w praktyce krajów postkomunistycznych często przeistaczała się w terapię stosowaną przez konowalów w armii austroęgierskiej, gdzie na wszystkie dolegliwości przepisywano lewatywę, lizanie chininy i zawijanie w mokre prześcieradła. Lustracja powiodła się w Niemczech po 1990 r. i może w Czechosłowacji. Blamażem zaś się stała lustracja na manierę pisowską.

Andriej Zubow cokolwiek uchodnia konterfekt Rosji przedrewolucyjnej. To prawda, zabrakło jej 20 lat pokoju (o co modlił się wielki jej modernizator, premier Piotr Stołypin, na kilka lat przed 1914 r.), żeby stać się europejską potęgą gospodarczą, opartą na wolnym rynku i rządach konstytucyjnych.

Ale przyznać trzeba, że autor naświetla przyczyny „rosyjskiej katastrofy” z pozycji okcydentalisty, „zapadnika”, który Rosję pojmuję jako kraj europejski. I pragnie, aby stała się znów częścią Europy w sensie kulturowo-politycznym. Bo przez minione sto lat mieliśmy wśród rządzących Rosją natłok słowianofilów z ludu, umysłem i obyczajem spokrewnionych z policmajstrą Dzierżymordą z Gogola. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jarosław Bratkiewicz**

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Absolwent MGIMO. Działał w podziemnej „Solidarności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, a w latach 2010-15 dyrektor polityczny ministerstwa.

PRZESTRZELONY BRZUCH ROBERTA FICY

Musiał śmierdieć tak samo, jak brzuchy żołnierzy w D-Day i angielskich rycerzy z tej książki

Ziemowit Szczerek

I o się zawsze tak zaczyna. Ktoś ma do czegoś wiekuiste prawa. Czy odwieczne. Albo i wiekuiste, i odwieczne, w każdym razie – niezbywalne i przyrodzone. Izrael do Palestyny. Palestyna do Izraela. Od Rzeki do Morza, jedni i drudzy. Rosja do Ukrainy na przykład. Całej albo tylko jej części. Rosja nie bardzo jest się w stanie zdecydować, co jest dziwne w sumie, bo zawsze myślałem, że najpierw warto zdecydować, o co nam chodzi, zanim zaczniemy wojnę.

No ale to się zawsze tak zaczyna, i tak się, na przykład, zaczyna książka „Psy z Essex” napisana przez Dana Jonesa. Dan Jones to historyk, więc „Psy z Essex” zaczynają się na początku wojny stuletniej. Czyli w XIV wieku. Ale wtedy też chodziło o to samo. O przyrodzone i niezbywalne prawa.

Akurat króla Anglii Edwarda III do tronu Francji, ale narracja była mniej więcej taka sama. Ma być moje/nasze i tylko moje/nasze, bo taki jest naturalny rzeczy porządek. I mniej więcej tyle samo znaczyło to dla ludzi, którzy stanęli tej narracji na drodze, ile znaczy dziś.

Czytam „Psy z Essex” i przeglądam newsy. Bo to beletrystyka, fikcja, ale nie jestem w stanie patrzeć na to wszystko wyłącznie jak na fikcję. Ludzie czekający w obłożonym mieście, aż po nich przyjdą i każą oddać się na swoją łaskę i niełaskę wszędzie muszą czuć to samo. Francuskie Barfleur zdobyte prawie 700 lat temu przez Anglików musiało bać się tak samo, jak bali się Ukraińcy w Buczy, gdy podchodzili pod nią Rosjanie.

Albo tak samo, jak boją się Palestyńczycy, gdy widzą, że nadciągają izraelskie „sily obronne”, które zrównują z ziemią Gazę.

Albo tak samo, jak bali się izraelscy kibucnicy, gdy przez okna własnych domów widzieli, jak terroryści z Hamasu wchodzi ich sąsiadom do domów, jak strzelają do nich z karabinów albo pędzą, skutych, bosych – bo wyciągniętych z ciepłych łóżek – w niewolę.

Albo jak boją się Tajwańczycy, gdy widzą, jak wielki i pseudokomunistyczny kraj ich sąsiadów i – do niedawna – rodaków, demonstracyjnie ćwiczy inwazję na ich relatywnie nową ojczyznę. Na którą zresztą też sami wcześniej wtargnęli, strasząc jej dawnych mieszkańców.

Albo jak boją się mieszkańcy krajów bałtyckich, modląc się do nieistniejących bogów o to, by w Rosji nikomu, jak to się mówi, „sytuacja nie wymknęła się spod kontroli”. I żeby Moskwa naprawdę nie zaatakowała NATO, bo nawet jeśli w końcu zapewne takie starcie by przegrała, to strach wielu z tych, którzy się bali, okazałby się zasadny.

Mieszkańcy Buczy trzęśli się, widząc sąsiadów z rękami związanymi z tyłu i zastrzelonych po upokarzającym przesłuchaniu. Gwałconych.

Mieszkańcy kibuców czuli to samo.

Mieszkańcy Gazy, widząc rodaków zabijanych jak „podludzie”, jak piszą niektórzy izraelscy politycy i jak uważają niektórzy izraelscy żołnierze.



• Początek rosyjskiej inwazji, mieszkańcy uciekają z podkijowskiego Irpienia. Most wysadziło ukraińskie wojsko FOT. JĘDRZEJ NOWICKI DLA GAZETY WYBORCZEJ

Mieszkańców Barfleur rozebrano prawie do naga, nałożono im na szyję powrozy i kazano czekać na decyzję króla: czy swoich francuskich poddanych (bo przecież ma prawa do francuskiego tronu) za zdradę powiesić, czy uwolnić. Ale nawet uwolnieni (łaska pańska) kończą jako zabawka dla żołdaków. Można ich pobić, połamać im kości. Gwałcić. Obrabować. Puścić do bytek z dymem.

To się dziś, gdy następuje inflacja strachu przed wojną – również w Polsce – przeciw ludzi się jej boją – wydaje niepoważne: czytać książkę o średniowiecznych rzeziach i porównywać ją z prawdziwymi tragediami. Ale jeszcze niedawno przecież właśnie po to pisano książki o wojnie, kręcono o niej filmy, pisano wiersze – żeby przerazić. I żeby już nigdy więcej tej wojny nie było. O wojnie, albo o nazistach, faszystach, komunistach czy innych totalitarystach. Prawdziwych i wyobrażonych. Pamiętacie czasy, gdy to jeszcze robiło wrażenie?

Dziś to już tylko estetyka.

Naiwnie myślałem lata temu, gdy oglądałem „Szeregowca Ryana” w kinie, że wystarczy go pokazać w salach kinowych Białego Domu, Kremla, pałaców Rijadu, Teheranu i nikt już nigdy żadnego człowieka nie wyśle na wojnę. Tak myślałem, 20-letni, w czasach późnego Fukuyamy i końca historii

Wszystko psu na budę.

„Psy z Essex” zaczynają się jak średniowieczna wersja „Szeregowca Ryana”. Inwazją na Normandię. Tamta działa się w zmechanizowanej, racjonalnej połowie wieku XX, a w – ponoć i na pozór tylko nieracjonalnej – połowie XIV. Ale dostajemy w zasadzie to samo: obrońcy siedzący na normandzkim brzegu ostrzeliwują łodzie najeźdźców. Wtedy z karabinów maszynowych, granatów i broni artyleryjskiej, teraz – w moim i Dana Jonesa teraz – z kamieni i kusz. Tu i tam mamy zmasakrowane ciała, wyjących w szoku, nieodwracalnie okaleczonych w ułamku sekundy ludzi, a później, gdy kolejnej fali uda się jakimś cudem dobić do brzegu i przebiec plażę – wyrzucanie tych z MG-42 i z kuszami w pień.

Gdy kręcono „Szeregowca Ryana”, to scena otwierająca film wydawała się skrajnie przerażająca. Realistyczna aż do bólu i do głębokiego szoku. Dziś, gdy naoglądaliśmy się już do syta jutubów z egzekucji dokonywanych przez talibów czy ISIS-owców, z zabijania ludzi w Gazie czy na Ukrainie, czyli prawdziwej śmierci, którą już nawet w newsach w telewizji przestaje się pikselować, to „Ryana” ogląda się jak kino familijne.

A przecież „Szeregowiec Ryan” był kręcony po to między innymi, by przerazić. Żeby każdy, kto zobaczy na własne oczy, jak wygląda wojna, już nigdy nie chciał jej wywoływać. Przynajmniej ja tak naiwnie myślałem wtedy, lata temu, gdy oglądałem to w kinie. Myślałem wtedy, jak dziecko głupi, a przecież już stary koń 20-letni, że wystarczy ten obraz pokazać, w salach kinowych Białego Domu, Kremla, pałaców Rijadu, Teheranu i gdzie tam jeszcze i nikt nie śmie już nigdy żadnego człowieka na wojnę wysłać. Tak myślałem, kretyń, w czasach późnego Fukuyamy i końca historii.

Dziś „Szeregowiec Ryan” wydaje się niewinny i naiwny. Jak ja wtedy. I jak teza o końcu historii. Tak samo będzie z „Psa-

mi z Essex”. Ale teraz, kiedy trzymam je w ręku, średniowiecze pachnie tak, jak sobie można zapachy średniowiecza wyobrazić. Czyli niemytymi ciałami, niepranym ubraniem, śmierdzącymi stopami, głównem ciągnącym zewsząd, gdzie tylko gromadzą się ludzie. Na przykład z pola bitwy. Albo i z szeregów, które zwierają wojownicy i rycerze przed bitwą, bo, jak pisze Dan Jones, ci co bardziej profesjonalni, oczekując na bitwę robią pod siebie. Sikają i srają, znaczy. Co właściwie za różnica. Za chwilę i tak będą brodzić w wyprutych bebeczach i głównie wrogów. Albo swoich.

Tym samym musiał śmierdieć przestrelony brzuch Roberta Ficy. Tak jest zawsze i nie ma co udawać, że jest inaczej. I nie ma co się bać jednego i drugiego porównywać. Bo nie tylko nie wyciągnięto wniosków z „Szeregowca Ryana”, nie tylko nie wyciągnie się ich z „Psów z Essex”, ale nie wyciągnie się ich również z zamachu na Ficę.

Robert Fico padł ofiarą kogoś na kształt polskiego KOD-era. Już teraz to doskonale widać. Ci sami, którzy wcześniej w najlepszych szczuli na siebie wzajemnie, dziś ogłaszają się obrońcami pokoju i tymi, którzy chcą, by „kolejnego Ficy już nie było” – po czym szczują jeszcze bardziej. I mocniej. Na przykład taki wiceszef partii Ficy, SMER, L’ubos Blaha, który jeszcze nie tak dawno podszczywiał tłum do krzyku, że prezydentka Czaputova jest „amerykańską kurwą” i w ten sposób przyczynił się do jej zaszczucia i wycofania z polityki – dziś wrzeszczy, że jest ofiarą. Prawie taką samą jak Fico. Który, nie ma co ukrywać, jest ofiarą kogoś, kogo można nazwać słowacką wersją KOD-era. Nie tak dawno nawróconego z prorosyjskości, ale jednak.

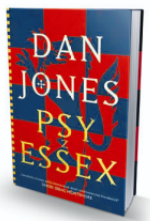
I tak to się kręci. Nie udawajmy, że tylko „oni” umieją doprowadzić do tragedii. My też, nawet jeśli wierzymy, że nasza sprawa jest słuszna. Śmierdzi głównem. Z „Psów z Essex” i z newsów. I będzie śmierdziało. Bo nikt już z niczego nie wyciąga wniosków. Bo to wszystko, co rzesze autorów pisały i tworzyły, by już nigdy nie było wojny – dziś jest wyłącznie formą. Mniej lub bardziej frapującą. Bardziej lub mniej przegiętą.

A potem zostanie już tylko groteska wojny. Jak ze „Szwejka”. Albo jak z tej niby powieści, a kroniki i bedekera po średniowieczu, gdzie bohaterowie uganiają się za trzema odciętymi głowami francuskich rycerzy jak za magicznym artefaktem. Żeby panowie wojny, arystokraci i wielcy tego świata, mogli odprawić nad nimi swoje obrzędy. Uświęcające ten zapach gówna i strachu.

A potem późniejsze pokolenia – jeśli jeszcze takie będą chodziły po ziemi – będą czytały o tej grotesce tak samo, jak my dziś czytamy, powiedzmy, „Rzeźnię numer 5”.

I obym złym był prorokiem. ●

„Psy z Essex” Dana Jonesa w przekładzie Jakuba Jedlińskiego, wydane nakładem Znaku, już w dobrych księgarniach i w formie cyfrowej na Znak.com.pl



Ziemowit Szczerek

Wyjeżdżamy od Stasiuka jego hiluxem*, wielkim i nieco poobijanym. Andrzej skręca w prawo. Jedziemy niby w stronę Słowacji, ale nie-specjalnie spiesznie. Zakolami i zakosami. Kręcąc się po okolicy. Bo pięknie jest. Wiosna, maj, sobota. Turystów od cholery. Kładę telefon z dyktafonem obok drążka zmiany biegów.

ANDRZEJ STASIUK: Myślisz, że będzie zbierał głos?

ZIEMOWIT SZCZEREK: A kto go tam wie. Andrzej, będziemy rozmawiali o starzeniu się.
– Myślałem, że o literaturze przyjechałeś gadać.

To się ze sobą wiąże. Napisałeś książkę o Bugu. Książka ma tytuł „Rzeka dzieciństwa”. Ale wydaje mi się, że ona jest bardziej o tym, że od tego dzieciństwa to ty masz coraz dalej. Bo regularnie powraca wątek starości.
– Tam jest o odkrywaniu źródeł rzeki dzieciństwa, Ziemek. I o czymś strasznie ciemnym, w czym ta rzeka, niby niewinna, była zanurzona. O tym to jest.

No tak, dosłownie i fizycznie pojechałeś tam, do źródeł Bugu. Ale już będąc starym.
– Że ja? Stary jestem?

Co ja ci poradzę, że cały czas powtarzasz w tej książce, że jesteś stary.
– Ale głównie po to, żeby trochę kokietować.

Andrzej...
– No okej, masz rację. Musiałem się odpowiednio zestarzeć i dojrzeć, żeby tam pojechać.

A co czułeś, jak jechałeś do tych źródeł, na Wołyń? Po drodze miałeś właściwie samą śmierć.
– Śmierć i śmierć. Złoczów, gdzie mordowano Żydów. Tam celowo pojechaliśmy z Moniką [chodzi o Monikę Sznajderman, pisarkę i wydawczynię, szefową wydawnictwa Czarne, żoną Stasiuka]. Ale już kawałek dalej, jak diabeł z pudełka: Huta Pieniacka. Tam, gdzie mordowano Polaków. Jak jesteś stary, to znaczy – dojrzały, to zaczynasz się rozglądać bardziej na boki.

Tak zresztą piszesz i dalej w książce, niżej w biegu rzeki: wokół znajomy krajobraz dzieciństwa, a obok tego wszystkiego -Treblinka.
– No właśnie. Potem jedziesz do źródeł, a tam Huta Pieniacka. Złoczów. Ciemność. Śmierć.

Jak to w starości. Ale zdarza ci się traktować tę starość z perwersyjnym zadowoleniem. Że już nic nie musisz.
– Ulga jakaś, że już po wszystkim. Życie w końcu jest wysiłkiem. A młodość to szarpanina.

A z drugiej strony Monika mówi, że teraz jest bardzo aktywna fizycznie i nigdy w lepszej formie nie była. Czyli w zasadzie można mieć w tym czasie ulgi drugą młodość. Jesień też może być piękna.
– Tylko ja nie jestem tak aktywny jak Monika. Ani fizycznie, ani społecznie. Mamy dwa różne temperamenty.

A gdy myślisz o śmierci, to myślisz o tym w kategoriach ulgi? Strachu? Fascynacji?
– Ale się uparłeś na tę śmierć i starość. Jasne, że w młodości miewałem taką fascynację. Dziś myślę o śmierci w kategoriach jakiejś ciekawości, ale też już trochę obawy, żeby ta śmierć nie była jakaś... No... długa i okrutna. Patrzę na nasze zwierzęta, które się starzeją, coraz mniej mogą, zamierają.

Napisałeś już przecież jedną książkę o śmierci: „Grochów”. Tam też jest



FOT. KRZYSZTOF CYNIK / AGENCIA WYBORCZA.PL

o śmierci bliskich. Ludzi, ale i zwierząt właśnie.
– A może ja się właśnie tymi cudzymi śmierciami zasłaniam przed nią, własną? Bo przecież ja też się trochę boję. To jeszcze nie jest taki dojmujący lęk...

...jesteś dopiero po sześćdziesiątce...
– Ale jeszcze piętnaście lat temu uważałem się za istotę nieśmiertelną. Śmierć w ogóle nie istniała, poza jakimiś fascynacjami poetyckimi, metaforycznymi. Gdzie ja, a gdzie śmierć! A teraz, no wiesz. Fizyczność o niej podpowiada. Już nie ma tej energii.

Ale nadrabiasz miną. Na przykład pisząc, że siedzisz nad Bugiem otoczony tym całym sprzętem kempingowym z Decathlonu, czujesz się w tym wszystkim trochę śmiesznie, ale masz to gdzieś, bo jesteś już stary i nie musisz niczego udawać. A jak chcesz, to wstajesz i idziesz do hotelu, bo już nie musisz udawać hardkorowca, już się naspaleś na ziemi. To mi się podoba. To jest fajne.
– Ale to jest gra oczywiście. Bo ja czasem piszę rzeczy ponure i szczere, ale lubię uciekać w groteskę. Albo w jakąś pikarejskość. A potem wyrównywać style.

Oj daj spokój, nie rób uników. Według mnie to dobrze brzmi, że nic sobie już nie trzeba udowadniać. Ani nikomu innemu.
– A ja akurat chciałbym sobie jeszcze udowodnić parę rzeczy.

Co na przykład?
– Do Rosji nie pojadę, nie chcę, wiadomo, wojna, ale bardzo bym chciał do Mongolii. I próbuję sobie na przykład udowodnić, że jednak znajdę jakąś furtkę, żeby się tam przedostać lądem, ale z pominięciem Rosji. No i chciałbym napisać jeszcze z jedną, dwie książki.
Ale nie, Ziemek, nie, „Rzeka dzieciństwa” to nie ma być podsumowanie życia. I kur-

wa, to nie jest książka o starzeniu się. Bawię się, oczywiście, tą starością...
...nie możesz się nią bawić bezkarnie, jak widać.
– Czemu nie? Mogę!

No a ja ci mogę dopytywać.
– A ja kombinuję, jak koń pod górę, żeby się wymigać od odpowiedzialności za własne słowa. Migam się jak każdy pisarz. A dziś, na przykład, jest tak piękny dzień, że mi się nawet nie chce o tej starości myśleć. W którymś momencie po prostu ona i tak przychodzi.

Jedziemy przez miejscowość Zdynia, w której odbywa się coroczna lemowska Watra.
– O, patrz, plakat, piszą, że wystawiają sztukę Nahacza**. O dwudziestej pierwszej dzisiaj, może się wybierzemy? Bo ja już kiedyś tu jechałem na Nahacza. Poprzednie podejście miałem z Bawółkiem***. Siedzieliśmy w Gorlicach i piliśmy. Potem wzięliśmy taryfę i kazaliśmy się tu wieźć. Zajeżdżamy pod teatr, przy szkole, a taksówkarz mówi do Bawółka: pan może iść, pan jeszcze jakoś wygląda. A do mnie: a pan nie, pan zostaje. Tam dzieci są!

I co zrobiliście?
– No i tą samą taksówką pojechaliśmy do mnie, do Wołowca.

No właśnie. Mieszkasz tu, na Łemkowszczyźnie, w Beskidach, w Wołowcu, ale cały czas wracasz na to wschodnie Mazowsze, przez które płynęła ta twoja rzeka dzieciństwa. Do tych łasków i piasków. Tak, notabene, Ukraińcy mówią o Polsce: pisky i lisky. I tak tam trochę jest. Przetarta trawa, spod której piach widać, te rachityczne sosnowe zagajniczki...
– Przepraszam, u mojego wujka i dziadka nad Bugiem się buraki uprawiało! Buraki i pszenicę. Akurat żeby przeżyć. A patrz

na tych turystów. Rowerami jeżdżą. Samochody niech se kupią! Tylko pamiętaj, że ja oczywiście nie serio.

Urodzileś się w Warszawie. Mieszkałeś na jej przedmieściach. A ten krajobraz dzieciństwa lokujesz nad Bugiem. To jaki ty w końcu jesteś: warszawski? Nadbużański? Miejski? Wiejski?
– Podmiejski. Podwarszawski. Ale fakt: ja-koś nigdy nie miałem ochoty napisać książki stricte o Warszawie.

Nie no, ona się przewija: „Biały kruk”, „Jak zostałem pisarzem”, „Dziewięć”, „Grochów”.
– Ale to nie Warszawa jest tam najważniejsza. Ten jej pejzaż mi się jakoś w głowę nie wdrukował. A ten nadbużański – tak. „Dziewięć” to było właściwie pożegnanie z Warszawą. Miastem, co by nie mówić, rodzinnym.

A potem bohater „Dziewiątki” staje się bohaterem „Taksim”. Mieszka w Beskidzie. I staje się południowy, beskidzki, środkowoeuropejski, a nie północno-wschodni, mazowiecki, wschodnioeuropejski.
– I jest starszy. Starzeje się. Otacza go starzenie. Wszystko wokół niego się rozpada.

Zdaje mi się, że ty masz tę obsesję rozpadu od samego początku. Jeszcze w „Jadąc do Babadag”, gdy przemierzałeś naszą i jeszcze bardziej wschodnią Europę, aż po Naddniestrze, po Mołdawię, pisałeś o „łagodnej anihilacji” rzeczywistości, o tym, że kończenie się wzywala, przynosi ulgę. Wiesz, ja się tej akceptacji rozpadu u ciebie nauczyłem. Chociaż pewnie podglebie miałem, bo mój ojciec fizyk zajmuje się zawodowo, naukowo, tribologią. Czyli właśnie tarciem i zużywaniem się.
– W ogóle to ja, jak jestem na ulicy, wołę pa-trzeć na luszczącą się ścianę naprzeciwko, a nie na szklany biurowiec. Jak ta ściana się

zużywa, niszczy od słońca, od deszczu, obra-
ca się w nicłość. Widzisz, ja jak sobie zbudo-
wałem pod domem jurte [Stasiuk ma u sie-
bie coś, co faktycznie przypomina jurte, tyl-
ko, że wschodnioeuropejską, a nie azjatycką,
bo z drewna, a nie wojloku] i ona już się roz-
kracza, już przecieka dach, a mnie to cieszy.

**Jak najbardziej rozumiem. Estetyka
zniszczenia to bardzo fajna estetyka.**
– Tak trzeba budować, żeby od razu było zu-
żyte. Żeby od razu wyglądało jak rozjebane.

**A tu patrz, nasza rodzima, wschodnia
część Europy cię zdradza. Taka, powiedz-
my, Albania: tam się stawia plastikowo-
-szklany szajs, ale właśnie taki, żeby już
na zawsze wyglądał jak nowy. Żeby się
błyszczał, a jak się postarzeje, to się go
wypoleruje i tyle. Żeby nie niszczał jak te
stare domy.**
– Rzeczywiście ja się czulem zdradzony, jak
byłem tam półtora roku temu. I już nie wró-
cę. Bo mnie ta ich nachalna nowo odkryta
młodość wkurwia. To wszystko jest zapro-
jektowane tak, żeby było wiecznie młode.

Botoks.
– A rozpad jest ciekawszy.

**Oraz koniec. Zdajesz sobie sprawę, ile
razy w książkach użyłeś frazy, że „dotar-
łeś do miejsca, z którego można tylko
wracać”? W każdej praktycznie.**
– Serio?

Ale to jest fajne. Jak refren.
– Wiesz, moim marzeniem, którego nigdy
nie spełnił, jest, prawdziwy koniec świa-
ta. Tierra del Fuego. Ziemia Ognista. Żeby
tam dojechać.

**Ale po co, jeżeli taką samą Tierra del
Fuego masz, nie wiem, w Delcie Dunaju.**
– No nie, za Dunajem nadal coś jest. A Zie-
mia Ognista to już jest naprawdę koniec.

**Może to jest pomysł na tę drugą część
życia. Jeździć po końcach świata. Ja bym
sobie jeszcze raz w tę Deltę Dunaju poje-
chał.**
– Ale tak jak Albania, to już nie będzie ta sa-
ma Delta. Jest już tak skomercjalizowana,
turystyczna... No i na pewno już drogo tam
się zrobiło.

**Ale czemu właściwie zawsze chciałeś
dojechać w miejsce, z którego się już nie
da dalej jechać?**
– Bo ja strasznie lubię jeździć.

**No to tym bardziej powinienes nie
chcieć, żeby takie miejsce istniało. Żeby
móc jechać dalej.**
– Albo żeby wracać. Czekaj, bo ja jadę
z otwartą klapką od wlewu.
Wysiada, zamyka.

**Ja też tak mam. O wszystkim zapomi-
nam. No ale wiesz, starość.**
– Nie, ja tak mam od zawsze. Po prostu my-
śłami jestem cały czas gdzieś indziej. Co ty
z tą starością... Pierdol się!

No co? Ja też się starzeję.
– Wiesz, ja miałem kiedyś wrażenie, że się
już urodziłem stary. Fajnie tak flirtować ze
starością. Aż zaczynasz zdawać sobie spra-
wę, że naprawdę się starzejesz, ciało zaczy-
na ci o tym przypominać, i już przestaje ci
się ta kokieteryjna zabawa podobać.

**I wtedy właśnie myśl o śmierci zaczyna
przynosić ulgę?**

**Polską co chwilę coś
wstrząsa. Mniej więcej
co godzinę. Wstaje jeden
z drugą, kompa odpala i już
wstrząśnięci**

– Dobrze jest się do tej myśli o śmierci przy-
zwyczajać, a nie napieprzać mentalny bo-
toks.

– No patrz na tych turystów. Samochó-
dami tędy jeżdżą! Niech ich jeszcze więcej
się zjedzie.

**Warto zauważyć, że siedzimy w najwięk-
szym samochodzie ze wszystkich tutaj.**
– No oczywiście. Ja tego przecież wszystkie-
go nie mówię serio.

**Ty zgrywasz takiego cynika, ale na przy-
kład jeździsz na Ukrainę, na wojnę pra-
wie. Pomagać, wozić rzeczy. Z poczucia,
że trzeba? Z ciekawości?**
– Jedno i drugie. I jeszcze z tego, że zawsze
lubilem Ukrainę.

– O proszę, aż z Opola tu turyści przy-
jechali. Patrz na rejestracje. O, Kraków.
A Ukraina – no już dawno zaczęliśmy tam
jeździć. Potem poznaliśmy Andruchow-
czy****. Zaprzyjaźniliśmy się. Zaczęliśmy
wydawać jego książki.

**No właśnie. Jak starość, to warto podsu-
mować dorobek. Od tej Ukrainy się zaczął
środkowoeuropejski zwrot waszego
wydawnictwa, Czarnego. Ważny zwrot,
bo za wami poszły oficyny z innych kra-
jów naszego regionu i nie wiedzieć kiedy
się z tego zrobiła platforma, na której się
stykali środkowoeuropejscy twórcy i czy-
telnicy. Że tak powiem, wytworzyliście
bardzo ważną formę wymiany intelektu-
alnej.**
– Ja wiem? Nas to po prostu ciekawiło. Jeź-
dziiliśmy przyjaźnić się, patrzeć, jak żyło
i wszystko się stało jakoś przypadkiem.

**Nie przesadzaj z tą skromnością. Wyje-
chałeś do Wołowca, potem zamieszkałeś
tam z Moniką, żyliście jak partyzanci,
a skończyło się na tym, że jesteście na
zdjęciu w „Forbesie”. Wszystko przypad-
kiem?**
– To Monika. I jej praca. Patrz na tego, jak
zapierdala! Szybkiej, kurwa! No ale co, że
„Forbes”?

**Dla klasy, powiedzmy, średniej i średniej
wyższej to wyznacznik statusu. Wiesz,
lista „Forbesa” i tego typu skojarzenia.
Robi wrażenie.**
– No, na nich to dopiero zrobiło wrażenie,
jak przyjechała od nich do nas ekipa nakrę-
cić film na galę, a my pokazaliśmy im chału-
pę w Czarnym, w której wszystko się zaczy-
nało. Na zadupiu, bez porządnej drogi, bez
niczego. Początki wydawnictwa bez telefo-
nu, bez grosza przy duszy.
– O, patrz na ten budynek. Odremontowa-
ny w ostatnich paru latach. Podoba ci się?

No nawet.
– Daj spokój. Tu są teraz konferencje, kelne-
rzy z tacami chodzą, szampan. Ponoć na-
wet kształtem to nawiązuje do tradycji lo-
kalnej. Ale ja, panie Ziemek, pamiętam,
jak tu mieszkalem w hotelu robotniczym,
gdzie dzicy ludzie pracowali i żyli. Baza lu-
dzi umarłych. Pilarze. Prąd stąd mieli, że był
silnik, bodajże do czołgu T-34, podłączony
do prądnicy...

**Takie narzekania na modernizację też
jest starcze.**
... wieczorem chłopaki telewizor próbowa-
li oglądać, jakieś anteny klecili. Ja też praco-
wałem w tym lesie, ale jak brali wypłatę, to
wypierdalałem. Bo cudowni chłopcy, ale jak
pili, to się zamieniali w bestie.
– Patrz, turysta, ale na słowackich bla-
chach. Może Koszyce?

Albo Kieżmark. No i co ci przeszkadza?
– Nie mnie, zwierzętom! Tu zwierzę-
ta mieszkają.

**Chciałbym zauważyć, że nie wyłączy-
łeś silnika, mimo, że stoimy pod tym
ośrodkiem wypoczynkowym już jakiś
czas. Trzy litry pojemności ma to auto.
A pali pewnie...**
– ...ze dwa litry więcej od twojego.

Zauważyłem, że przestałeś jeść mięso.
– Czasem zjem, ale faktycznie mało. Ale co
to ma wspólnego ze starością?

**Bo ja w tobie widzę bardzo mocną em-
patię, a ona jakby z wiekiem ci przyszła.
Pamiętasz, co pisałeś w słynnym tekście,
który wstrząsnął Polską? Że się znęcałeś
nad zwierzętami, jak byłeś mały.**
– Polską co chwilę coś wstrząsa. Mniej wię-
cej co godzinę. Wstaje jeden z drugą, kompa
odpala i już wstrząśnięci.
– „Tygodnik Powszechny” poszedł za no-
woczesną kulturą leadu i te zwierzęta aku-
rat mu przyszły do głowy. Nie wziął pod
uwagę, że ludność czyta tylko leady i do-
świadcza wstrząsu.

I się społeczeństwo dało sprowokować.
– No niestety, dzieciństwo to również opo-
wieść o cierpieniu zwierząt. Po prostu
chłopcy robili eksperymenty ze śmiercią.

**A co ty robiłeś w tamtych czasach? Dmu-
chałeś żaby?**
– Mniej więcej. Ale chciałbym trochę tajem-
nic zachować dla siebie.

**A nie masz ochoty tam wrócić na sta-
rość? Na to wschodnie Mazowsze? Nie
fantazujesz tak czasem?**
– Głównie literacko. Czasem tam jeżdżę, bo
stary dom dziadka się rozpada, trzeba coś
z nim zrobić, ale wiesz... raczej nie.

**To Mazowsze, a za nim Podlasie, to wła-
ściwie też miejsca, z których można tylko
wracać. Bo zaraz granica, a za nią – Białó-
ruś. Dziś zamknięta prawie całkiem.**
– Wschód tam był zawsze. Prawosławie,
unia... ja miałem w rodzinie jakieś ciotki
unitki. Taka rzeczywistość równoległa.

**Ja to zawsze tego kierunku północno-
-wschodniego najbardziej nie lubilem.**
**Nie, że wschodu tu w Beskidach też on
jest, prawosławie, cyrylica. Ale za tym
Wschodem jest Ukraina, a ona jest miła,
fajna. A tam, na tym północnym wscho-
dzie, przerażająca Moskwa. Jak już poje-
chałem do tej Moskwy, to się okazało, że
ogólnie fajne miasto. Ale kierunek zim-
ny, złowrogi. Jednak w Europie się czuję
najlepiej. Taki zimny, złowrogi kierunek.**
– Moskwa? A idź w..., byłem raz i myślałem,
że zwariuję. Rozumiem cię, ja też raczej
w tamte strony dalej nie jadę. Na Bugu za-
trzymywałem się w tamtych stronach. Raz
byłem na Białorusi. Pustka, las... O proszę,
a tu były PGR, Wyszowatka. Już jesteśmy
w Podkarpackim. Tu było więzienie. Tam-
ten barak, gdzie mieszkali zresztą moi kole-
dzy, normalnie cele tam były. Druć kolcza-
sty. Wieża tam stała, taka niewielka... Dalej
mieszkali klawiszze.

– Czekaj, bo tam mój kolega idzie.
*Stasiuk zatrzymuje auto. Wołają do siebie
dobrodusznie: „Co, kurwa?! Co kurwa!?”.*
KOLEGA STASIUKA: A, kurwa, ledwo
ciągnę giry za sobą, kurwa. A, byłem, kur-
wa, przez parę dni pomóc kumpłowi na Sło-
wacji, na farmie. Ja pierdolę. On ma taką
dużą farmę na której Cyganów zatrudniał,
a ci Cyganie mu spierdolili, bo popili. Zosta-
wili go kurwa samego. Z Włoch musiał zje-
chać, kurwa. Rozumiesz? Miliony na kon-
cie, a widły kurwa w ręce i ujebany w gów-
nach po kolano.

STASIUK: A co on tam ma? Bydło?
KOLEGA: Bydło no. Bydło i kozy. Chło-
pie, wszystko na gwałt kurwa sprzedaje. Ko-
zy, krowy.
*Stasiuk rozmawia z kolegą, żegnają się
serdecznie i jedziemy dalej.*

**Młody koleś stosunkowo. Jaki ty masz
kontakt z młodymi?**
– Zależy z którymi.

**No na przykład z takimi, co w necie zaczę-
li po tobie jeździć, jak o tych zwierzętach
zacząłeś mówić.**
– Do tego, co się w internecie dzieje, to ja
mam totalnie obojętny stosunek, bo to jest
kompletna fikcja. Tam możesz powiedzieć,

co chcesz, zająć stanowisko, jakie chcesz,
wszystko bez odpowiedzialności. Tak po-
za światem.

A nie podglądasz?
– Fejsa? Nie. Czasami Monika mi coś fajne-
go podrzuci.

Nie masz takiego ukrytego konta?
– Tylko e-mail.

**A ci młodzi ludzie, o których piszesz
w książce? Ci, z którymi jeździsz na Ukra-
inę, na Donbas na przykład?**
– Nie są tacy młodzi. No ale młodszy.

**A ty twierdzisz, że inaczej podróżują.
Narzekasz, że za twoich czasów to się do
restauracji nie chodziło, tylko byle co
zjadło i dalej, do przodu.**
– To taka zabawa konwencją. Ja przecież
czerpałem od tych młodych. Odwagę na
przykład. Byliśmy kilka kilometrów od fron-
tu.
– Ale do okopów nie chciałem. To by jed-
nak safari było.

Ja byłem jako dziennikarz.
– Ja tam zobaczyłem, dlaczego te samocho-
dy, co im na front ludzie wożą, są tak tam
im potrzebne. Jazda bez świateł w nocy, że-
by cię nie widzieli i nie strzelili. Rozjebaną
drogą sto na godzinę, żeby uciec przed lo-
sem. Jak były prześwity między lasami, że
było ich widać, to dopiero wtedy helmy za-
kładali.
– Proszę. A tu cmentarz wojenny z I woj-
ny światowej.

**Austriacy! Nasi. Może jakiś mój prawujek
spod Sanoka tu leży...**
– Mieszanina.

A jak jest z twoją tożsamością?
– Słuchaj, Ziemek. Ja nie jestem mi-
strzem autorefleksji...

**Pisałeś, chyba w „Dzienniku pisanym
później”, słowo „ojczyzna” wielką literą.**
– To musiały być jaja.
– Jeszcze ci ruski cmentarz pokażę. Wiesz,
tożsamość...
– Mnie zawsze wkurwiają tacy, co mnie
chcą zmusić do bycia takim albo innym.
Z całym szacunkiem.

Czuleś się zmuszany?
– No tak. Przez ostatnie 9-8 lat. To było bu-
dowanie jakiejs wymuszonej tożsamo-
ści. Dawniej wszystko było prostsze. Czuo-
ło się w swojej tożsamości jak ryba w wo-
dzie. Tożsamość była po prostu częścią rze-
czywistości.
– A tu – proszę. Już Słowacja. I koniec.
Przestaje nas obowiązywać Polska. Nie ma
Polski. Zobacz Ziemek, cud! Kurwa, nie
wiem, czy mam dokumenty auta. ●

*Pickup toyoty, uwielbiany przez podróżników,
leśników, farmerów, afrykańskie i bliskowscho-
dnie bojówki oraz słynnego prezentera Jere-
my'ego Clarksona, który jednym egzemplarzem
dojechał prawie do bieguna południowego,
a drugim zjechał po schodach, zderzał z mur-
ami, utopił w morzu i zrzucił z helikoptera, po
czym odpalił.
**Mirostaw Nahacz, rocznik 1984, temkowski
i polski pisarz, który pochodził z tych okolic,
uważany za przyszłość polskiej literatury, ode-
brał sobie życie w wieku 23 lat
***Waldemar Bawotek, pisarz mieszkający
w niespecjalnie odległych od Stasiuka Ciężko-
wicach
****Jurij Andruchowycz, znany ukraiński pisarz,
na zachodniej Ukrainie mający status niemal
wieszczka

„Rzeka dzieciństwa”
Andrzeja Stasiuka właśnie
pojawiała się na półkach
dobrych księgarń
i w formie cyfrowej na stro-
nie wydawnictwa Czarne.



